

Władysław Stefanik

*Białe noce
i czarne dni*

Żurawica 2020

© Copyright by Władysław Stefanik

Projekt okładki: Barbara Siestrzewitowska i Łukasz Gąsior

Na ostatniej stronie okładki mapa autorstwa Łukasza Gąsiora przedstawiająca miejsca wojennej tułaczki Władysława Stefanika. Fotografie i odznaczenia pochodzą z archiwalnych zbiorów Autora, jeśli nie zaznaczono inaczej

Redakcja i digitalizacja tekstu: Maciej Duda

Korekta naukowa i digitalizacja zdjęć: Łukasz Gąsior

Redakcja techniczna i łamanie: Czesław Szałyga

Przygotowanie do druku – BLAUDER – Marek Kulpa

Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Żurawicy



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Publikacja dofinansowana ze środków Gminy Żurawica



ISBN 978-83-954097-1-4

Druk: Wydawnictwo Muzyczne POLIHYMNIA

SŁOWO OD WYDAWCY

W swojej długiej historii Żurawica i inne miejscowości z naszej gminy, miały swoich wybitnych mieszkańców. Wielu z nich w uznaniu zasług zostało patronami żurawickich ulic. Warto tu wspomnieć choćby Marcina Króla, Stanisława Orzechowskiego, Karola Franciszka Korniaкта, Piotra Michałowskiego, Michała Głowacza. Patronami ulic są też rodziny, będące w przeszłości właścicielami Żurawicy: Leliwici, Lubomirscy czy Sapiehowie.

Żurawica to oczywiście jednostka wojskowa, z którą związani byli wybitni żołnierze: gen. Stanisław Maczek, płk Józef Koczwarą czy płk Zygmunt Chabowski. Oni również patronują naszym ulicom. Szkole Podstawowej w Bolestraszczykach patronuje wspomniany już Piotr Michałowski, a w Żurawicy do niedawna patronem Gimnazjum był 2 Pułk Pancerny, formacja zasłużona na frontach II wojny światowej, a wywodząca się z żurawickich koszar.

Pamięć o historii jest równie ważna, jak dbanie o przyszłość i rozwój naszej gminy. Już Jan Zamoyski pisał, że *„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie...”*. Od początku kadencji przywiązujemy dużą wagę do pamięci o historii i tradycji lokalnej. Z wielkim uznaniem traktujemy wszelkie inicjatywy społeczne, mające na celu kultywowanie pamięci o naszej historii. W 2019 r., z inicjatywy Pana Mieczysława Madejowskiego, władze Gminy Żurawica nadały rondu imię zasłużonego, wieloletniego proboszcza parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Żurawicy – ks. prałata Stanisława Burczyka. W tym samym roku została wydana książka poświęcona życiu tego wybitnego kapłana. W 2019 roku została zorganizowana konferencja i wystawa, upamiętniająca 79. rocznicę zbrodni katyńskiej. Ks. dr Marian Hofman wygłosił wtedy referat o pochodzącym z Żurawicy podporuczniku Zbigniewie Cichobłazińskim. Został on zamordowany w Katyniu, a przebywając w obozie spisywał swój pamiętnik i właśnie dzięki niemu został on po latach zidentyfikowany. W 2020 r. w Polskim Domu Katolickim z inicjatywy ks. dr. Mariana Hofmana, otwarto wystawę poświęconą biskupowi Kazimierzowi Ryczanowi, który również pochodził z Żurawicy. Wcześniej w 2017 r. w kościele w Żurawicy Dolnej, odsłonięto poświęconą Jemu tablicę pamiątkową.

Z dużą radością przyjąłem inicjatywę młodych lokalnych społeczników, dążących do wydania wspomnień Pana Władysława Stefanika. Był to człowiek, który może być wzorem do naśladowania dla starszych i młodszych. Wielki patriota, człowiek religijny i darzący szacunkiem innych ludzi. Jakże niesamowita jest Jego historia i postawa. Już jako nastolatek wiedział, że obrona Ojczyzny jest największym obowiązkiem wszystkich.

Chciał walczyć i dopiął swego, będąc żołnierzem 2 Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Jednak droga do armii była ciernista. Aresztowanie przez sowieckie służby, więzienie, zesłanie do łagru, praca przy –60 stopniach i w końcu wiadomość o tworzeniu polskiej armii w ZSRR. Oczywiście Władysław Stefanik zgłosił się na ochotnika, jednak to nie był koniec Jego ciężkiej drogi życiowej. Trudna podróż przez Azję, wyniszczająca organizm malaria, potężne upały i często małe racje żywnościowe nie sprzyjały młodemu organizmowi. Jednak przetrwał te trudy, bo dla Niego najważniejsza była Polska – Ojczyzna, której chciał i musiał służyć.

W 1944 r. zaczął się Jego szlak bojowy. Za bohaterstwo był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Brał udział w zdobywaniu Monte Cassino, Bolonii i innych włoskich miast, wyzwolanych spod nazistowskiego panowania. Był dwukrotnie ranny, ale za każdym

razem szybko, a nawet na własną prośbę wracał do swojego oddziału. Koniec II wojny światowej zastał Go we Włoszech, skąd następnie trafił do Wielkiej Brytanii. Tam pewnie życie byłoby łatwiejsze, ale dla Władysława Stefanika prawdziwa ojczyzna była w Żurawicy, dlatego postanowił wrócić.

Poświęcił się pracy kolejowej i grze oraz działalności dla LKS „Żurawianka” Żurawica. To właśnie On był i jest najbardziej pamiętanym, szanowanym piłkarzem i działaczem klubu. Wyszkolił liczne roczniki żurawickich chłopców, którzy pod Jego okiem poznawali tajniki piłki nożnej. Mieszkał obok stadionu i jakże byłby dziś szczęśliwy, gdyby widział jak zmienia się ten obiekt, na którym powstaje boisko i bieżnia, a wkrótce także nowoczesne trybuny.

Władysław Stefanik opisał swoje wspomnienia w formie maszynopisu. Po digitalizacji tekst został wzbogacony fotografiami ze zbiorów samego Autora. Oddajemy w ten sposób w państwa ręce książkę, która powinna być znana każdemu mieszkańcowi naszej gminy. Ciężkie i jakże zmienne losy Autora, opisane w książce, świetnie oddaje wybrany przez Niego tytuł *Białe noce i czarne dni*. Uważam, że wydanie tych wspomnień było naszym obowiązkiem, jako hołd dla Honorowego Obywatela Żurawicy, ale przede wszystkim niezwykłego człowieka – Władysława Stefanika.

Ze swojej strony dziękuję wszystkim inicjatorom tego wydania. Wiem, że była to ciężka i długa praca. Dziękuję za wsparcie Panu Posłowi na Sejm RP – Markowi Kuchcińskiemu, na którego pomoc nasza gmina zawsze może liczyć. Dziękuję także Panu Profesorowi Piotrowi Glińskiemu, Wiceprezesowi Rady Ministrów i Ministrowi Kultury i Dziedzictwa Narodowego, za udzielenie dotacji na wydanie niniejszej publikacji. Dziękuję także Pani Dyrektor SP w Orzechowcach – Bożenie Ryczan za pomoc w sfinalizowaniu naszych starań o uzyskanie dofinansowania.

Mam nadzieję, że ta książka przybliży i utrwali pamięć o wielkim mieszkańcu naszej gminy, jakim był Władysław Stefanik. Życzę wszystkim owocnej lektury.

Tomasz Szeleszczuk



Zdjęcie ze spotkania u księdza prałata Stanisława Burczyka, dnia 26 czerwca 2004 r. Od lewej dwaj Honorowi Obywatelé Gminy Żurawica Władysław Stefanik i ks. Stanisław Burczyk oraz prof. Ryszard Michalski

WSTĘP

Władysław Stefanik to dla wielu człowiek wyjątkowy. Urodził się 16.04.1922 r., a zmarł 26.12.2010 r. w swojej rodzinnej Żurawicy. Większość Jego życia przypadła na trudny dla Polski okres II wojny światowej i czasów komunizmu. Jeśli dodamy do tego zesłanie do radzieckiego łagru, szlak bojowy podczas wojny i późniejsze kłopoty z tego powodu ze służbami komunistycznymi, zobaczymy obraz człowieka, który przeszedł bardzo wiele. Jednak mimo takich trudnych doświadczeń, do końca życia zachowywał spokój i pogodę ducha, a także wielki szacunek dla innych.

Jako siedemnastoletni chłopak, chciał walczyć w obronie Ojczyzny w 1939 r., jednak był za młody. Mimo to po trzech miesiącach zdecydował się potajemnie przedostać do polskiej armii we Francji. Niestety, wraz z kolegą wpadli w ręce NKWD. Jakie ogromne pokłady patriotyzmu musiał mieć w sobie nastoletni Władysław, że mimo młodego wieku był tak zdesperowany by walczyć o wolną Polskę? Katargę w łagrze przerwała wiadomość o tworzeniu polskiej armii w ZSRR. Nie zastanawiał się długo i wreszcie został żołnierzem. Wielomiesięczne szkolenie i bardzo długa droga przez stepy Azji, piaski Afryki aż do Włoch, gdzie w końcu mógł spełnić swój patriotyczny i obywatelski obowiązek.

Wielokrotnie był nagradzany i odznaczany. Pechowo tuż przed końcem wojny został ranny. Później trafił do Wielkiej Brytanii, a konkretnie do Szkocji. Tam kolejne zderzenie z rzeczywistością i trudne decyzje do podjęcia. W Polsce komunistyczne rządy i niepewność jutra, jednak tęsknota zwyciężyła i Władysław Stefanik powrócił do kraju. Nie był to ustrój, o który walczył, co więcej był to system, który chciał go złamać. Jednak mocny kręgosłup moralny dawał mu wiarę, że uda się przetrwać i te czasy. Ponad trzydzieści lat poświęcił na służbę kolejową, pełniąc różne odpowiedzialne funkcje.

Przez lata udzielał się społecznie dla swojej ukochanej „Żurawianki”, której barwy reprezentował zarówno przed jak i po wojnie. Po zakończeniu kariery zawodniczej, nadal w różnej formie pozostawał wierny klubowi. Trudno dziś zliczyć, ilu młodych chłopaków nauczył piłkarskiego abecadła, ilu z nich zachęcił do gry w piłkę, ile razy przygotowywał boisko do meczów, prowadził treningi, prał brudne stroje klubowe, czy naprawiał zniszczone korki piłkarskie. Zawsze by uśmiechnięty, zaangażowany, chętny do pomocy.

W wolnej Polsce był coraz bardziej doceniany i szanowany. W 1996 r. został ojcem chrzestnym sztandaru 1 Batalionu Czołgów w Żurawicy.

6 kwietnia 2000 r. za swoje zasługi, decyzją prezydenta RP, został awansowany do stopnia podporucznika.

W uznaniu Jego nieprzeciętności Rada Gminy w Żurawicy uchwałą nr XV/155/z dnia 16 lipca 2004 roku nadała mu tytuł Honorowego Obywatela Gminy Żurawica.

Zawsze był doceniany przez społeczność szkolną w Żurawicy. Uczniowie szkoły podstawowej i gimnazjum wielokrotnie słuchali jego historii oraz opisywali jego życie. Gdy w 2006 r. Gimnazjum w Żurawicy otrzymało imię 2 Pułku Pancernego, Władysław Stefanik wbił pamiątkowego gwoźdź w drzewiec sztandaru.

Swoje życiowe losy spisał w formie maszynopisu, niestety nie doczekał ich wydania w formie książki. Niniejsza publikacja zawiera jako swoją główną część, wspomnienia napisane przez Władysława Stefanika. Tytuł „Białe noce i czarne dni”, również pochodzi z jego maszynopisu. Uzupełnieniem wydania są cztery krótsze relacje spisane przez Autora. Całość

dopełnia tekst Kazimierza Więcha, który przez wiele lat miał okazję współpracować z Władysławem Stefanikiem podczas pracy na kolei i w działalności sportowej.

Warto wspomnieć, że dotychczas ukazały się różne artykuły związane z Autorem. Tematyką tą zajmował się dr Lucjan Fac, który publikował w gazetce parafialnej Parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Żurawicy i w miesięczniku „Nasz Przemysł”; numer z czerwca 2014 r.: *Po Monte Cassino było Piedimonte. 6 Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich” w walce o przełamanie „Linii Hitlera”*. W roku 2004 Instytut im. gen. Stefana „Grota” Roweckiego wydał zeszyty historyczne nr 21, a w nich tekst autorstwa Waldemara Handke *Kierowca „Lucypera” wspomina działania nad Adriatykiem*. W 2009 r. IPN wydał książkę pod redakcją Tomasza Berezy „Opowiem ci moją historię... Walka i losy Polaków w latach II wojny światowej. Materiały pokonkursowe”, w której ukazała się praca konkursowa Pawła Petrucha o Władysławie Stefaniku. Ponadto informacje o czynach Autora można było przeczytać w tekście Józefa Zagulaka w dawnym „Życiu Przemyskim” *Zrezygnował z gry w Aston Villa*, a także Norberta Zientała w „Nowinach” w 2010 r. w artykule *Pod Monte Cassino dowodziłem czołgiem amunicję*. Fragmenty wywiadu z Władysławem Stefanikiem, przeprowadzonego przez prof. Ryszarda Michalskiego, opublikował także Jacek Szwic w internetowym wydaniu „Życia Podkarpackiego” w 2015 r. Zdzisław Besz jest autorem artykułu *Poczet honorowych Żurawiczan*. Tematyka poświęcona autorowi poruszana była również na łamach „Wiadomości Żurawickich”. Wioletta Hanas w 2004 r. napisała artykuł *Honorowe Obywatelstwa nadane w Żurawicy w dniu Święta Niepodległości*. Dwa lata później ukazał się artykuł *O naszym dziadku bohaterze autorstwa wnuczek Władysława Stefanika – Marty i Iwony Sietrzewitowskich*. W 2009 r. wyszedł drukiem artykuł samego Władysława Stefanika *Wigilia na Syberii*, a w 2011 r. Mateusz Ziemiak opublikował tekst *Ostatni marsz Władysława Stefanika. W pierwszą rocznicę śmierci*.

Niniejsza publikacja ma za cel ukazać postać Władysława Stefanika i całe jego życie. Prezentujemy w niej materiały i fotografie, które dzięki pracy grupy ludzi, przypomną pamięć o czynach i działaniach wielkiego mieszkańca Żurawicy. Dla starszego pokolenia, będzie to swoiste przypomnienie postaci, a dla młodszych będzie to często pierwsza okazja by poznać życie Władysława Stefanika. Mamy nadzieję, że utrwali to o Nim pamięć, bo na to sobie po prostu zasłużył.

Maciej Duda



Czołg lekki „Stuart V” (w bezwiewowej odmianie „Stuart Recce”) o nazwie własnej „Lucyfer” z plutonu rozpoznawczego Szwadronu Dowodzenia 6 Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich” na defiladzie w Loreto 25 maja 1946 r. Czołg ten został uszkodzony na minie 23 czerwca 1944 r. podczas forsowania rzeki Chienti; po naprawie wrócił do służby w pułku. Był to pierwszy z trzech „Lucyferów”, których kierowcą był Władysław Stefanik

SŁOWO OD RODZINY

Władysław Stefanik – żołnierz 2 Korpusu Polskiego generała Władysława Andersa, wyzwolony z sowieckich łagrów przez podpisanie przez Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych i Premiera Rządu RP generała Władysława Sikorskiego porozumienia ze Stalinem, skierowany do 6 Batalionu „Dzieci Lwowskich”, później 6 Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich”, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, piłkarz, trener, społecznik, odznaczony licznymi medalami za zasługi, znany i szanowany mieszkaniec Żurawicy. Dla nas Dziadzio. Wielu mieszkańców Żurawicy znało go osobiście, spotykało na niedzielnej mszy i meczach „Żurawianki”. Każdy, kto przekraczał próg Jego domu od razu był kierowany przez gospodarza do zobaczenia kolekcji Jego licznych odznaczeń, miał też okazję wysłuchać historii wojennych walk. O tym co przeżył zawsze opowiadał z dumą. Ci którzy go znali wiedzą, że nigdy nie narzekał. Zawsze życzliwy, uśmiechnięty, pogodny, zawsze znalazł chwilę na rozmowę, nigdy nie przechodził obojętnie. Cenił każdego człowieka i każdy dzień. Nie wszyscy zdają sobie sprawę z ogromu historii jaką przechowywał.

Dziś, dzięki zaangażowaniu wielu osób, historia opowiedziana Jego słowami znowu zabrzmiała i przetrwała pomimo, że prawie 10 lat nie ma Go już wśród nas. Wydanie tych wspomnień zawsze było marzeniem Dziadzia. Gdyby mógł je zobaczyć byłby naprawdę szczęśliwy. Historia Dziadzia może być przykładem dla nowych pokoleń Polaków, a dla nas zawsze pozostanie bohaterem, wzorem prawdziwego Polaka – żołnierza, jednego z tysięcy, którzy wywalczyli Niepodległą Polskę.

wnuczka **Marta Czernicka**

PODZIĘKOWANIA

W imieniu bliskich Władysława Stefanika serdecznie dziękuję wszystkim zaangażowanym w wydanie wspomnień mojego Taty. W szczególności dziękuję Panu Wójtowi Gminy Żurawica Tomaszowi Szeleszczukowi za środki na wydanie niniejszej publikacji, Pani Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury Joannie Kostkiewicz za wydanie wspomnień, ks. dr. Marianowi Hofmanowi proboszczowi Parafii Żurawica Dolna za recenzję, Panu Maciejowi Dudzie – inicjatorowi i redaktorowi tego wydania, za Jego ogromne zaangażowanie i poświęcenie bezinteresownie swojego czasu dla upowszechnienia biografii Władysława Stefanika oraz za cały trud i pracę włożone w powstanie tej publikacji, Panu Łukaszowi Gąsiorowi za historyczną wiedzę i pasję, które okazały się nieocenione dla niniejszego wydania, a także Panu Kazimierzowi Więchowi za piękne i wzruszające świadectwo pamięci, którym się z nami podzielił.

córka **Barbara Siestrzewitowska**



Władysław Stefanik w 2008 r.

CZĘŚĆ I

Kończyła się piękna polska złota jesień 1939 roku, kiedy to wracaliśmy do naszych domów z okolic Lwowa, po zakończeniu kampanii wrześniowej, ja i Staszek B.

Staszek był podoficerem nadterminowym broni pancernej 2 Batalionu Pancernego w Żurawicy w stopniu kaprała, funkcjonariuszem „dwójki”¹ na okres działań wojennych, osobistym kierowcą szefa sztabu Armii „Karpaty” ppłk. Wiśniowskiego. Ja zaś niespełna siedemnastoletnim chłopcem o dokładnym przygotowaniu wojskowym w Związku Strzeleckim i batalionie Obrony Narodowej², specjalność obsługa ckm.

Do Obrony Narodowej nie zostałem wcielony, ze względu na wiek nawet na ochotnika, kompania ckm, jak wiem, nie została w tym batalionie zorganizowana.

Powrót nasz nastąpił już po ustaleniu granicy niemiecko-sowieckiej na Sanie. Staszek zrezygnował z przedostania się do Rumunii i unikając aresztowania przez Armię Sowiecką³, wracał właśnie z okolic Czerniowiec. Spotkanie nasze nastąpiło między Gródkiem Jagiellońskim a Mościskami.

Znalazłem się tam, idąc za wycofującym się wojskiem polskim, z nadzieją, że zostanę wcielony jeszcze do jakiejś jednostki. Stąd już, po przejściu granicy na Sanie w Hureczku, w miejscu dobrze nam znanym od lat z kąpiei, wróciliśmy razem do naszych domów.

Tu Niemcy zaprowadzali już swój „ład”, od wczesnego wieczora obowiązywała godzina policyjna.

Społeczeństwo było przygnębiene, znajomi w skupieniu dyskutowali nad przegraną kampanią wojenną oraz nad tym, co będzie dalej. Codziennie dochodziły sprzeczne wiadomości, że ten i ów zginął, niekiedy wielu pogrzebano, jednak później okazało się, że żyją. Powoli zaczęliśmy się przyzwyczajać do okupacji. Jediną rozrywką w tym czasie było czynne w Przemyśle kino Bałtyk, warunkiem jednak był powrót do domu przed godziną policyjną. W dzień świąteczne mogliśmy rozegrać mecze piłkarskie, lecz tylko z drużynami niemieckich żołnierzy tutejszego garnizonu. Dwa takie mecze rozegraliśmy jeszcze pod koniec października 1939 roku. Młodzieńcom w moim wieku przyglądało się bacznie, szczególnie w niedziele, Gestapo, które było zawsze z urzędu pod kościołem.

Ze słuchanych potajemnie komunikatów radiowych, wiedzieliśmy o tworzącej się Armii Polskiej we Francji. Z początkiem grudnia 1939 r. Staszek w jakiś sobie znany sposób nawiązał kontakt ze Związkiem Walki Zbrojnej w Krakowie i jako pracownik „dwójki” otrzymał zadanie, o którym ja nie miałem pojęcia.

Raz tylko wspomniał, że ma w Turce nad Strjemem siostrę i będzie chciał ją odwiedzić. Ponieważ ja miałem siostrę mojego ojca w Truskawcu (pracowała w klinice doktora Ostaszewskiego), nalegałem tak długo, aż Staszek obiecał mi, że zabierze mnie ze sobą. Po wcze-

¹ Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego zajmujący się wywiadem, kontrwywiadem, dywersją pozarfrontową, kryptologią oraz sprawami zagranicznymi Wojska Polskiego.

² Terytorialna formacja wojskowa utworzona w 1937 roku przewidziana do wsparcia Wojska Polskiego w działaniach obronnych; do końca walk w Kampanii Polskiej (zwanej też wrześniową) zmobilizowała 83 bataliony zgrupowane w brygadach i półbrygadach. Autor zapewne odbył przeszkolenie w Batalionie Obrony Narodowej „Przemyśl” (najbliższym jego miejscu zamieszkania) należącym do Podkarpackiej Brygady Obrony Narodowej.

³ W 1939 roku oficjalna jej nazwa brzmiała Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona; została przemianowana na Armię Radziecką w 1946 roku.

śniejszym spenetrowaniu granicy, ustaliliśmy miejsce jej przekroczenia na Sanie w miejscowości Hurko, którą to miejscowość znaleźliśmy dokładnie.

Wieczorem 30 grudnia 1939 r. spotkaliśmy się u Staszka, matka jego przyrządziła smaczną kolację pożegnalną, gdyż tylko ona wiedziała, co ma nastąpić, by po naszym odejściu dać znać moim rodzicom.

O godzinie 21:30 wyruszyliśmy w stronę Buszkowic, odprowadzał nas jeden z kolegów Cz. W., który miał rodzinę w Buszkowickach, by w razie spotkania patrolu niemieckiego było alibi, że idziemy do jego rodziny.

Po pożegnaniu się z kolegą, idąc gęśią, zeszliśmy w koryto Sanu. Rzekę przeszliśmy po łodzie, wchodząc na lewy brzeg Wiaru. Po sforsowaniu zasieków, czołgaliśmy się w kierunku toru kolejowego (obok zabudowań) do szosy Przemyśl–Lwów.

Kiedy wydawało się nam, że najgorsze mamy za sobą, nastąpiło to, czego nie mogliśmy przewidzieć, bowiem natrafiliśmy na obławę. Przypuszczalnie ktoś również przeszedł granicę, albo ktoś zbiegł z transportu kolejowego (był to początek wywózki z Przemyśla). Po aresztowaniu doprowadzono nas do pałacyku (dworku) w Hureczku i przekazano dowódcy strażnicy.

Noc ta była bardzo mroźna. Do dziś nie wiem, kiedy odmroziłem sobie palec u nogi.

Po wstępnym przesłuchaniu przez lejtnanta⁴ służby granicznej, zamknięto nas w jednym z pokojów na piętrze wspomnianego dworku. Na korytarzu stał na straży боец z karabinem jak wynikało z jego zachowania, miał misję ścisłego nas pilnowania, zaś wokół budynku krążył jeszcze jeden боец z bagnetem na karabinie. Ponieważ okna na górze, gdzie nas umieszczono, nie były zakratowane, mogliśmy ryzykować ucieczkę skokiem z okna. Jednak po dokładnym wyliczeniu czasu obchodzącego jak nakręcony automat żołnierza, zaniechaliśmy ucieczki, tym bardziej, że na przesłuchaniu mówiliśmy prawdę, trzymając się z góry ustalonej tezy, że jesteśmy z Przemyśla i wracamy do swoich krewnych, ja w Truskawcu, a Staszek w Turce. Prowadzący przesłuchanie oficer oświadczył nam (ku naszej naiwności), że po sprawdzeniu naszych zeznań, jeśli okażą się prawdziwe, zostaniemy zwolnieni i będziemy mogli udać się do naszych krewnych.

Nazajutrz po uciążliwej ze zmęczenia i wrażeń nocy, przyniesiono nam śniadanie: po kawałku czarnego i lepkiego jak glina chleba i coś, co miało być herbatą. Już o godzinie siódmej do pokoju weszło czterech żołnierzy z bagnetami na broni. Jeden z nich, starszyzna⁵, kazał nam wyjść w asyście pozostałych bojów. Pod lufami skierowanych w nas karabinów zostaliśmy wyprowadzeni przed budynek, a następnie wsadzono nas do saní zaprzężonych w konie. Usadzono nas w środku tak, że dwóch bojów siedziało do nas przodem i trzymało bagnety na wysokości naszych piersi, a dwóch siedziało za naszymi plecami z bagnetami skierowanymi w plecy. Jeden z nich był woźnicą, na rozkaz starszyny sanie ruszyły i odjechały w kierunku Przemyśla.

Przez Bakończyce przejeżdżaliśmy akurat w czasie, kiedy ludzie wychodzili z kościoła po mszy, był to dzień Nowego Roku 1940. Wychodzący z kościoła ludzie, może mi się zdaje teraz, a może specjalnie robili tłok, gestami dając znaki, byśmy uciekali. Jednak mając zapewnienie z wczorajszego wieczora, że po sprawdzeniu naszego alibi wyjdziemy na wolność, nie podjęliśmy próby ucieczki. Być może był to jeden z naszych błędów. Z perspektywy czasu należy uznać, że mimo wszystko należało ryzykować ucieczkę, chociaż mogłoby dojść do tragedii, gdyż konwój nie zaważałby się strzelać do chroniącego nas tłumu. Być może zasugerowało nas ostrzeżenie przed wyjazdem ze strażnicy, że „szag”⁶ w lewo czy „szag” w prawo „będziemy strzelać bez dalszego ostrzeżenia”.

Jadąc dalej, widzieliśmy, jak przechodnie (Polacy) pokazywali na nas z politowaniem. Prowadzeni wzrokiem współżiomków dojechaliśmy ulicą Mickiewicza i Kazimierzowską do Rynku. Sanie zatrzymano przed budynkiem byłego Starostwa Powiatowego, gdzie nasi

⁴ Odpowiednik mniej więcej podporucznika.

⁵ Odpowiednik starszego sierżanta sztabowego.

⁶ Po rosyjsku: „krok”.

konwojenci przekazali nas funkcjonariuszom GRU. W asyście nowego już konwoju, wprowadzono nas na pierwsze piętro, stąd po pewnych formalnościach dotarliśmy przed oblicze kilku funkcjonariuszy GRU (Główny Razwiedczyj Uriad)⁷. Zaczęło się przesłuchanie, oczywiście przy sobie nic nie mieliśmy, wszystko zostało nam zabrane już przy pierwszej rewizji. Wyjątkiem był zegarek kieszonkowy marki „Roskopf”, który posiadał Staszek po ojcu. Zegarek był ukryty w pudełku od pasty do butów, które to pudełko kazano koledze położyć na stole przesłuchującego. Przyniesiono też przed oblicze przesłuchujących pozostałe rzeczy osobiste zabrane nam przy pierwszej rewizji, jak listy od i do naszych krewnych oraz zdjęcia, które mogły świadczyć, że rzeczywiście mamy krewnych po tej stronie.

O tym, że w pudełku od pasty może być zegarek, nie domyśliliby się, gdyby nie to, że w czasie zadawanych pytań powstały przerwy, w czasie których dość wyraźnie słychać było tykanie zegarka. Po pewnym czasie usłyszał je najbliższy siedzący oficer GRU. Na jego twarzy dostrzeżliśmy trwogę. Patrząc na nas, krzyknął: „Szto cto?”, a z jego miny wynikało, że wewnątrz znajduje się bomba zegarowa, która nastawiona jest na czas i lada chwila wybuchnie.

Ponieważ już wtedy byliśmy przekonani, że pamiętka po ojcu Staszka jest już dla nas stracona, kolega powiedział, że to zegarek. Kazano mu otworzyć pudełko i pokazać, co to jest. Była to bardzo zabawna historia. Zegarek ten już nie wrócił do Staszka. Bardzo dużym zainteresowaniem dla przesłuchujących było moje zdjęcie w czapce pilotce przy motocyklu „Sokół”. Zdjęcie mogło być dowodem przeciwko mnie, co w dalszych dochodzeniach się potwierdziło. Dochodzenia trwały długo i do obrzydzenia wracano do tych samych pytań. Dopiero wieczorem pod konwojem zaprowadzono nas do budynku starego sądu w Ryńku, gdzie mieściło się więzienie. Po ponownej rewizji zabrano nam resztę, to jest paski do spodni i sznurówki do butów, wręczono nam spisy zabranych przy rewizji rzeczy i jak później w więzieniu odczytaliśmy (po rusku), w spisie zegarka Staszka już nie było.

Prowadzono nas korytarzami budynku sądu i wpuszczono do celi ogólnej, w której tłoczyło się około 200 osób, cela była dość duża, ale o wiele za mała na pomieszczenie tylu osób. Pora była późna i było już po kolacji, więc do jedzenia nic nie dostaliśmy.

W budynku starego sądu siedzieliśmy w nieludzkich wprost warunkach sanitarno-higienicznych do połowy lutego 1940 roku. Wszelkie możliwe usiłowania skontaktowania się ze światem za pomocą „grypsów” nie dawały szans powodzenia. Wiele wysłanych „grypsów” przy pomocy Polaków zatrudnionych w kuchni, bądź na innych stanowiskach, nie dotarło do naszych krewnych tak w Stryju, jak i w Truskawcu.

Jedyną naszą rozrywką dla wzajemnego pocieszenia się były wieczorne i nocne rozmowy o kampanii wrześniowej, życiu w przedwojennej Polsce i o jej klęsce.

Aresztowani pochodzili z różnych klas społecznych i różnych narodowości, nie licząc przekonanych politycznych i religijnych. Reprezentowali także różny poziom intelektualny. Było bardzo dużo Żydów posiadających nawet legitymacje przynależności do partii komunistycznych, na interwencje tychże Żydów Sowietci odpowiadali, że oni mają aż nadto swoich komunistów i innych im nie potrzeba.

Ci, którzy dłużej przebywali w tych nieludzkich warunkach, zostali już odpowiednio „zawszeni”, stąd rozrywką było urządzanie wyścigów wszy. Polegało to na tym, że kilku startujących zawodników szukało odpowiedniej wielkości wszy, potem komisyjnie ustalano warunki, a następnie rysowano tory przy pomocy spalonych zapalek, wyznaczano czas przy pomocy liczenia, na przykład do stu i dystans. Starter rozpoczynał zawody, a wygrywał ten, którego wesz w wyznaczonym czasie przebyła jak największy dystans.

W połowie lutego 1940 r. o północy wyprowadzono nas z celi, uszeregowano i obliczono, odczytano nazwiskami i poprowadzono na dziedziniec starego sądu.

Przed budynkiem oczekiwał na nas konwój sowieckich żołnierzy w ilości dobrej kompanii, ustawiony aleją przez cały Rynek.

⁷ Właściwie Głównoje Razwiedytwielnoje Uprawlenie (Główny Zarząd Wywiadowczy) – radziecki wywiad wojskowy; nazwę tę nosił jednak dopiero od 1942 roku; w czasie opisywanych tu wydarzeń nazywał się Piątym Zarządem Ludowego Komisariatu Obrony Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Po wygłoszeniu formułek ostrzeżenia, mających zapobiec ewentualnej chęci ucieczki, ruszyliśmy pod tak silną eskortą ul. Kazimierzowską, przez Plac Na Bramie do bramy Ekspedycji Kolejowej od strony ul. Mickiewicza, torami w poprzek, furtką wejściową do dawnej żelni PKP do więzienia przy ul. Czarnieckiego. Cały ten transport trwał dość długo, szliśmy bardzo powoli, gdyż nie mieliśmy sznurówek przy butach, ani też pasków do spodni, i trzeba je było trzymać w rękach przez cały ten czas podróży.

W więzieniu rozdzielono nas od 15 do 20 osób w jednej celi. Warunki były tu znośniejsze, zbliżone do więziennych z prawdziwego zdarzenia, z tym, że wyżywienie ciągle było bardzo marne, lecz bardziej regularne w czasie.

Przebywając w ciągłe złych warunkach higieniczno-sanitarnych nabawiłem się silnego świerzbii i zostałem odizolowany w szpitalnej celi tego samego budynku. W celi tej było nas stale od 15–20 osób.

Leczenie polegało tylko na smarowaniu się maścią siarkową, którą otrzymywaliśmy. Jedzenie było nieco lepsze, ale nikt do nas nie zaglądał.

Po wyleczeniu się ze świerzbii, wróciłem do poprzedniej celi i dalej byłem razem ze Staszkiem. Był już koniec pierwszej dekady marca. Przez kosze osłaniające okna i kraty widać było nieco horyzontu i wcześniej rozpoczynającą się wiosnę. San wystąpił z brzegów, fragmentami widać było most kolejowy, boisko „Czuwaju” zalane było wodą. Poziom wody na Sanie dochodził do maksimum, woda zalewała teren aż po Szpital Powszechny, także droga do Buszkowic była zalana. Przekopane całe tonięło, jednym słowem – powódź.

Dnia 13 marca 1940 r. o godzinie 22:00 wyprowadzono nas z cel na obszerny plac więzienny. Coś przeczuwaliśmy. Tu nas uszeregowano, sprawdzono nazwiskami wg listy, otworzono bramy więzienia i weszliśmy w aleję gęstego szpaleru wojska, między najeżone karabiny skierowane na nas. Aleją tą doprowadzono nas czwórkami na stację, gdzie stały już wagony towarowe z okratowanymi oknami. Do wagonów tych wciskano nas przemocą po około 100 osób, po czym wagony ryglowano od zewnątrz i zamykano na kłódki. W wagonach nie było nic, tylko po jednej i drugiej stronie tak zwane „nary”, czyli jakby półki, wycięcie w podłodze miało służyć jako ubikacja.

Na każdej budce hamulcowej stał боец z karabinem. Na dachu pierwszego i ostatniego wagonu zostały zamocowane karabiny maszynowe skierowane do siebie i silne reflektory.

Dowództwo konwoju jechało w specjalnej więźniarce włączonej do naszego składu pociągu.

Długo po północy, po załadowaniu całego pociągu, ruszyliśmy w nieznane. Nikt z nas nie przypuszczał, gdzie jedziemy. Na każdym postoju, gdzie tylko zatrzymał się pociąg, specjalna ekipa enkawudzystów wyposażona w drewniane młotki (kształtu jak młotek do mięsa o odpowiedniej długości trzonka) opukiwała każdą deskę wagonu, tak z boku jak i ze spodu. Miało to na celu ustalenie, czy któraś z desek nie jest pęknięta i przygotowana do wyłamania, by zbiec. W wypadku jakiegoś podejrzenia natychmiast wagon rewidowano, przeliczano ludzi, jeśli nikogo nie brakowało, transport jechał dalej.

Na trasie od Przemyśla do Mikołajowa nad Morzem Czarnym zatrzymań takich było kilkanaście, były też alarmy i strzelanina, szczególnie w nocy. Były też ucieczki bez powodzenia, ale były też z powodzeniem. Ludzie ryzykowali życie, nie mieli nic do stracenia, gdyż niektórzy przypuszczali, dokąd jedziemy.

W czasie transportu otrzymywaliśmy jedzenie raz dziennie około 500 g chleba na osobę, jednego śledzia, wody nie podawano nam wcale. Ludzie umierali z pragnienia.

W naszym wagonie przeważali ludzie starsi i to przeważnie Żydzi.

My ze Staszkiem nie ryzykowaliśmy i nie rozważaliśmy próby ucieczki, łudząc się nadzieją, że wiozą nas do Lwowa, że może tam będziemy w więzieniu, że może sprawdzą nasze alibi. Jakże gorzki był nasz zawód, kiedy minęliśmy Lwów.

Jeszcze mogliśmy ryzykować ucieczkę na trasie Lwów–Podwoleczyska i to był kolejny nasz błąd. Na tej właśnie trasie było najwięcej prób ucieczek, wielu schwytano, ale byli też szczęściarze, których później też spotkaliśmy.

Po minięciu starej granicy polsko-sowieckiej nikt już nie ryzykował ucieczek.

CZEŚĆ II

Związek Sowieckich Republik Radzieckich⁸

Po dniach gehenny, w stanie całkowitego wyczerpania, 4 kwietnia 1940 r. przywieziono nas do stacji Mikołajów nad Morzem Czarnym. Tutaj nastąpił wyładunek. Był piękny wiosenny ranek, mimo wyczerpania, głodu i pragnienia, powiew morskiego wiosennego powietrza, rozżarzył iskrę nadziei, przecież jakoś przeżyliśmy. Nad tymi, co nie przeżyli, nikt się nie litował, na każdym przystanku, gdzie wydawano nam żywność, zabierano zmarłych i o tyle zmniejszano racje żywnościowe w danym wagonie. Po chwilowym odpoczynku na stacji towarowej Mikołajów, przekazano nas oczekującej tu eskorcie. Dowódca utartym zwyczajem wygłosił odpowiednią formułkę ostrzeżenia, że w razie tylko wyjścia z szyku żołnierze będą strzelali bez żadnego ostrzeżenia.

Na odpowiedni приказ ruszyliśmy. Prowadzono nas bocznymi ulicami miasta. Ilu nas było, trudno dokładnie określić. Według naszych obliczeń – około 40 wagonów po 100 ludzi w każdym. Ogrom tej masy ludzi był widoczny zaraz po wyładowaniu na stacji Mikołajów. Prowadzeni bocznymi ulicami, doszliśmy do bram olbrzymiego więzienia.

Wcześniej jeszcze, gdy przemierzaliśmy ulice miasta, szedł obok mnie konwojent może nieco ode mnie starszy. Ja miałem w tym czasie 17 lat, to też z głupia frant zapytałem go po rusku: „Dokąd nas prowadzicie?“, ten nie namyślając się wiele odpowiedział: „Na swobodę”. Serce podskoczyło mi aż do gardła, a w oczach pociemniało. Musiałem piekielnie zblednąć, gdy tenże żołdat krzyknął na mnie: „Polaczok, tobie chto? Dawaj w pieriod!“. Wyjąkałem chyba, że „niczego” i szedłem dalej.

Właśnie wychodząc z zakrętu, stanęliśmy przed wspomnianą bramą, jakże pięknie ręcznie kutą i ozdobioną. Tu pozbyliśmy się wszelkich złudzeń, nie mieliśmy żadnych wątpliwości, gdzie wchodzimy – było to więzienie. Sama budowla była przepiękna, jak się później dowiedzieliśmy, za carskich czasów była to szkoła kadetów marynarki wojennej Rosji.

Zachodnia strona tego kompleksu przylegała bezpośrednio do rzeki Boh, zaś od południa to widok na Morze Czarne. Pozostała część tego kompleksu budynków otoczona była wysokim murem z charakterystycznymi dla nich „bocianami” i gniazdami karabinów maszynowych i reflektorami, które w porze nocnej bez przerwy oświetlały teren i ogrodzenia budynków. Na podwórzu więziennym przeprowadzano nas przez wiele jeszcze różnych innych bram, podzielono na grupy i po przeprowadzeniu kolejnej szczegółowej rewizji, bo zdarzyło się tak, że komuś udało się przemycić jakiś medalik czy krzyżyk, tutaj został ograbiony ze wszystkiego.

Grupę, w której byliśmy razem ze Staszkiem, zaprowadzono do bardzo prymitywnej łaźni, a po kąpieli wprowadzono nas, wszystkich stu dwudziestu, do dość dużej celi.

Cela była takiej wielkości, że leżeliśmy głowami do ścian, ściśle do siebie przylegając nogami. Jeśli ktoś chciał się obrócić, to bez odwrócenia się jeszcze kilku kolegów, nie było to możliwe. Spaliśmy tak, jak chodziliśmy, w czym kto był. Jedzenie było znacznie lepsze od poprzedniego, w tym okresie dostawaliśmy 400 g chleba znanej jakości i pudełko od zapalek cukru, coś co miało być herbatą, pół litra zupy na obiad i pół litra zupy wieczorem. Wszystko to, razem wzięte, było za dużo, by umrzeć, a za mało, by żyć.

Życie było monotonne, bez żadnych wiadomości ze świata, toteż ogarnęła mnie pasja czytania książek, które można była wypożyczać przez strażnika.

⁸ Oficjalna nazwa to Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Uczęszczając do szkoły, uczyłem się podstaw języka ruskiego, a znając podstawy, bardzo szybko mi ta znajomość przychodziła. Dość szybko opanowałem język ruski i czytanie wprowadzało mnie w zapomnienie w czasie. Godzinny obowiązujący spacer każdy wykorzystywał bardzo chętnie. Zmora były przesłuchania, gdyż rozpoczynały się przeważnie o 22:00 i trwały do 5:00 rano, wyłącznie tylko w nocy. Odbijanie wielokrotnie palców na wielorakie arkusze i nieustannie powtarzające się pytania. Spanie w celi w dzień było kategorycznie zabronione (groziło to każdorazowo rewizją celi).

Wezwanie na przesłuchanie odbywało się w ten sposób, że do celi wchodził strażnik z wykazem i pytał, kto jest na literę A, B itd. Każdy wymieniał swoje nazwisko głośno, a ten patrzył na wykaz, jeśli nazwisko mu się zgadzało, osoba ta wychodziła na korytarz i ustawiana była obowiązkowo twarzą do ściany, czekając, aż skompletuje się odpowiednia ilość przewidzianych do przesłuchania.

Po skompletowaniu odpowiedniej ilości więźniów, strażnik przekazywał ich konwojowi, który wyprowadzając nas przez niezliczoną ilość bram okutych kratami, dzielących poszczególne oddziały rejonu itp. na dziedziniec, gdzie ładowano nas do samochodów więźniarek, bądź konnych kibitek. Takimi środkami lokomocji przewożono do gmachu prokuratury w mieście Mikołajów. Był to olbrzymi budynek o bardzo dużej ilości i wielkości korytarzy. W ścianach tych korytarzy były nisze (celki) takiej wielkości, że średniej budowy ciała człowiek był tam wprasowany drzwiami w pozycji stojącej. Nie było przypadku, żeby któryś z więźniów tam się nie zmieścił, tym bardziej, że po kilku miesiącach z najcięższego mężczyzny pozostawały tylko skóra i kości.

Numerom takich celek odpowiadały numery drzwi prokuratora, zdarzało się, że już po godzinie można było być powołanym przed oblicze prokuratora, ale bywało i tak, że po kilka godzin trzeba było czekać na swoją kolejkę.

Tu szczególnie obowiązywał rygor; jeden więzień nie mógł widzieć drugiego. Jeśli zaistniał taki przypadek, że dwóch strażników prowadziło więźniów, to jeden natychmiast się zatrzymywał i odwracał więźnia twarzą do ściany, tak, by ten drugi nie mógł dostrzec jego twarzy.

W moim przypadku prokuratorem prowadzącym był Ukrainiec o nazwisku Szewczenko (nomem omen wielki pisarz ukraiński)⁹, co ukradkiem przeczytałem na drzwiach. Według opowiadań więźniów w celi miałem wybitne szczęście, podobno całkiem źle trafili ci, których sprawy prowadziły prokuratorzy-kobiety.

Jak już wcześniej wspomniałem, w czasie rewizji znaleziono przy mnie list od cioci z Truskawca i kilka zdjęć. Nic nieznaczących, natomiast wielkie zainteresowanie wzbudziło u prokuratora moje zdjęcie w czapce pilotce przy motocyklu „Sokół”, przed bramą koszar 2 Batalionu Pancernego w Żurawicy. Kiedyś, wracając ze świetlicy batalionu, przed bramą spotkał mnie por. Zdzisław Ziemiński, kierownik sekcji akrobatyczno-motorowej Klubu Sportowego WKS „Pancerni” i zagadnął, czy nie miałbym ochoty zapisać się do jego sekcji akrobatyczno-motorowej i dla zachęty zrobił mi zdjęcie przy jego motorze. Zdjęcie to później mi doręczył. Z satysfakcją nosiłem je przy sobie. Z tytułu członkostwa w klubie WKS „Pancerni” (grałem w drużynie juniorów) mieliśmy wolny wstęp do świetlicy, biblioteki i kina 2 Batalionu Pancernego w Żurawicy.

Jak się później okazało, to właśnie zdjęcie miało decydujący wpływ na całość dochodzenia i późniejszego wyroku, gdyż sprawa prowadzona była pod takim kątem, bym się przyznał, że jestem oficerem lotnictwa, że ukrywam stopień wojskowy z podejrzeniem o szpiegostwo.

Po wielu bardzo żmudnych dochodzeniach, wielu niemieszczących się w mojej głowie zarzutach, akt oskarżenia został sporządzony. Po odczytaniu aktu oskarżenia przez prokuratora, dopiero dowiedziałem się, o co jestem podejrzany. Postawiony zostałem w bardzo trudnej sytuacji, groził mi bardzo wysoki wyrok. Odmawiając podpisania aktu oskarżenia, po prostu oświadczyłem prokuratorowi, że jest to niemożliwe, ja jestem osobą niepełnoletnią, w tej chwili mam dopiero 16 lat, zatem, kiedy mogłem ukończyć szkołę oficerską, na podstawie, czego to twierdzenie. Wtedy jako dowód pokazał mi to zdjęcie przy motocyklu, o tym, że jestem

⁹ Prokurator nosił takie samo nazwisko jak poeta i pisarz Taras Szewczenko (1814–1861).

lotnikiem sugerowała czapka pilotka. Tak teraz, jak i w czasie przesłuchań, wielokrotnie zeznawałem, że motocykl był własnością kierownika sekcji akrobatyczno-motorowej i że ja miałem tylko zdjęcie przy tym motorze. Podejrzenia o to, że jestem oficerem lotnictwa, że ukrywam stopień wojskowy i że jestem podejrzany o szpiegostwo obalałem tym, że przecież jestem osobą niepełnoletnią, kiedy zatem mogłem skończyć szkołę oficerską, szkołę pilotażu? To moje uzasadnienie widocznie go przekonało, bo po dłuższym namyśle zaklął siarczyście po ukraińsku, mówiąc: „Ot, ja rańsze nie podumał” („Ja wcześniej o tym nie pomyślałem”).

Niepodpisanie aktu dochodzenia niczego nie zmieniło. Dnia 15 sierpnia 1940 r. w gmachu tejże prokuratury odbył się sąd, na który między innymi i ja zostałem dowieziony tradycyjnym środkiem lokomocji, to jest kibitką. Pod konwojem zostałem doprowadzony do sali, gdzie za stołem siedziało już trzech wyższych stopniem oficerów NKWD. Widać, że szczęście mi dopisało, bo odczytano mi wyrok tylko za przejście granicy, bez żadnej wzmianki o stopniu oficerskim i szpiegostwie. Wyrok brzmiał: „5 lat pozbawienia wolności ze zsyłką na spław drzewa rzeką Dwiną”.

Staszek otrzymał identyczny wyrok tego samego dnia. Po wyroku prawie wszyscy osądzeni zostaliśmy oficjalnie więźniami. Korzyść z tego była taka, że po wyroku otrzymywaliśmy chleba 500 gramów, a pozostałe posiłki bez zmian. Według bardzo prowizorycznych obliczeń w więzieniu mikołajowskim przebywało kilka tysięcy więźniów różnych narodowości. Dochodziły do nas wieści, że zasądzonych wywożą w nieznany kierunek, w co nie chcieliśmy wierzyć. Klucznikiem naszego oddziału był Rosjanin w dość podeszłym wieku. Zawód swój spełniał chyba jeszcze za carskich czasów, myśmy go nazywali „dieduszka” (dziadek). Z tytułu wykonywanej funkcji starał się być bardzo groźny, jednak do nas, Polaków, miał jakiś sentyment, tak rzec można, szczególnie do takich młodocianych, jak ja, więźniów.

Ażeby wykraść mu na przykład gazetę, nawet jeszcze przed wyrokiem, uciekaliśmy się do bardzo prostego fortelu. Prosząc o wyjście do ubikacji, gdzie jednorazowo mogło wyjść tylko dwie osoby, niby to po załatwieniu się, jeden wychodził i czekał pod drzwiami celi, zaś drugi zostawał w ubikacji, przeraźliwie krzycząc. Klucznik podchodził w takim wypadku do ubikacji, aby stwierdzić, co się tam dzieje, a w tym czasie ten pierwszy ukrywał już w zanadrzu zabraną gazetę. Zanim klucznik zorientował się o braku gazety, myśmy mieli ją w celi. Nie zdarzyło się, by klucznik, ten czy inny, żądał skradzionej gazety, po prostu on nie mógł się do tego przyznać, że więźniowie mu cokolwiek ukradli. Czasami, być może, czynili to celowo, tym sposobem wiedzieliśmy coś niecoś, co się w świecie dzieje, bo nie zawsze udało nam się gazetę zdobyć. W obawie przed ewentualną rewizją, gazeta taka natychmiast po przeczytaniu podlegała spaleni pod jakimkolwiek dnem naczynia celem wykorzystania sadzy, która używana była do tatuażu techniką więzienną, spalony zaś popiół używany był do kolorowania wykonywanych z chleba (przeżutego) szachów koloru czarnego, natomiast kolor biały pozostał koloru chleba. Przechylna ta dyktowana była obawą rewizji szczegółowej, która i tak raz w tygodniu była przeprowadzana z zaskoczenia. Znaleźnienie czegokolwiek w celi psułoby reputację strażnika. Rewizje te były zawsze niespodziewane, w dowolnym momencie otwierały się drzwi celi, wpadało kilku enkawudzystów z okrzykiem: „Wsie po miestam!” („Wszyscy na miejsca!”). Musieliśmy stać tam, gdzie kto stał. Pod nadzorem wszystkich wypędzono na korytarz, ustawiając twarzą do ściany w czasie, gdy jedna grupa przeszukiwała cele, grupa druga dokładnie przeszukiwała nasze ubrania, które wcześniej musieliśmy z siebie zdjąć. Myśmy natomiast stali nago, twarzami do ściany, proceder ten czasami trwał bardzo długo. W ten właśnie sposób, szczególnie u Żydów, znaleziono dolary zaszyte w dragonach kurtek, kołnierzach i innych najmniej spodziewanych miejscach.

U jednego Żyda znaleziono ręczny zegarek na cieniutkiej gumce, podwieszany pod genitaliami, zdarzały się też wypadki donosów, że złości lub innych pobudek. W taki sposób znaleziono też w obcasie buta złote monety dolarowe, wszystko, co znaleziono to przeważnie u Żydów.

Wracając do naszego „dieduszki” wspomnę, że będąc z nim sam na sam bez osoby trzeciej, można się było od niego coś niecoś dowiedzieć. Na przykład pewnego razu, korzystając z okazji, zapytałem go: „Dieduszka, chto z nami budiet?” („Co z nami będzie?”). Odpowiedział natychmiast bez namysłu (tłumacząc na polski), że stąd się jedzie tylko na białe niedźwiedzie.

Jak się później okazało, nie było w tym ani krzty przesady, słowa spełniły się co do joty, chociaż nie wiedział, że wyrok mam „spław drzewa Dwiną”.

Pod koniec sierpnia zaczęły dochodzić wieści, że transporty już odchodzą, zgodnie z tym, gdzie kto został skazany. Wyroki były różne – od pięciu do piętnastu lat. Zdarzały się i dożywocia, a jak się później okazało, to i rozstrzelania w więzieniach, np. Charkowie.

Pogłoski zaczęły się sprawdzać. W Mikołajowie zostaliśmy załadowani, ale już mniejszymi grupami do wagonów więźniarek i w znacznie lepszych warunkach przewiezieni do obozu przejściowego w Charkowie. Ciągłe udawało nam się być razem ze Staszkiem. W Charkowie, dopiero po wyroku Staszek wyjawiał mi, jakie miał zadanie ze Związku Walki Zbrojnej w Krakowie. Mianowicie miał się udać przez zieloną granicę do Turcji, tam mieszkała jego siostra (była nauczycielką), następnie miał nawiązać kontakt z organizacjami ruchu oporu i Związkiem Walki Zbrojnej we Lwowie, bądź z innymi organizacjami z zadaniem organizowania przerzutów ochotników województw wschodnich do Armii Polskiej we Francji, poprzez współorganizowanie sieci przerzutowej przez Karpaty. W razie naszego aresztowania mieliśmy zażądać azylu politycznego, a liczyliśmy, że za przejście granicy może nas czekać kara najwyżej sześciu miesięcy więzienia, to byłby okres od grudnia do czerwca, później mieliśmy nawiązać kontakt, jako że ja miałem ciocię w Truskawcu i tam się miałem zatrzymać po wyjściu z więzienia. Miałem być jego współpracownikiem. Jak na dobrego „dwójkarza” przystało, Staszek wcześniej nie zdradził mi swej misji i to było dla mnie bardzo szczęśliwe, gdyż w czasie śledztwa mogło być różnie.

Oboz w Charkowie był obozem, w którym segregowano więźniów według kategorii wyroków. Jedni na roboty przymusowe, drudzy na dalsze więzienia i śledztwa, jeszcze inni na rozstrzelanie (ale o tym dowiedzieliśmy się bardzo późno).

Zdając sobie sprawę z tego, że słowa „dieduszki” zaczynają się sprawdzać, postanowiliśmy obaj zasymulować choroby. Po zapisaniu się do lekarza, zostaliśmy zbadani przez dokonanie powierzchownych oględzin i uznani za zdrowych z tym, że zmieniono nam miejsca pracy. Ja zostałem skierowany w rejon Uchta-Peczora, gdzie został skierowany Staszek, dowiedziałem się o rok później.

W Charkowie, po sformowaniu odpowiedniego „eszelonu” (transportu w warunkach bliźniaczo podobnych do tych, w jakich jechaliśmy z Polski), w takich samych zakratowanych i zabezpieczonych drutami oknach wagonach towarowych, zostaliśmy dowiezieni do obozu w Książ Pohost, a następnie do Kotłasu.

W Kotłasic zostaliśmy wyładowani i skierowani do obozu przejściowego. Po kilkunastodniowym pobycie, pod bardzo silną eskortą, zostaliśmy załadowani na statek żeglugi rzecznej o napędzie parowym za pomocą dwóch kół z czerpakami po obu stronach burt¹⁰. Czegoś takiego do tej pory w życiu nie widziałem. Statkiem tym płynęliśmy w górę rzeki Wyczegda do miejscowości Ust-Wym.

Po wyokrętowaniu ustawiono nas gęsiego i każdy dziesiąty otrzymywał małą miedniczkę, do której kucharz wlewał 10 chochli zupy i tak aż do wyczerpania się naczyń. Każdy z nas posiadał drewnianą łyżkę, nosząc ją przeważnie za cholewą lub za pazuchą, biada temu, kto zgubił łyżkę.

Po otrzymaniu wspomnianej porcji, naczynia ustawiano na ziemi, siadano wokół naczynia i rozpoczynano jedzenie. Wszystko działo się w błyskawicznym tempie, bo na naczynia w kolejce czekali już inni więźniowie.

Tragedią było, gdy trafiło się na większość Ruskich w dziesiątce. Ugotowaną strawą była kasza jaglana, a jej omastę stanowiły ryby wrzucone do kotła tak jak rosną, z łuską i wnętrznościami. Wszystko było jeszcze wrzątkiem, który to Rosjanie łyżkami wkładali do ust. Jeśli ktoś chciał sobie wydymuchać, to zjadł tylko tyle, ile nabrał pierwszy raz na łyżkę. Gdy zaś znalazło się dziesięciu rezolutnych, to najstarszy wiekiem obejmował komendę, odliczając na tempo i wszyscy nabierali następne łyżki, aż wszyscy zjedli pierwszą tak, że nikt nikogo nie krzywdził i to trzeba było robić szybko, gdyż następni czekali na naczynia. Nie był to sporadyczny

¹⁰ Statek bocznookołowy.

wypadek, tak też działo się w żywieniu obozowym, stąd ja do dnia dzisiejszego nie mogę się wyleczyć i ciągle zapadam na choroby przewodu pokarmowego.

Z obozu w Ust-Wym przewieziono nas samochodami do przystani nad rzeką Peczorą. Na samochody ładowano nas jak śledzie w pozycji stojącej, a następnie, pod groźbą użycia broni, zmuszono do pozycji siedzącej. W takiej to pozycji odbyła się nasza podróż. Na tym prowizorycznym przystanku załadowano nas znów na podobny statek żeglugi rzecznej i odpłynęliśmy rzeką Peczorą. Wyżywienie tradycyjne, jak w poprzednim transporcie rzeką Wyczegda. Zmora tej podróży było to, że płynąc rzeką, nie mogliśmy napić się wody, prawie ginąc z pragnienia, a widok wody jakby potęgował pragnienie.

Z opresji tej wybawił nas prosty pomysł, ktoś przemycił do ubikacji blaszankę, inni kawałki sznurków, skąd tylko udało się zdobyć, nawet niektórzy od spodni. Sznurki powiązane do blaszanki spuszczano poprzez otwór, który służył do załatwiania potrzeb fizjologicznych. W taki sposób zdobytą wodę piliśmy, gasząc potworne pragnienie i ściśle przestrzegając tego, by nie zauważył pilnujący nas konwój, który też korzystał z tej ubikacji. Ktoś nawet podsłuchiwał rozmowę konwojentów, co w tłumaczeniu na polski brzmiało: „Tak dziwny to ten polski naród, tak mało jedzą, a tak często srają”.

Tym razem płynęliśmy z prądem rzeki i na jednym z zakoli tej ogromnej rzeki, na prowizorycznym przystanku, zostaliśmy wyładowani, rzec by można, na wysokości centralnego gulgau w Uchcie, a stąd już pieszco kilkanaście kilometrów do samego obozu. Październik miał się ku końcowi, kiedy wprowadzono nas na teren obozu. Obóz w Uchcie był ogniwem łańcucha obozów od Uchty do Workuty. W samym tylko obozie Uchty było kilka tysięcy więźniów różnych narodowości i płci.

Struktura obozu, jak się później dowiedziałem, była taka, że począwszy od komendanta obozu do żołnierzy, którzy strzegli nas i obozu, wszyscy byli tu za karę, czyli również skazańcami, jeden drugiego pilnował, czyli więźniem był kucharz, fryzjer, brygadzysta, każdy, kto się tutaj znalazł.

Tu w obozie każdy musiał mieć oprócz łóżki jakiś kociołek, z tym siedł do pracy i spał. Zaginięcie takiego naczynia równało się głodowaniu. Ponieważ w czasie podróży ktoś mi kociołek ukradł, pierwsze dni zupę pobierałem do wydłubanej z pestek połówki tykwy, czekając, aż ktoś posiadający takie naczynie umrze, ale i na to nie trzeba było długo czekać. Do obozu trafiliśmy akurat w czasie obchodów Dnia Rewolucji Październikowej¹¹. Obóz oblepiony był różnego rodzaju plakatami propagandowymi na cześć Stalina i rewolucji. Na każdym kroku widać było tragedię znajdujących się tu ludzi, widziałem profesora uniwersytetu ze Lwowa zjadającego z głodu głowy śledzi pozostawionych przez brygadzystów. Widziałem pułkownika, jak w kociołku gotował zupę z ości po śledziach.

Od pierwszego dnia naszego pobytu pędzono nas do pracy od godziny 6:00 do 16:00, w wielu wypadkach nawet dłużej, nie licząc dojazdu do miejsca pracy. Pobudka zarządzana była zawsze przed godziną 5:00 rano, na śniadanie otrzymywaliśmy pół litra czegoś, co miało być zupą, było tam zawsze kilka pływających kruszek jakiejś kaszy, a reszta sama woda. Po śniadaniu odpowiedni brygadzysta wraz z brygadą (tak byliśmy podzieleni) podchodził pod magazyn sprzętu i, w zależności od charakteru pracy w tym dniu, pobierał narzędzia. Po ich pobraniu prowadzono nas pod jedną z wielu bram wyjściowych obozu strzeżonego przez wojsko. Na bramie, w zależności od wielkości brygady roboczej, za pisemnym potwierdzeniem, odbierali nas żołnierze (konwojenci), którzy od tej pory byli panami życia i śmierci danej brygady.

Po urzędowych formułkach ostrzeżenia, konwój wyruszał do miejsca pracy niejednokrotnie kilkanaście kilometrów dziennie. Po przybyciu na miejsce, brygadzysta wydzielał pracę odpowiednim grupom roboczym. Wykonywane prace to między innymi: wyrąb lasu, cięcie drzew na odpowiednio ustalone długości – od sągów do dłużycy, kopanie rowów melioracyjnych, kopanie, przewożenie i plantowanie ziemi, zabijanie kafarem o napędzie ręcznym dziewięciometrowych pali, budowanie fundamentów na zabitych palach pod budowę szy-

¹¹ Dzień ten przypada 7 listopada (czyli 25 października według kalendarza juliańskiego obowiązującego w Rosji gdy rewolucja wybuchła; kalendarz gregoriański został wprowadzony już po rewolucji).

bów naftowych, budowę linii energetycznych, budowę rurociągów parowych i ich ocieplanie itp. prace.

Wypadek, który chcę opisać, miał miejsce w grudniu 1940 r., kiedy to przyszlismy do pracy przy wyrębie drzewa, cięciu i układaniu w tak zwane sągi. Brygada była mieszana, ale przeważali Żydzi i Rosjanie. Obok siebie pracowało kilka brygad, o ile Polacy i Żydzi poszli ścinać wyznaczone drzewa, o tyle Rosjanie siedzieli przy rozpalonym wcześniej ognisku, grzejąc się i nic nie robiąc.

Jeżeli któraś z brygad nie wypracowała normy, to cała brygada otrzymywała tylko po 300 gramów chleba bez drugiego dania. Po ścięciu sosny obcinałem gałęzie, brodząc po pas w śniegu. Mróz dochodził do 35 stopni poniżej zera (do pracy się nie szło, gdy temperatura przekraczała minus 50 stopni). Chcąc się ogrzać, aby chwilę odpocząć, udałem się w kierunku ogniska. Kiedy byłem już blisko, jeden z Ruskich, znany wśród nich recydywista, widząc, że idę w ich kierunku krzyknął: „Polaczok, dawaj rabotać!” i polanem palącego się drzewa rzucił w moim kierunku. Uchylając się od uderzenia, złapałem głównię i odrzuciłem w kierunku siedzących przy ognisku Rosjan, przy czym, jak zwykle, siekierę miałem za pasem na brzuchu. Wtedy jeden z nich złapał tę palącą się głównię i ruszył w moją stronę, chcąc mnie uderzyć. Niewiele się namysłając, błyskawicznie wyjąłem siekierę zza pasa i wpakowałem mu w brzuch. Działo się to na oczach konwojentów. Podnieśli oni krzyk, wzywając wszystkich do podniesienia rąk do góry. Podniosłem więc ręce do góry, podczas gdy inni z jego brygady zaczęli go ratować. Położono go na naprędcie skleconych z patyków noszach i pod konwojem, i jego i mnie, odprowadzono do obozu. Jego zabrano na izbę chorych, a mnie zaś pod natychmiastowy sąd.

Byłem zdesperowany i było mi wszystko jedno, co będzie. O wszystkim zadecydował świadek-żołnierz z konwoju, ten ku mojemu szczęściu zeznał tak, jak było i z górą po godzinnej rozprawie zostałem zwolniony.

Poszkodowany prawdopodobnie również wyszedł z tego zajścia względnie dobrze, gdyż był w kufajce i „buszałce” (w odzieży watowanej), niemniej w obozie tym już go nie widziano, gdyby nawet zmarł, to i tak nikt by nic nie wiedział.

Przypuszczam, że za to zajście otrzymałem dwa miesiące „komandirowki”. Zajście zelektryzowało niemal cały obóz, a ja zostałem jego „bohaterem”. Ten właśnie przypadek prawdopodobnie uratował mi życie, a przynajmniej polepszył warunki bytu w obozie.

O ile przedtem musiałem stać w urzędowej kolejce po strawę, o tyle teraz, gdy tylko zbliżyłem się do okienka, robiono mi natychmiast miejsce. Po tym zajściu, pierwszy po godzinach wydawania posiłków, poprosił mnie do siebie kierownik kuchni, również więzień jak każdy, z pochodzenia Kurylec. Nazwiska i tak by nie dało się zapamiętać, dał mi najęść się do syta i zaproponował mi zajęcie po godzinach mojej pracy. Miałem pomagać przy czyszczeniu ryb, smażeniu, zmywaniu naczyń itp. robót. Dzięki niemu miałem duże względy w pracy u brygadystów, którzy zależni byli od kierownika kuchni, jeśli chodzi o wyżywienie (które mieli oddzielnie). Po prostu oni też ratowali się dożywianiem, a ten dał im do zrozumienia, że jeśli zrobią mi krzywdę, to nie mają do niego po co przychodzić.

Na jego prośbę bardzo dużo opowiadałem mu o naszym kraju, co dla niego było trudne do zrozumienia. Życie moje zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W tych warunkach powiedzenie: „Stoliczku nakryj się” i „Latający dywan” było niczym w porównaniu z czarką zupy i kawałkiem smażonej ryby. W baraku, w którym mieszkalem, obok mnie na „narach” miał swoje łóżko były oficer artylerii, serdeczny mój starszy przyjaciel, któremu dużo pomagałem jak wielu innym kolegom, ale z tego powodu omal nie wpadłem w poważne tarapaty. Jeden z naszych chłopców, chcąc się pochlebić kierownikowi kuchni, sygnął, że podkradam bony z kuchni na wydane już posiłki, co oczywiście było prawdą.

Kurylec wezwał mnie do siebie, zbeształ i nawymyślał, że jego i siebie chcę wpakować do jeszcze gorszego obozu. Niemniej darował mi i przestrzegł, bym więcej tego nie robił, co solennie przyrzekłem.

Opowiadałem mu nadal o życiu w naszym kraju, o tym, jak grałem w piłkę w drużynie juniorów, że mój starszy przyrodni brat pracował w wojskowych warsztatach i dosyć dobrze zarabiał, a ja miałem dodatkowy obowiązek wyczyścić mu rower i „narobić” papierosów na

cały tydzień, o tutkach, o tytoniu i maszynie do robienia papierosów. Za to w każdy piątek po wypłacie otrzymywałem 2 złote i mówiłem, co za taką kwotę można było kupić. Przypuszczam, że niektóre moje opowiadania wydawały mu się niewiarygodne.

Niedługo po świętach Bożego Narodzenia, ale już w 1941 roku, stał się prawie cud. Otóż ten mój starszy kolega oficer otrzymał paczkę z Polski. Były tam słodczyce, wypieki, papierosy, tytoń, ale było to tak połamane i wymieszane, że nie wiadome, co jest, a co nie dotarło.

Po głębokim zastanowieniu się oficer ten rzekł: „Kolego Władysławie, nas to nie zbawi, niech kolega to wszystko, jak jest, zaniesie i da temu kierownikowi kuchni”. Tak jak postanowiono, tak zrobiłem, dla mnie było to potwierdzeniem, chociaż częściowo mojej prawdomówności. Niezapomniane będą moje rozmowy, przeważnie nocne, z obok mnie mieszkającym starcem, niepozornym i obdartym, a jednak profesorem jednej z akademii moskiewskich, jakiego kierunku, nie wiem, po prostu nie pytałem. W rozmowach zaintrygowała mnie jego dokładna znajomość naszego kraju i stosunków życia przedwojennego. Miał dożywocie, pocieszailiśmy się wzajemnie, on jednak przewidywał, że dojdzie do wojny niemiecko-sowieckiej. Ponieważ losy rzuciły go do innego obozu, trudno powiedzieć, co się z nim stało.

Czytelnika zastanowią nazwiska osób, otóż w tamtych warunkach istniały tylko osoby bezimienne ze względu na niebezpieczeństwo „wsypy” bądź donosu, stąd nikt nikogo nie pytał o nazwisko, bo i tak nie było powodu, by wierzyć lub nie.

Nadszedł czas wykonania mojej „kary”, czyli „komandirówki”. Dzięki radzie tego profesora ratowałem zęby, jak mogłem. Opowiadał mi, że skorbut jest powodowany wycieńczeniem organizmu i brakiem witamin. Nie wiedziałem, gdzie zostaną zawieziony, ale pomny jego rad: „Gdyby ci się zdarzyło pracować w lesie, to pod śniegiem będą czarne i czerwone jagody, jedz ich jak najwięcej”.

Na „komandirówkę” jechało się w takim a’la baraku, ciągniętym przez traktor na gąsienicach. W tym czasie przystąpiono do eksploatacji odkrytych terenów naftowych w tym rejonie. Do takiego baraku załadowano 10–15 osób i wieziono na wyznaczony rejon. Tam wycinaliśmy las na szerokość drogi, a traktor w tym czasie wyciągał pnie przy pomocy lin i tak posuwaliśmy się w głąb lasu, dalej i dalej. W wyznaczonym przez geodetów punkcie wycinaliśmy las, uprzętailiśmy drzewa, formując odpowiednie „sągi” i śnieg, pod którego pokrywą znajdowaliśmy duże ilości jagód. Nadmienić trzeba, że stopa ludzka oprócz naszej nigdy tu nie była.

Prowiant otrzymywaliśmy raz na tydzień. Trzeba było tak dzielić, by wystarczyło do następnego zaopatrzenia. Inaczej, jeśli ktoś zjadł szybciej niż było przewidziane, trzeba było głodować. Każdy, jak wspomniałem, posiadał kociołek (puszka po konserwie), który służył do gotowania i jedzenia jako talerz i do mycia, jako miednica. Myśliśmy się bezpośrednio śniegiem. Jeśli w danej miejscowości była woda, to gotowano w wodzie, jeśli zaś nie było wody w pobliżu lub nie było można do niej dotrzeć, to piliśmy śnieg i na takiej wodzie gotowaliśmy nasze pożywienia. Jadało się tylko przed i po pracy. Po wykonaniu danej pracy, posuwano się dalej w głąb lasu, aż do czasu ukończenia kary, po czym przyjeżdżała nowa „komandirówka”, oczywiście za karę.

Będąc jeszcze w obozie, rozmawialiśmy o ucieczce. Zaczęliśmy do kufajek (watowanek) zasywać suche skórki chleba. Młodzi i głupi myśleliśmy o ucieczce na 1 maja, kiedy to na Święto Pracy większość pilnujących obozu będzie pijana. Zwierzyłem się zaufanemu starszemu Ruskiemu, który się serdecznie uśmieł i stanowczo odradził, twierdząc, że tu obóz obozu pilnuje, a jeżeli uda nam się uciec, to umrzemy z głodu lub zaraz nas złapią, tym bardziej, że na 1 maja śnieg był powyżej drutów ogrodzenia obozu, a żołnierze pijani byli, ale z głodu. Po powrocie z „komandirówki” nadchodziła wiosna, ucinaliśmy młody las, cięliśmy na belki na szerokość drogi i układaliśmy prostopadle do niej. Jeden obok drugiego, co spięte razem belkami tworzyło drogę. Drogą tą transportowano ropę w cysternach umieszczonych na płozach również z drewnianych belek z terenu eksploatacji aż do twardej drogi.

Przy intensywnych roztopach drogę taką zabierała woda i budowę rozpoczynano na nowo. O ile zimą zmorą były niskie temperatury, o tyle w okresie szybkiej wiosny plagą były niezliczone tumany komarów. Bez maski nie można było się poruszać, gdyż pogryzienia mogły być nawet

śmiertelne. W zimie poza białym zającem, rzadko niedźwiedziem, a w lecie plagą komarów, żadnego stworzenia w tym rejonie nie było. Tak więc porzuciliśmy myśli o ucieczce, pomni na przestrogi, pogodziliśmy się z naszym losem.

Osobny rozdział poświęcić należy naszemu brygadziście o nazwisku Musatow. Był Rosjaninem w moim wieku, może nawet nieco młodszy, jak rówieśnik rówieśnika zapytałem: „Musatow, za co ty siedzisz?”. Ten, jakby mając do mnie zaufanie, powiedział z goryczą: „za szutki” („Za żarty”). Opowiedział, jak to chodząc do technikum mechanicznego w Leningradzie w czasie przerwy żartowano, rzucając do siebie kulkami ze zmiętego papieru. „W pewnym momencie ktoś mocniej uderzył mnie taką kulką, więc nie namyślając się wiele, wyjąłem kałamarz z ławki, owinałem papierem i rzuciłem w jednego z kolegów. Ten odrzucił do mnie, więc zdjąłem buta i chciałem go trafić, on uchylił się za katedrę, a but uderzył w portret Stalina, rozbijając szkło. Na to wszedł profesor i pyta, kto to zrobił? Tu już nic zrobić nie można było, więc odpowiedziałem, że ja to zrobiłem. Na nic były moje tłumaczenia, na nic było to, że ojciec był wysokim oficerem NKWD w Leningradzie. Dostałem wyjątkowo niski wyrok, 5 lat zsyłki i tu się znalazłem”. Zatem jesteśmy kolegami, niejednokrotnie w chwilach przerw rozmawialiśmy na różne tematy w większości o sporcie.

W innej znów rozmowie żaliłem się, że nie możemy wykonać normy, na to tenże Musatow na osobności powiedział mi tak: „Wołodja” – bo tak mnie nazywał – brygada ma trzy grupy. Tak godzinę myśl, a za pięć minut wykonaj, jak ja pójde do jednej grupy, to wy ten dziewięciometrowy pał przepilujecie na pół i kafarem raz uderzysz i norma będzie szybko wykonana. Pozostałe pale, które zostaną, wynieście do lasu”. Prace te wykonywano tylko w zimie, gdy było zamarznięte. Tak zabite pale zamarzały, a cieśle na tychże palach budowali fundamenty pod maszyny wiertnicze, a ślusarze montowali urządzenia wieży wiertniczej.

Wieża taka stała do czasu roztopów, później, idąc do pracy, widzieliśmy wieżę nieco pochyloną, a przy większych roztopach, gdy wracaliśmy z pracy, to wieża leżała już w błocie i czasami nie tylko ta, którą myśmy budowali.

Tym razem brygada nasza została wyznaczona do budowy sieci energetycznej. Każdy miał wykopać kilka dołów i grupa miała postawić i zakopać wyznaczoną ilość słupów. Normę wykonywaliśmy w ten sposób, że zdzieraliśmy torfową nawierzchnię do głębokości najwyższej 50 cm. Dół taki można było wykopać, ale kopiąc jednym ciągiem bez przerwy i szybko, ponieważ za każdym sztychem łopaty podchodziła woda. Mimo niskiej temperatury, pod tak grubą warstwą śniegu i torfu ziemia nie zamarzła. W taki dół wstawiano słup, obkładano darnią torfu, przybijano podpórki, ubijano śniegiem i norma była wykonana. Inna grupa zakładała izolatory i przewody. W okresie, kiedy wszystko było zamarznięte, linia taka stała do czasu odwilży i roztopów. Wtedy słupy te trzymały się jedynie na przewodach, a podpórki niejednokrotnie wisały w powietrzu na wysokości od 50 do 100 cm, w zależności od grubości śniegu w czasie wykonywanych prac. Po ociepleniu linia taka leżała w błocie, w zależności, na którą stronę przeważały przewody. W wypadku wycinania drzew i układania w „sągi”, siedziało się przy ognisku, robiąc coś w międzyczasie. Trwało to do czasu, kiedy miał nastąpić odbiór wykonanych prac, mający wpływ na wypracowanie normy.

Gdy do grupy zbliżał się odbiorca pracy, błyskawicznie cała brygada rozsypywała się po lesie i znosiła drzewo z innych sągów już wcześniej odebrane w innych grupach. Po odebraniu pracy u nas, inna brygada korzystała z drzewa odebranego u nas i w ten sposób większość brygad miała wykonaną normę na dziś, a jutro proceder powtarzano od nowa.

Nie było natomiast możliwości wykonania normy przy robotach ziemnych, tu nie wynaleziono żadnego sposobu. Najłatwiejsze było wykonanie normy przy pracach melioracyjnych i dobrze było, gdy na końcu była grupa robocza o przeważającej liczbie Żydów. Wtedy wystarczyło tylko zerwać wierzchnią darń torfu i trochę pogłębić, zanim woda całkiem podeszła i czekać. Kiedy przychodził odbiorca robót i mierzył głębokość, z reguły mówił, że za płytko i wtedy ruski „bańdziol” brał od niego łopatę, wpychał ją w torfowy pokład, ile się tylko dało. Trzymając drugą rękę w wodzie, zmywał nalepione błoto wyjmowanej łopaty, oczywiście klnąc siarczyście i wytykając, że on nie umie mierzyć. Kiedy następnego dnia przekopano rów tam, gdzie kopali Żydzi i jak woda zeszła, to głębokość rowu sięgała najwyższej od 50 do 100 cm,

a miała wynosić dwa metry. W taki sposób wykonywano wiele przeróżnych norm w miarę intensywności i pomysłów, a jak wiadomo, potrzeba matką wynalazków, niegłupi to powiedziales.

Wracając raz jeszcze do osoby brygadzysty Musatowa, to z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że był on wyjątkowo dobrym człowiekiem, on zawsze ustalał, która grupa i kiedy dostanie jaką normę, nie patrząc, czy to Polak, Żyd, czy Rosjanin. Jego wyliczenia norm nie były nigdy kwestionowane przez tak zwane „kantory”¹², a on, jak prace brygady opisał i w ułamkach wyliczył, to i „kantora” tego rozebrać nie mogła. Trwało to wszystko mniej więcej do połowy sierpnia 1941 r. W dniu tym, jak w każdym innym, wyszliśmy do pracy o świcie, niczego nie przewidując. W godzinach popołudniowych, kiedy byliśmy już w połowie wykonanej naszej dziennej normy przy kopaniu rowów melioracyjnych, na torfowisku spostrzegliśmy jakiś oddział wojskowy z psami. Wzbudziło to w nas duży strach i niepokoiła nas myśl, że może to być oddział egzekucyjny, co nie byłoby dla nas niczym dziwnym.

Wezwano nas do zebrania się wokół przybyłych, a czyniliśmy to bardzo niechętnie, gdyż zbiórki takie odbywały się pod byle pozorem i z byle przyczyn.

A jednak stał się cud. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy jeden z tych wojskowych w stopniu chyba pułkownika, doniosł głosem zwrócił się do nas: „Grażdanie Polaki, Józef Stalin podpisał układ z generałem Sikorskim o utworzeniu Wojska Polskiego w ZSRR i z tą chwilą jesteście wolni”¹³. Radość nasza nie miała granic, jedni śpiewali „Boże, coś Polskę”, inni „Serdeczna Matko”. Łzy radości widać było nie tylko na twarzach Polaków, ale i Żydów. W takiej chwili każdy z nas byłby gotów uściśnąć najgorszego wroga.

Mimo, że od tej chwili byliśmy objęci amnestią, doprowadzono nas pod konwojem do obozu, a tu wypadki potoczyły się błyskawicznie. W bramie obozu ustawiono stół i ułożono akty więzienne, osobiste każdego więźnia. Następnie zaczęto wyczytywać według alfabetu nazwiska Polaków. Ponieważ byłem na literę „S”, dość odległą w alfabecie, oczekiwanie płynęło mi bardzo wolno i nie mogłem się doczekać, mimo że nikt nie widział, co go czeka za bramą obozu. Po wyczytaniu mojego nazwiska, wpuszczono mnie za bramę, gdzie już oczekiwali inni koledzy.

Gdy ukończono wyczytywanie wszystkich Polaków, którzy posiadali dokumenty, obóz przegrodzono zasiekami z drutów i do ogrodzonej części wpuszczono więźniów innych narodowości oraz tych, których dokumentów nie było.

Tutaj też nastąpiła tragedia tych, którzy byli narodowości polskiej, a kierownictwo obozu nie posiadało z różnych powodów ich dokumentów osobistych. Ludzie ci nie podlegali zwolnieniu i nigdy już później w życiu ich nie spotkałem. Jestem przekonany, że jeżeli ktoś z nich został przy życiu, to jest nadal w tym rejonie Sybiru. Jako wolni, postanowiliśmy udać się do pobliskiego lasu, gdyż mimo letniej pory można było zbierać czarne borówki, by chociaż tym zaspokoić głód.

Po powrocie do obozu jeszcze tego samego dnia, zgrupowaliśmy się wokół jednego z kolegów o charakterystycznej długiej brodzie, nazwiska tej osoby nie znałem wtedy ani później. Natomiast kojarzył mi się on z osobą św. Józefa, który wywiódł Świętą Rodzinę przed Herodem do Egiptu. Człowiek ten wybrał z nas ochotników i powiedział, że będziemy się starali na własną rękę dostać do miejsca formowania Wojska Polskiego.

Wybraliśmy się w grupie trzynastu osób. Ile dni i nocy szliśmy do najbliższej kolejki leśnej trudno dziś określić. Utkwiło mi w pamięci tylko to, że na przystanku tym ładowano wyłącznie drzewo. Nasz przewodnik, odtąd będzie nazywany „podchorąży”, polecił nam być w pobliżu tego przystanku, nigdzie się nie oddalać i czuwać aż do odjazdu, gdyż byliśmy bez jakichkolwiek dokumentów. Zostało nas dwunastu, gdyż jeden nam się po drodze zagubił. Tym transportem dojechaliśmy do miejscowości już większej, była tam tak zwana Komenda Wojenna. Udał się więc nasz podchorąży do tej komendy i zdobył jakieś zlecenie na chleb i cukier dla nas dwunastu. Po odebraniu tej żywności w magazynie, solidarnie prowiant rozdzielono, a ponieważ każdy z nas był już u kresu sił, posiłek ten spożyliśmy w iście amerykańskim tempie. Ale było już

¹² Prawdopodobnie chodzi o biura, tzn. administrację obozową dokonującą odbioru wykonanych prac.

¹³ Mowa tu o układzie Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 roku. Ze strony radzieckiej podpisał go nie Stalin, a Iwan Majski – ambasador ZSRR w Londynie.

nie tak źle, mieliśmy „poświtek”¹⁴, że jest nas dwunastu i jedziemy do wojska. W grupie tej po wielu jeszcze perypetiach dotarliśmy do Kotłas. Bez żalu, a z wielką nadzieją opuszczaliśmy ten region dalekiej północy, gdzie w pewnym okresie noc trwała dwie godziny. O 23:00 słońko zachodziło, a o 1:00 po północy już wschodziło. Tu mogliśmy do woli oglądać przepiękne zjawisko polarnych zorcz z żółdkiem skurczonym od głodu.

W Kotłasie spotkaliśmy już wielu Polaków z różnych rejonów, którzy, tak jak my, dążyli do tworzącej się gdzieś tam Armii Polskiej. Po kilku dniach pobytu, otrzymaniu żywności, transportem z prawdziwego zdarzenia, bo w wagonach towarowych, dojechaliśmy do miasta Kirow. Tutaj nasz podchorąży, znów sobie tylko wiadomym sposobem, wydebił w „Wojenkomandzie” duży przydział chleba i cukru (przypuszczam, że przerobił „poświtek” z 12 na 120 osób), a po pobraniu tegoż prowiantu, solidarnie rozdzielił między nas. Ponieważ było tego dosyć dużo, udaliśmy się na bazar w tym mieście, sprzedając, jak mówili Ruscy, w „try miga”, a za zdobyte w ten sposób pieniądze, kupowaliśmy arbuzy, pomidory i mleko (to ostatnie piłem jeszcze w domu w 1939 r.).

Mimo przestrogi kolegów, nie mogłem opanować chęci najedzenia się do syta. Ulegając pokusie, zaraz po powrocie do wagonu, zachorowałem na biegunkę, a że na żadnej stacji nikt nigdy nie wiedział, kiedy pociąg odjedzie, biegłem bez przerwy od transportu do ubikacji na stacji.

W pewnym momencie dostałem tak silnych bólów, że straciłem przytomność. Kiedy odzyskałem świadomość i wróciłem, ku mojej nieopisanej rozpacz, transportu nie było, ponieważ już odjechał. Cały uciulany zapas żywności oraz buty z opony samochodowej pojechały z transportem. Zostałem na peronie miasta Kirowa bosi i w „rubaszce” (koszuli) ze łzami rozpacz w oczach. Z zadumy tej wyrwał mnie patrol wojskowy, który wypędził mnie z dworca kolejowego na ulicę. Udałem się więc, tak jak byłem, na bosaka, w głąb miasta. W Kirowie, o tak dużej liczbie rannych frontowców, wracających z pola walki, a w większości ze szpitali, nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Wiedziony instynktem, ani się nie spostrzegłem, kiedy za miastem wszedłem na teren kolejowy i torami wróciłem na dworzec, z tym, że po drodze wystrzegałem się spotkania z kimkolwiek w mundurze. Dotarłem do stojącego na torze pociągu, do którego wsiadali podróżni. Ażeby nie wejść z kimkolwiek w kolizję, obszedłem pociąg i niespostrzeżenie wsiadłem do wagonu z przeciwnej strony. Zamelinowałem się na trzeciej półce pod sufitem, uprzednio dowiadując się, czy pociąg ustawiony jest na Gorki¹⁵ i tym sposobem dojechałem do wspomnianego miasta.

W czasie kontroli biletów, konduktorka zażądała biletu. Powiedziałem jej, że jestem Polakiem i że jadę do wojska. Popatrzyła na mnie i na mój ubiór, który to wygląd najwidoczniej wzbudził w niej litość, bo zapytała mnie po rusku: „Ty chyba jesteś głodny?”. Po chwili rozmowy oddaliła się, kontrolując bilety, ale po pewnym czasie wróciła z bochenkiem chleba i chciała mi go dać, a mnie jakby tknęło i zapytałem – „U ciebie rybionki jest?” („A dzieci ty masz?”). Odpowiedziała mi: „Tak, mam troje”, więc zapytałem: „Co ty będziesz miała dla dzieci?”. A ta odpowiedziała mi „Dawajcie wozmem eto popołam” („To weźmy to po połowie”). Razem ten chleb dzieliliśmy, patrząc nań oczami pełnymi łez, tak się uwidoczniła litość matczynego serca, inaczej tego skomentować nie można.

Gdy pociąg dojechał do stacji, w strugach deszczu pospiesznie wysiadłem i sprintem przebiegłem hol. Ku zdumieniu biletera, na bosaka wskakując w biegu do odjeżdżającego tramwaju, przemoknięty, nie czekając na pytania, powiedziałem, że jestem Polakiem i jadę do wojska, a zgubiłem transport.

Kiwając głową na mój widok, poradził mi, bym jechał do ostatniego przystanku, tam jest blisko dworzec towarowy. Wysiadłem, więc na ostatnim przystanku i udałem się w kierunku dworca towarowego, gdzie u dyżurnego ruchu dowiedziałem się, że taki transport był, ale już odjechał w kierunku stacji osobowej (tej, na której wysiadłem). Nie czekając dalszych jego rad, udałem się w kierunku stacji osobowej. Dochodząc do nastawni przed dworcem

¹⁴ Zaświadczenie.

¹⁵ Obecnie Niżny Nowogród.

dowiedziałem się, że i stąd transport już odjechał. Jakiś starszy wiekiem nastawniczy kazał mi wejść do pomieszczenia, odpocząć i wysuszyć koszulę. Dał mi nawet kawałek chleba, bo już prawie dobieć nie jadłem. Tenże nastawniczy poradził mi, abym nie szedł na dworzec osobowy w Gorkim, tylko go ominął i dopiero na następnej stacji wsiadał. Zrozumiałem przestrogę.

Poinformował mnie również, że dość często chodzą pociągi, które zabierają zmobilizowanych do wojska i zatrzymują się na każdej stacji. Skwapliwie skorzystałem z rad tego dobrego człowieka i pieszko na bosaka, tak jak byłem, udałem się torami, a następnie omijając dworzec, doszedłem do następnego przystanku. Do tego miejsca doszedłem dość późno i rzeczywiście niedługo czekałem. Wjechał prawie pusty pociąg, więc wsiadłem do ostatniego wagonu. Jeśli jacyś pasażerowie wsiadali do ostatniego, to ja przechodziłem dalej, aż do wagonu przed parowozem. Właśnie w nim siedziało kilkunastu oficerów, nieźle pijanych, a ponieważ nie podobał im się mój wygląd, kazali mi opuścić ten wagon, twierdząc, że tu „nie liza” („nie wolno”). Nie miałem innego wyjścia, jak tylko ucześcić się schodków parowozu, przełożyłem nogę za szczebel i trzymając się rękami, tak jechałem byle dalej. Na parowóz obawiałem się wejść, bo załoga równie dobrze mogła mnie wyrzucić. Na jednym z przystanków zmieniłem stanowisko o tyle, że jechałem na zderzakach między parowozem a tendrem trzymając się metalowego uchwyty.

Na jednym z następnych przystanków pociąg zatrzymał się i ku mojej olbrzymiej radości, zobaczyłem podchorążego z jego charakterystyczną brodą. Nie opuszczając swojego miejsca krzyknąłem: „Gdzie jest nasz transport?”. Ten zdziwiony odrzekł, jeśli możesz, jedź o jedną stację dalej, tam powinien być transport, bo ja też zostałem. Po dotarciu do kolejnej stacji z wrażenia czy ze zmęczenia, trudno to dziś określić, nie miałem siły rozprostować zaciśniętych palców, tak kurczowo się trzymałem.

Po opuszczeniu pociągu, rzeczywiście odnalazłem nasz transport. Ponieważ koledzy nie liczyli, że mogą się jeszcze odnaleźć, zjedli moje zapasy, jakie posiadałem tak, że tego dnia jadłem dopiero wieczorem z nowego dziennego przydziału. Transportem tym dojechalismy do miejscowości Tockoje nad rzeką Samarą.

Wspominam tylko ważniejsze wydarzenia, dla porównania niech świadczy fakt, że zwolnieni zostaliśmy w połowie sierpnia, a do Tockoje dotarłem 22 października, mam na uwadze tylko nasz transport. Oprócz naszego wyżywienia raz dziennie, ratował się każdy, jak kto mógł, na przykład, gdy transport zatrzymał się, kto żył, wyskakiwał szukać jakiegokolwiek pożywienia i obojętnie, co było w pobliżu – kukurydza, ziemniaki czy inne pożywienie. Zdobyte w ten sposób ziemniaki biegło się płukać, jeśli była w pobliżu woda lub pod hydrant, gdzie parowozy nabierały wodę. Poszukiwaliśmy różnych patyków i kamieni lub cegieł, na których ustawiano kociołek z kartoflami, podpalano i tak gotowano. Gdy parowóz gwizdał przed odjazdem, wszystko to likwidowano, by przy następnym postoju powtórzyć tę czynność. Po kilku nieudanych próbach, kartofle zjedzono na surowo.

Tockoje – Wojsko

Już następnego dnia udałem się do Komisji Poborowej, gdzie otrzymałem kategorię zdrowia i wcielony zostałem do 16 Pułku Piechoty. W miejscowości tej obozowaliśmy pod namiotami. Był to poligon carskiej kawalerii ze żłobami murowanymi z cegieł do karmienia koni, pokrycie stanowiły wiaty na drewnianych palach, kryte tylko czasami z góry blachą. Zanim otrzymaliśmy namioty, biwakowaliśmy pod tymi wiatami, jak kto stał i gdzie kto stał.

Na razie ćwiczeń nie było żadnych. Niektóre oddziały, przybyłe wcześniej, miały już swoje obozowiska, ustawione do sznurka namioty, a wykopane miejsca po obu stronach służyły za łóżka. Spało się na gołej ziemi, na czym kto miał, najczęściej na spodniach watowanych. Czapka służyła za poduszkę, a kufajka za kołdrę. Część wojska posiadała już watowanki i krótkie płaszcze fińskie, prawdopodobnie zdobyte w czasie wojny fińsko-sowieckiej, obuwanie na razie, jakie kto miał.

W dniu 20 października 1941 r. dowódca dywizji¹⁶ wydał rozkaz dotyczący organizacji, propozycja stworzenia batalionu „Dzieci Lwowskich” wyszła również z inicjatywy dowódcy dywizji generała Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Miał to być oddział do specjalnych zadań bojowych. Na pierwszej odprawie dowódców pułków, dowódca dywizji polecił sformowanie w ramach pułków po jednej kompanii lwowskiej, z których miał powstać Batalion Dzieci Lwowskich. W ten sposób zostałem przydzielony do samodzielnej kompanii lwowskiej, bo z powodu braku tyłu lwowian, zostali nimi wszyscy urodzeni na terenie województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. Tu dwoił się i troili nieliczni kapelani, którym udało się przeżyć piekło na nieludzkiej ziemi.

W każdą niedzielę w obskurnej stodole, bez okien, ustawiany był przewoźny ołtarz i tu odprawiane były nabożeństwa. Tu, w tej stodole, w tak niskiej temperaturze, z ust setek żołnierzy tułaczy, płynęła z gorących serc, co niedzielę pieśń „Serdeczna Matko”, a szczególnie jej druga zwrotka.

Nikt z żołnierzy nie stronił mimo zimna i niepogody od modlitwy rannej czy wieczornej, przecież mieliśmy za co Bogu dziękować. Od chwili mojego przybycia, cały obóz był już zaangażowany w przygotowania do defilady w dniu Święta Niepodległości 11 listopada.

Nie było dnia, w którym nie przybyłoby kilkunastu ochotników. Szeregowi i oficerowie, którzy przeżyli, zjeżdżali się z całego terenu ZSRR, na przykład z dalekiej północy, Archangielska, Murmańska, Republiki Komi, z Dalekiego Wschodu, tak z wzięciem jak i „wolnej sylki”, bo tak nazywano tych z Kazachstanu.

Niektórzy wracali już z południowej Rosji, Azji i okolic Taszkientu, dokąd władze sowieckie kierowały transporty. Mieszkaliśmy pod namiotami, w których stawiano piecyki, kuchnie, jak kto umiał (z rozebranych żłobów pobliskiego poligonu) i zdobycznej blachy.

Namioty przystosowywaliśmy do przetrwania zimy i mrozów w ten sposób, że obkładano je z zewnątrz trzciną znoszoną nierzadko z odległości kilku kilometrów z zakola rzeki Samary, podobnie zresztą jak i drzewa na opał.

Przed uroczystością Święta Niepodległości, przy alejce wiodącej do obozu, ustawiono trybunę z desek rozebranych wiat. Udekorowano bardzo skromnie z powodu braku materiałów do dekoracji.

Ja jeszcze umundurowania nie otrzymałem, stąd też nasz oddział w defiladzie przewidziany był na sam koniec. Defiladę odbierał gen. Władysław Anders w asyście przedstawicieli sowieckich i NKWD. Defilada zrobiła na nas duże wrażenie, w oczach mieliśmy łzy radości, że jesteśmy wolni i chociaż przyszło nam defilować w łachmanach, to w sercach mieliśmy nadzieję na poprawę losu. W miejsce łachmanów, w które początkowo byliśmy ubrani, przyszły niebawem rosyjskie kufajki, spodnie watowane, owijacze i buty z cholewami ceratowymi. W dniu 4 grudnia otrzymaliśmy już angielskie płaszcze, trzewiki, szaliki, rękawice i furażerki. Zagraniczne porządne umundurowanie było przedmiotem zazdrości bolszewików, furażerek zazdrościli nam nawet koledzy z innych oddziałów.

Ilość otrzymywanego pożywienia wskutek stałego zmniejszania racji żywnościowych, zwłaszcza chleba, była niewystarczająca, toteż wyrobił się popularny typ „desanciarza”, który w handlu zamiennym zdobywał w okolicznych kołchozach masło, ser, ziemniaki, a nawet świnie i krowy. Mimo trudnych warunków zakwaterowania i żywienia, udało się uniknąć epidemii tyfusu. Były tylko sporadyczne wypadki zachorowań, dzięki natychmiastowej izolacji chorych i gorliwej pracy lekarzy. Od samego początku dotkliwie odczuwaliśmy brak broni. Ćwiczenia odbywały się przy użyciu drewnianych karabinów, a nawet drewnianych działek i moździerzy.

Otrzymane dnia 3 grudnia 1 ckm, 5 karabinów, 1 rkm, 1 karabin automatyczny i 1 pistolet były pielęgnowane i służyły raczej do nauki o broni. Z brakiem regulaminów i instrukcji szkoleniowych radzono sobie z powodzeniem odtwarzając je z pamięci. Mimo wszystkich tych trudności, rozpoczęło się intensywne szkolenie. Na ćwiczeniach i w walce ze wzrastającymi mrozami nierzadko dochodzącymi do 40 stopni poniżej zera, upływał grudzień 1941 roku.

¹⁶ 16 Pułk Piechoty wchodził w skład 6 Lwowskiej Dywizji Piechoty.

Jaśniejszą chwilą w tych ciężkich czasach był dzień 12 grudnia, to jest dzień wizyty Naczelnego Wodza, generała Władysława Sikorskiego. Na przeglądzie i defiladzie batalion wystąpił umundurowany jednolicie od stóp do głów.

Defiladę odbierał gen. Sikorski w asyście gen. Andersa, gen. Szyszko-Bohusza, a także wojskowych Anglii, Ameryki oraz władz ZSRR i NKWD. Defilada ta zrobiła na Naczelnym Wodzu duże wrażenie, kiedy maszerowaliśmy przed trybuną z oczu tego wielkiego człowieka płynęły łzy, z naszych również łzy radości i myśli, że jesteśmy wolni. Każdy z nas był tak podniecony, że nikt nie czuł zimna, mimo że mróz w tym dniu był poniżej 35 stopni.

Jak wspominałem, mieszkaliśmy w namiotach, które trzeba było jakoś ogrzać, stąd też w miarę nasilania się mrozów, zmniejszała się liczba godzin ćwiczeń, a zwiększał się czas poświęcony na donoszenie drzewa na opał z okolicznych lasów.

W ciągu dość krótkiego czasu rozebrano wspomniane wcześniej murowane żłoby, zaś z odzyskanych cegieł stawiano, jak kto umiał paleniska, które nakryte były zdobyczną blachą. W palenisku takim palono cały dzień i całą noc, po ustaleniu odpowiednich dyżurów. Do oświetlenia namiotu służyła zdobyczna konserwa, do której wkładało się knot z jakiejś szmaty i wlewano pobierany z powierzchni wody przy stacji pomp olej. W takich warunkach wegetowaliśmy do dnia 6 lutego, wieczorami prowadząc rozmowy o dotychczasowych przeżyciach w ZSRR. Dyżury ustalane były w ten sposób, że jeden dyżurował do północy, zaś drugi od północy do rana. Biada tym mieszkańcom namiotu, którego dyżurny zasnął nad takim „piecykiem”. O ile w czasie, kiedy w piecyku się paliło, temperatura wewnątrz była znośna i na ścianie namiotu powstawała wilgotna para, o tyle, gdy dyżurny usnął, para ta zamieniała się w szron, a następnie lód i niejednokrotnie w ten sposób włosy przymarzały do namiotu.

Dowcipni, a może i nie, mówili, że przez czas naszego pobytu tam, celem ogrzewania namiotów, wycięliśmy las w promieniu 30 km. W taki to trudny dzień, wracając z lasu z drzewem na plecach (a było to jeszcze przed otrzymaniem umundurowania), spostrzegłem, mimo szalejącego tak zwanego „buranu” (burzy śniegowej), idącego i niosącego kawałek drzewa mężczyznę. Za mną szli inni, więc zaczęto przygadywać, między innymi i ja powiedziałem: „Co ty kolego tym napalisz? To może być tyczka do fasoli!”. Ponieważ chyba osoba ta miała dość naszych kpin, zatrzymała się i powiedziała: „Proszę tak nie mówić, ja jestem generał Tokarzewski”. Nas jakby prąd poraził, chcielibyśmy zapaść się nie w śnieg, ale w ziemię, lecz obyło się bez żadnych konsekwencji. Wprawdzie dowództwo mieszkło przeważnie w ziemiankach, ale w nich też trzeba było palić.

Zbliżając się do rejonu naszych namiotów, przed jednym z nich zobaczyłem w futrzanej czapce jakby znajomą postać. Jaka była moja radość, gdy rozpoznałem w nim mojego przyjaciela Staszka, z którym rozdzielono mnie w Charkowie, a od tego czasu nic o sobie nie wiedzieliśmy.

Wspomnieniom nie było końca. Opowiadał mi, że był zesłany aż pod granicę z Finlandią, że próbował ucieczki, że dwa razy przepłynął jakąś część jeziora Ładoga na fińską stronę i dwa razy go zwrócono pogranicznikom sowieckim. Jako były zawodowy kapral, przydzielony był do ochrony sztabu 2 Korpusu. Odtąd, mimo że nie byliśmy w jednej jednostce, widywaliśmy się bardzo często.

Tematem ważnym w tym czasie była początkowo plotka, a później nadzieja na szybki wyjazd, toteż było to przedmiotem niekończących się rozmów. Nastrój wśród wojska był radosny, bo wszyscy spodziewali się chociaż częściowej poprawy naszej egzystencji. Jednak wyjazd nastąpił dopiero 6 lutego 1942 r. Dnia 5 lutego, przy 56 stopniowym mrozie, batalion nasz maszeruje w pełnym oprzyrządzeniu na stację kolejową Tockoje, odległą o około 8 km. W ciągu nocy, w której trwało ładowanie, mróz spotęgował się do minus 62 stopni.

Po załadunku otrzymaliśmy prowiant na drogę, bochenek chleba na pięciu i po pudełku od zapalek cukru (oprócz zupy z kotła porcja ta była na cały dzień).

O ile cukier rozdzielić było można bardzo łatwo, odmierzając go pudełkiem od zapalek, tyle wręcz niemożliwością było podzielenie chleba, który złożony na rampie na otwartym powietrzu, tam pobierany i tak rozdzielany, był zamarznięty na przysłowiową kość. Był to chleb tylko z nazwy, jakaś nieidentyfikowana mąka plus woda zamarznięta, niemniej jednak dla nas był

to rarytas. Tu miało zastosowanie doświadczenie „desanciarza” – jedni szukali piłki do żelaza, inni piłki do drzewa, drudzy klecili z tektury, na patyku i sznurkach wagę tak, że przy rozdzieleniu nikt nie był poszkodowany. Do kawałków pociętych piłką lub innym narzędziem do wagi dodawano okruchów. Waga musiała być dokładna, gdyż śledziły to oczy głodnych ludzi. Piłka taka i waga szły z ręki do ręki.

Łaadowano nas do wagonów towarowych po sześćdziesięciu. Na środku każdego wagonu znajdował się piecyk, a w rogu otwór jako ubikacja. Szczęśliwcem był ten, kto mógł się dopchać w pobliże piecyka i mógł sobie ten chleb nieco podgrzać. Nie wszyscy przecież mogli, dlatego też nie jeden z nas zanim chleb zagrażał, gryzł taki, jaki był, a smak mój Boże, lepszy aniżeli przedwojenna czekolada Wedla.

Ja jednak przydzielonego chleba nie zjadłem. Stojąc przy drzwiach wagonu z tym zamrożonym chlebem w ręku, spostrzegłem, że na sąsiedni tor zajechał pociąg. Aż się pode mną nogi ugięły na widok tego, co zobaczyłem. Na otwartych platformach przy tak dużym mrozie, stali niemieccy żołnierze-jeńcy. Stuleni do siebie, jeszcze żyjący, zaś nieżyjący poukładani jak polana drzew. Ci chyba tylko do rachunku.

Konwój był bardzo mocno strzeżony przez sowieckich żołnierzy i nie wolno było rozmawiać. Nie znałem języka niemieckiego, lecz w takiej sytuacji język był nieważny. Kiedy kilkanaście par oczu patrzył chciwie na trzymany w moim ręku chleb i ciche słowa „Brot”, błyskawiczna walka rozumu z sumieniem, które zwyciężyło i chleb bez namysłu rzuciłem stojącym na platformie Niemcom. Nie wiem, czy wiedzieli, że to od Polaka? Tego dnia chleba nie jadłem, pocieszałem się tym, że tamci byli chyba głodniejsi ode mnie.

Po chwilowym postoju, pociąg z jeńcami odjechał w nieznany kierunek. Nie wiem, jaka była reakcja innych kolegów, ja byłem wstrząśnięty do głębi. Nasz transport po całkowitym ukończeniu załadunku, ruszył trasą Czkałow–Oranienburg¹⁷–Aktiubińsk¹⁸–Kazalińsk¹⁹–Arys do Taszkientu. Podróż trwała od 6 do 15 lutego. W drodze raz dziennie otrzymywaliśmy gorący posiłek z własnych kuchni polowych, a czasami ze stołówek wojskowych na większych stacjach plus suchy prowiant.

Po przybyciu do Taszkientu, ludność całego transportu udała się do olbrzymiej stołówki na obiad. Stoły zastawione, kelnerki roznosiły wazy z zupą i podawały drugie dania. Był to pierwszy obiad z prawdziwego zdarzenia, od chwili wyjścia z domu, od dwóch lat. Chociaż, jak wspomniałem, w łagrze przy znajomości kierownika kuchni Kuryleczyka, jadłem nie gorsze, lecz nie tak podane obiady. Jak na ironię, do obiadu przygrywała nam orkiestra, jak się później któryś z kolegów dowiedział, była to orkiestra lwowskich Żydów, którzy aż tu zawędrowali. Po spożyciu posiłku i chwilowym odpoczynku, zajęliśmy swoje miejsca w transporcie i odjechaliśmy dalej trasą: Samarkanda–Buchar–Guzar²⁰ do miejscowości Kitab²¹ w takim samym porządku jak dotychczas.

Dnia 15 lutego w godzinach wieczornych, przybyliśmy do stacji docelowej Kitab w Uzbekistanie²², leżącej u stóp potężnego masywu gór Pamir, a w dali królowały niebotyczne szczyty gór Tien-Szan. Po całkowitym wyładunku wagony odjechały, my zaś pozostaliśmy na rampie, gdzie mieliśmy czekać do rana, by udać się do odległego o kilka kilometrów miasteczka Szachrisabz.

By się nie nudzić, odżył typ „desanciarza” i co bardziej niespokojni rozpoczęli penetrować teren rampy. Okazało się szybko, że rampa załadowana jest masą różnych beczek. Jak się później dowiedzieliśmy, beczki były ze sliwownicą oraz rodzajnikami na eksport. Dobytku tego pilnował jeden Uzbek i jak zostało wcześniej umówione, jedni poszli zagadać pilnującego, a drudzy już

¹⁷ Miasto Czkałow nazywało się tak w latach 1938–1957. Wcześniej i obecnie nosi nazwę Orenburg. Wzmiankowana następnie miejscowość Oranienburg jest nieprawidłowa. Prawdopodobnie Autor miał na myśli właśnie Orenburg.

¹⁸ Obecnie Aktobe w Kazachstanie.

¹⁹ Obecnie Kazały w Kazachstanie. Około 100 km na północny-wschód od tej miejscowości po wojnie zbudowano słynny kosmodrom Bajkonur.

²⁰ Obecnie Guzur w Uzbekistanie.

²¹ Obecnie Kitob w Uzbekistanie.

²² Ówczesnie była to Uzbecka Socjalistyczna Republika Radziecka wchodząca w skład Związku Radzieckiego.

siedzieli między beczkami, wierząc w dnach beczek dziury angielskimi nożami o przybra-nej nazwie „Churchill”. Noże te wchodziły w skład wyposażenia żołnierza.

Na razie wszystko odbywało się na najniższym szczeblu, w miarę jak odkryto, że jest to wino i rodzynki, najpierw każdy zaspokajał własne „potrzeby”, a później dzielono się z kolegami, następnie z przełożonymi aż do samej góry.

Jedni częstowali drugich, nikt nikomu nie odmawiał, aż całe towarzystwo było dobrze podchmielone. Nagle wszystko się wydało, strażnik zaalarmował przełożonych i po północy przyjechało NKWD. Rozpoczęto konfrontację, pytając, kto rozbijał beczki. Oczywiście winnych nie było, pił i jadł rodzynki każdy, chociażby dla zaspokojenia głodu. Zajście miało fatalne skutki, niemniej sprawę załagodzono polubownie, a tytułem pokrycia strat nie otrzymaliśmy żołdu przez dwa miesiące i to wszyscy szeregowi i oficerowie.

Dnia 16 lutego w pięknym i ciepłym poranku, bez płaszczy, maszerowaliśmy do wyznaczonego rejonu nieopodal miasteczka Szachrisabz. Krajobraz był tu zupełnie odmienny od tego z Tockoje. W dali ośnieżone góry Pamir, domy na wschodnią modłę budowane z gliny, wozy dwukołowe ciągnięte przez osły, wielbłądy garbate objuczone bawełną, wreszcie tubylcy Uzbegy w orientalnych strojach. Miasteczko Szachrisabz wyglądało ubogo, domki lepiące z gliny mieszanej ze słomą, bez dachów²³, uliczki wąskie i brudne. Jedynym z nowoczesnych budynków był szpital, przez który w najbliższym czasie przejdzie wielu naszych żołnierzy i tak wielu z niego nie wróci. Były też zabytki: ruiny meczetów, w tym jeden z XIV wieku z grobowcem jednego z wodzów Tamerlana (w oryginalnej kolumnadzie), ruiny zamku Tamerlana, panujące nad okolicą w promieniu 40 km.

Batalion otrzymał miejsce zakwaterowania za starym wysokim murem, otaczającym całe miasto w sąsiedztwie uzbeckiego cmentarza. Mieszkaliśmy pod namiotami, a dowództwo mieściło się w budynku u stóp sterczących ruin zamku Tamerlana, z wieży którego rozlegał się od 14 marca hejał krakowski w południe i sygnał rano na pobudkę, a wieczorem na capstrzyk. Grany był, notabene, przez naszego kolegę z Przemyśla, Józia Binickiego.

W tak rozlokowanych namiotach, według z góry ustalonego porządku, mieszkaliśmy w dolince dość nawet przyjemnej (na nieszczęście), gdyż o tej porze roku jest pora deszczowa i zaraz na następną noc nastąpiło to, czego nikt z nas się nie spodziewał. Spadł ulewny deszcz, w którym zaczęliśmy pływać razem z namiotami. Po oczyszczeniu rowów odwadniających, niespodzianek takich już nie mieliśmy. Tu batalion spędził sześć najcięższych miesięcy pobytu w Rosji. Na razie zadowoleni byliśmy ze zmiany miejsca i z tego, że nie ma tych upiornych mrozów, że można kupić coś od Uzbeków, chociaż bardzo drogo. Mimo deszczy i błota sięgającego niejednokrotnie powyżej kostek rozpoczęło się dalsze szkolenie, tak w dzień, jak i w nocy. Tu batalion ćwiczył już jako całość, a dowódcą batalionu był major Eugeniusz Ślepecki. Uzupełniano poszczególne kompanie, stąd odchodzili żołnierze do szkoły podchorążych i szkoły podoficerskiej. Odczuwało się szczególnie brak oficerów, o Katyniu nikt jeszcze wtedy nie wiedział. Mimo, że mogłem po siedmiu klasach zdawać egzamin do szkoły podchorążych, wezwany w tej sprawie do dowódcy batalionu, kategorycznie odmówiłem, twierdząc, że nie chcę być niedouczonego oficerem, że w wojsku jestem, by spełnić swój obowiązek wobec Ojczyzny. Mimo tego i tak zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej, którą ukończyłem, dowódcą jej był porucznik Sławiński, dowódcą kompanii porucznik Płatek, skierowany do nas już z Anglii, a dowódcą plutonu moździerzy porucznik Irański. Uzbrojenie było takie jak w Tockoje, a ćwiczenia były bardzo intensywne i uciążliwe dla nas, niedożywionych żołnierzy.

Początkowo w każdą niedzielę odbywały się nabożeństwa na wolnym powietrzu, ołtarz ustawiano na pobliskim stadionie i tu na mszę gromadziły się jednostki 6 Dywizji Piechoty. Później władze sowieckie zabroniły nabożeństw na wolnym powietrzu, bez podania przyczyny, lecz była ona aż nazbyt widoczna. Na nabożeństwach tych gromadziło się wojsko, ale też i ludność cywilna, szczególnie Rosjanie, jedni z ciekawości, inni z przekonania. Odtąd nabożeństwa odprawiane były w sali kinowej w miasteczku. Tam w czasie mszy śpiewała niezapomniana Zosia Terne, przepiękną pieśń „Ave Maria”.

²³ Prawdopodobnie chodzi o domy z płaskimi dachami.

Stosunki z miejscową ludnością (uzbecką), początkowo chłodne i nieufne, szybko ulegały zmianie, dzięki przysłowiowo dobremu sercu nas, Polaków, które nie pozwalało żołnierzowi patrzeć na głodne dzieci. Nierzadko zdarzało się, że w czasie ćwiczeń kromka żołnierskiego chleba wędrowała do rąk dzieciaków. Z biegiem czasu zaczęły przybywać z różnych stron Kraju Rad rodziny naszych żołnierzy. Wszystkie one mieszkać będą w tych uzbeckich chatynkach.

Rozpoczął się okres wiosenny, więcej dni słonecznych, coraz mniejsze racje żywnościowe, coraz więcej kolegów odchodzi do szpitala. Częste przypadki zachorowań na tyfus. Tempo szkolenia ulega spowolnieniu, w tygodniu tylko cztery dni zajęć po siedem godzin dziennie.

W międzyczasie nastąpiła istotna zmiana organizacyjna. Batalion otrzymał nazwę 6 dywizjon rozpoznawczy „Dzieci Lwowskich”. Ta zmiana nazwy znalazła swój wyraz także w organizacji wewnętrznej. Kompanie przemieniono na szwadrony, uległa zmianie także tematyka szkolenia.

A tymczasem upały wzrastają, już w pierwszych dniach kwietnia temperatura w cieniu wynosi ponad 30 stopni. Skutkiem wzrastających upałów i niedostatecznego wyżywienia zdarzają się coraz częściej wypadki omdleń w czasie ćwiczeń. Pod koniec maja wyżywienie się pogarsza i zaczyna się okres prawie pół-głódówki. Również ludność polska zjeżdżająca się do Szachrisabz pod opiekę wojska cierpi głód, a opieka społeczna dywizji nie jest w stanie zaspokoić niezbędnych potrzeb. Nasz dywizjon pomagał rodzinom swych żołnierzy w miarę możliwości, dzieląc się własnymi porcjami najpierw 39, a pod koniec pobytu w Szachrisabz 111 osobom. Nikt z nas żołnierzy po przebytych doświadczeniach nie narzeka, chociaż każdy wiedział, że dożywianie osób cywilnych odbywa się kosztem naszego wyżywienia.

Zdumiewająca była ofiarność żołnierzy w tym ciężkim okresie. Ze swego, tak niskiego żołdu – 25 rubli miesięcznie, podczas gdy szklanka machorki kosztowała 10–25 rubli, a jeden arbuz 40 rubli, zebrano dość pokaźne kwoty i przeznaczono na pomoc polskiej ludności. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że tylko przy naszej pomocy będą mogli przeżyć.

Przed uroczystością Święta 3 Maja, przysłano gońca ze sztabu dywizji, że mam się zameldować w sztabie. Pełniąc w tym czasie służbę dowódcy warty, niczego w międzyczasie nie zbroiłem, więc udałem się do dowództwa. Oficer służbowy zaprowadził mnie do kancelarii, a tam zameldowałem się u generała Tokarzewskiego. Teraz przypominałem sobie scysję, jaką miałem z niosącym drzewo jeszcze w grudniu w Tockoje i byłem pełen obaw. Generał wypytywał mnie, skąd jestem, gdzie siedziałem, na ile lat byłem skazany, czy mam rodzinę i gdzie itp. Ponieważ było to już pod wieczór, wyszliśmy z kancelarii przed budynek i szliśmy w kierunku zbudowanej przez saperów trybuny, przygotowanej do przeciwmajowej defilady. Gdy zatrzymaliśmy się przed trybuną, generał powiedział: „Jutro defilada, a w ogródku stoi na cokole popiersie Józefa Stalina. Jak będzie „na prawo patrz”, to defilada będzie przed nim”. Nie otrzymałem żadnego polecenia, ale zrozumiałem dokładnie, o co chodzi, więc zasalutowałem i zameldowałem: „Panie generale, jutro popiersia wraz cokołem nie będzie”. Ten poklepał mnie po ramieniu, uśmiechając się i powiedział: „Możecie odmaszerować”. Po powrocie do rejonu, wybrałem jeszcze trzech zaufanych kolegów. Powiedziałem im, o co chodzi i późnym wieczorem wróciliśmy pod budynek. Tam zaopatrzyliśmy się w potrzebne nam do tej operacji drążki. Obawy, że ktoś może zobaczyć nie było, gdyż był to teren wojskowy.

Mając doświadczenie w takich pracach, szybko przewróciliśmy cokół ze stojącym popiersiem, po czym zatoczyliśmy obie części w uprzednio upatrzone miejsce, to jest obory po zlikwidowanym kołchozie, przed którą rozlane było gnojowisko. Tam zatoczyliśmy i utopiliśmy w nurtach tej gnojowicy Józefa Wissarionowicza, nakrywając jeszcze dodatkowo gałęziami, które akurat były w pobliżu.

Defilada 3 maja 1942 r. odbyła się już bez udziału Stalina. Ciekawe jest, że nikt do naszego wyjazdu, to jest do 15 sierpnia, nie wiedział, że tam tego pomnika nie ma. Nie sądzę, że nawet gdyby ktoś z Uzbeków wiedział, to i tak nie by nikomu nie powiedział, gdyż oni nienawidzili go bardziej od nas.

W miesiącu lipcu warunki wyżywienia zaczynają się odbijać na stanie zdrowotnym dywizjonu zastraszającą. Wypadki żółtej febry, malarii, pappataci²⁴ i innych chorób były coraz częstsze.

²⁴ Tropikalna choroba, której typowe objawy to wysoka gorączka oraz częste wymioty.

Szpital w Szachrisabz był przepełniony. Chorzy leżeli na korytarzach i klatkach schodowych, sala teatralna w mieście zamieniona została na lazaret²⁵, w dywizjonie jak i innych oddziałach świetlice i były kołchoźny magazyn przemieniono na izbę chorych.

Na dobitek upały stale się potęgowały i temperatura w namiocie wynosiła 55 stopni, a w słońcu 75 stopni. Zajęcia w tym czasie trwały tylko godzinę, na ćwiczenia wychodziło niewiele ponad 100 osób z dywizjonu. Reszta przebywała w szpitalach, izbach chorych i na zwolnieniu lekarskim. Pod namiotami i pod każdym cienistym drzewem leżeli chorzy, dla których brakło miejsca w izbach chorych. Ci, którzy byli wolni od służby, pracowali przy kopaniu grobów. Zdarzały się braki wojska do pełnienia służby.

Żołnierze nie chcieli, a raczej nie mogli już jeść z kotła. Zostawało bardzo dużo porcji, mimo, że kucharze nie gotują na pełny stan. Makabryczne widoki wywołują codzienne pogrzeby przechodzące tuż obok otwartych namiotów. Był okres, że po czterdziestu żołnierzy dziennie chodziło kopać groby i nie mogli nadążyć, gdyż spalona słońcem ziemia uzbecka jest twardsza od betonu. Ponieważ brałem osobiście udział w tych opisanych czynnościach, przytaczam taki obrazek.

Kondukt pogrzebowy w zależności od ilości zmarłych wyruszał spod szpitala w Szachrisabz. Jeśli zbierano wojska, to towarzyszyła mu kompania honorowa, w nielicznych wypadkach orkiestra, kapelan i wóz z nieboszczykami oraz trumna z otwieranym dnem. Kompania honorowa ustawiała się w pobliżu grobów. W tym czasie na wozie wkładano jednego zmarłego do trumny i niesiono do grobu, gdzie kapelan odprawiał ceremonię, po czym opuszczano trumnę do grobu, otwierano dolną część, nieboszczyk zostawał w grobie, a trumnę wyciągano. Następnie podchodzono do wozu, wkładano następnego zmarłego. W międzyczasie modlono się i oddawano honory salwą karabinową. Czynności takie wykonywano aż do ostatniego zmarłego.

W innym przypadku byłem przy kopaniu grobów i mieliśmy wykopać ich 12, bo tylu miało być zmarłych. W międzyczasie zmarł jeden Żyd (żołnierz, którego dodatkowo przywieziono), z tego powodu byliśmy zmuszeni wykopać jeszcze jeden grób. Czynność tę wykonywaliśmy w czasie, kiedy prowadzono już ceremonię pogrzebową. Kończono już ceremonię chowania dwunastego zmarłego, a my dopiero mieliśmy wykopane może 40 do 50 cm. Cały orszak czekał, a my, co sił kopaliśmy na zmianę, lecz z powodu zapadającej ciemności grobu nie byliśmy w stanie skończyć i tu powstał dylemat. Zapytaliśmy kapelana, co mamy robić, a on odrzekł nic tu już nie poradzimy, chowamy tak, jak jest. Na drugi dzień ktoś, przechodzący tamtędy, zauważył, że grobu nie ma. Po prostu szakale wyczuły trupa, wygrzebały i rozniosły go po okolicy. Ten obrazek często widzę w koszmarnych snach.

Nadmienić trzeba, że początkowo zmarłych chowano w prześcieradłach, ale później z powodu braku tychże, chowano nago. W tych ciężkich dla nas chwilach przybył na inspekcję generał Anders, który po przeglądzie oddziałów stacjonujących w Szachrisabz, odwiedzał również i chorych w szpitalu i izbach chorych. Odwiedziny i ciepłe słowa otuchy generała, zwłaszcza wiadomość o szybkim i pewnym wyjeździe z Rosji, spowodowały zmianę nastrojów i pobudziły w wojsku wolę przetrwania.

W miarę zbliżania się terminu wyjazdu, chorzy na siłę starali się wyzdrowieć. Liczba rekonwalescentów wzrastała, a liczba chorych malała. Nie znaczyło to, że tak nagle stan zdrowotny się poprawił. Po prostu każdy zdawał sobie sprawę z sytuacji i nikt tu nie chciałby zostać.

Tymczasem zdrowi nadal kontynuowali zajęcia bojowe. W ostatnich dniach lipca odbyliśmy nawet ostre strzelanie, przy obserwatorach z Armii Czerwonej.

Dnia 7 sierpnia 1942 r. zanotowano najniższy stan ćwiczebny dywizjonu, w którym przed wyjazdem było 37 oficerów i 742 szeregowych.

Wreszcie dnia 15 sierpnia (w dniu Święta Wniebowzięcia) nastąpił upragniony wyjazd. Ruch niebawmy trwał przez cały dzień i noc. Oddziały znów szły pieszo do stacji Kitab, chorzy i ludność cywilna, która miała z nami jechać, była podwożona furmankami. W tym ostatnim dniu pobytu w Uzbekistanie zachorowałem na malarię i z wysoką gorączką dotarłem do stacji

²⁵ Dawne określenie szpitala wojskowego, zwłaszcza polowego, który przeznaczony był do opatrywania rannych na polu walki oraz izolacji i leczenia chorych żołnierzy.

Kitab. Po półrocznym pobycie, gdzie obchodziliśmy jedno z kolejnych Świąt Wielkanocnych, opuszczając Szachrisabz po raz ostatni miałem możliwość wzrokowego pożegnania się z widokiem przepięknych gór Pamir. Dowódcą dywizjonu był nadal major Eugeniusz Ślepecki. Na stacji Kitab czekaliśmy przez całą noc na podstawienie reszty wagonów, gdyż podstawiono ich część. Było tylko 14 wagonów i brakowało 40 wagonów towarowych.

W nocy 15 sierpnia umiera na stacji jedna kobieta z przydzielonych do naszego transportu osób cywilnych. Wreszcie nad ranem nadchodzą wagony, ale w mniejszej niż przewidziano ilości, toteż w wagonie osobowym zamiast 83, jedzie 109 osób, a w towarowych zamiast 40, jedzie 60–70 osób, a ludności cywilnej grubo ponad 70 osób. Z nami ma wyjechać ponad 207 osób.

O godzinie 8:30 dnia 16 sierpnia wyruszyliśmy w podróż trasą: Guzar–Kagan²⁶ (tu zabieramy do dwóch wagonów polski sierociniec) – Aszchabad do Krasnowodzka²⁷. Podróż trwała do 19 sierpnia, a po drodze znów jedna osoba umarła.

Po przybyciu do Krasnowodzka jeszcze przed portem wyładowano nas w szczerym polu w odległości około 5 km od miasta, gdzie zostaliśmy poddani szczegółowej rewizji celnej. Wkrótce po północy z 19 na 20 sierpnia, rozpoczął się przemarsz do portu. W pobliżu jego znajdował się duży teren, na którym składowany był olbrzymi majątek w postaci umundurowania, żywności i wszelkiego rodzaju sprzętu wojskowego pochodzenia amerykańskiego i alianckiego, przeznaczonego dla tworzącej się polskiej armii w ZSRR.

Będąc w pobliżu portu, nie omieszkalem skorzystać z kąpielii morskiej. Udałem się w dogodne miejsce, rozbrałem się i wszedłem do wody. Idąc w kierunku morza, zanurzałem się stopniowo, popływałem sobie w miarę sił, a wychodząc z wody zauważyłem, że przechodzący się nad morzem śmieją się, patrząc, więc na siebie, a ja jestem jak zebra. Gdy wychodziłem z wody, na moim ciele układały się pasy czarnej ropy, która unosiła się na wodzie. Tu zaznaczyć trzeba, że miasto i port Krasnowodzk nie posiadały słodkiej wody. Jaka była tego przyczyna, nie wiem do dziś. Wodę do miasta i portu dowożono cysternami i to niejednokrotnie nawet po benzynie lub ropie.

Po wyjściu z wody udałem się w stronę wspomnianego składowiska, tam wartownik, widząc mnie, litościwie pokiwał głową, wskazał na stosy różnych materiałów i powiedział: „Bierz bracie i wycieraj się na sucho, bo innego wyjścia nie masz”. Przy okazji wymieniliśmy sobie cały swój ubiór wojskowy, za radą tegoż wartownika zabrałem jeszcze parczany pas, do którego przypiąłem manierkę. Zabrałem też parę paczek sucharów i dwie pary wojskowych butów, które zamieniłem u jakiegoś „Azera” za napełnioną winem manierkę i wróciłem do swojego miejsca pobytu.

Całym moim wyżywieniem było posiadane wino i suchary. W czasie przemarszu do portu nałożono na nas obowiązek, że każdy oprócz swojego oprzyrządzenia musi zabrać ile się da składowanego tam sprzętu wojskowego, byle tylko zabrać jak najwięcej. Z tego powodu miałem ostrą scysję z dowódcą kompanii, któremu oświadczyłem, że niczego nie wezmę, bo jestem chory. Skończyło się na pogroźce, że po drugiej stronie mną się zajmą. Zaokrętowanie rozpoczęło się 20 sierpnia o godzinie 15:30. Statek nazywał się „Kaganowicz”. Był to okręt²⁸ do przewozu ropy, a wszystko, co żywe, umieszczone zostało na pokładzie, bagaże zaś w zbiornikach na ropę. Ścis i tłok był niesamowity, aż się wierzyć nie chciało, że umieszczono tu już około 3000 ludzi. Ja znalazłem sobie lokum na trzech sprężonych rurach o średnicy 200 mm, biegnących z dolnych zbiorników. Tam rozłożyłem koc, z pozycji tej miałem widok na znaczną część pokładu poza mostkiem kapitańskim, masztami i płataniną rur. Charakterystyczne były dwie budki na dziobie i dwie na rufie okrętu. Były to ubikacje i chociaż tym dosłownie nie były, lecz do tego miały służyć.

Z swego legowiska miałem możliwość obserwować ludzi i żołnierzy, moich braci tułaczy, jednej i drugiej strony pokładu cieszących się niezmiernie z opuszczenia koszmarnego kraju. Z drugiej strony spoglądających w niepewność jutra, stąd też obserwowałem stojących w kolejkach do „budek”, czyli ubikacji, a jeszcze więcej opuszczających kolejki, gdyż w dłuższym

²⁶ Obecnie Kogon w Uzbekistanie.

²⁷ Obecnie Turkmenbaszy w Turkmenistanie.

²⁸ Autor często stosuje zamiennie określenia „statek” i „okręt”. Należy zwrócić uwagę, że statki są cywilne, zaś okręty należą do marynarki wojennej.

oczekiwaniu, mając przeważnie chore żołądki, mieli już wszystko w spodniach, a było to bardzo przykre, ale tak powszechne, że nikt się temu nie dziwił.

Co silniejszych można było widzieć trzymających się burty z gołym tyłkiem na zewnątrz. Radzili sobie ludziska, jak mogli, coś znaczyły 4 ubikacje na 3000 ludzi.

Rozchodzi się wiadomość, że zmarła na tyfus lwowianka, umiera też dziecko. Nad ranem jedna z cywilnych osób skacze do morza, podobno umysłowo chory. Zatrzymano na chwilę statek i reflektorem przeszukano powierzchnię morza, ale oczywiście bezskutecznie i po chwili statek ruszył dalej.

Po północy dnia 22 sierpnia ogłoszono pogotowie wyładowcze. Niewiele pamiętam z tych nocy, bo jak zwykle od zmroku mordowała mnie malaria. Od kolegów wiem, że statku do portu nie wpuszczono, ponieważ od góry do dołu był zanieczyszczony kałem, a tego woda tak słona, jak i słodka nie zmyje. Persowie zasłaniali się, że rzekomo jest za płytko do cumowania statku²⁹.

Pod statek zajeżdżały motorówki i zabierały pasażerów do nadbrzeża. Pamiętam tylko, że ze statku do motorówki znoszono mnie na wózek przytomnego po ciężkim ataku malarii.

Do obozu z nadbrzeża odwoziły nas samochody (wg opowiadań kolegów). W obozie dopiero koledzy stwierdzili, że mnie nie ma i po udaniu się na nadbrzeże, znaleziono mnie w piasku i przywieziono do obozu. Miejscem naszego postoju (obozu) było piaszczyste nadbrzeże Morza Kaspijskiego, na którym stały ustawione wiaty. Spaliśmy na kocach rozłożonych na piasku.

Rano zarządzono zbiórkę, sprawdzono stan liczebny, nie stwierdzając żadnych braków. Zdziwienie nasze, a zarazem zainteresowanie, wywołało montowanie przez Anglików namiotów dużych rozmiarów tuż nad brzegiem morza tak bardzo słonego. Okazało się, że Anglicy organizują łaźnię polową. Zrobiono wykopy, odeskowano przed obsuwaniem się piasku, zamontowano pompy, które podawały wodę i to nawet słodką do postawionych namiotów na kąpiel. W międzyczasie odczytywano rozkazy, przeprowadzano wywiady przez oficerów angielskich z żołnierzami odnośnie żołądka, podróży i żywienia.

Od czasu naszego wyjazdu z Rosji, żadnego żołądka nam nie wypłacono. Tu oświadczono nam, że jesteśmy na prawach wojsk kolonialnych Jego Królewskiej Mości. Wypłacono nam zaległy żołd, a także bieżący w walucie irańskiej (perskiej), ale o tym później.

Po czynnościach informacyjno-służbowych z całym uposażeniem żołnierskim, jakie posiadaliśmy, zarządzono zbiórkę. Wyprowadzono nas za piaszczystą wydmy. Tam polecano złożyć na odpowiednie stopy całe nasze wyposażenie i umundurowanie (wolno było zabrać, jeśli jeszcze ktoś miał, zegarek lub medalik, ale bez paska lub tasiemki). Po rozebraniu nas do naga, zaprowadzono do wspomnianej łaźni.

Przy wejściu do namiotu-łaźni stali dwaj fryzjerzy z maszynkami. Jeden golił wszystko od dołu do pasa, a drugi od pasa w górę. W namiocie obok natrysków wisały na odpowiednich uchwytach dwa gatunki mydła: szare i toaletowe. Tak wykąpani i ostrzyżeni wchodziliśmy do namiotu magazynu, gdzie każdy otrzymywał nowiutkie umundurowanie od bucików do czapki, przepraszam – kapelusza typu australijskiego. Następnie zajmowaliśmy miejsca w samochodach, wcześniej podstawionych, które dowiozły nas na uprzednie miejsce zakwaterowania.

Po całkowitym odkażeniu jednostki, po około dwóch tygodniach dezynfekcję powtórzono dokładnie z zachowaniem kolejności. Zapyta ktoś, co się stało z naszym nie tylko umundurowaniem, ale siłą nam, w Krasnowodzku, wpychanym bagażem dodatkowym. Otóż wszystko to za wydmy piasku, gdzie rozbieraliśmy się pierwszy raz, zostało dokładnie przez specjalny oddział angielski polane benzyną i spalone, a złośliwi twierdzili, że wyraźnie słychać było, jak w ogniu trzaskały nasze wszy, a mieliśmy je wszyscy i wszędzie. Każdy, bez względu na stopień wojskowy i wiek.

²⁹ Statki z Polakami przybywały do irańskiego portu Bandar-e Pahlavi nazywanego często skrótowno Pahlavi lub Pahlevi; obecnie nosi nazwę Bandar-e Anzali. W tym czasie Iran był okupowany przez wojska brytyjskie i radzieckie, które w ramach Operacji „Y” (25 sierpnia – 17 września 1941 roku) wspólnie zajęły kraj.

Tak dziwnie się jakoś złożyło, że świadkiem tego był mój dowódca szwadronu. Właśnie ten, który miał się ze mną rozliczyć po tej stronie, ale nie śmiał mi się popatrzeć w oczy, gdyż na tle tych angielskich porządków chyba zrozumiał swój błąd. Po drugiej kolejce kąpieli i nowego wyposażenia, zostaliśmy samochodami przewiezieni w pobliże Teheranu, gdzie rozmieszczeni zostaliśmy w namiotach w olbrzymim parku szacha. Był to dalszy ciąg kwa-rantanny.

Jak wcześniej wspomniałem, po otrzymaniu zaległego żołdu, w dodatku morskiego, kolonialnego, każdy z nas, bez względu na stopień, posiadał mnóstwo pieniędzy. Oczywiście handlarze perscy nie próżnowali, stąd też okolice parku, jak i poprzedniego obozu, były praktycznie nie do upilnowania przez wystawiane warty i służbę.

Wyjście z rejonu nie stanowiło dla nas problemu, jednak nie było potrzebne. Tu-taj można było kupić u handlarzy wszystko, od perskich dywanów, japońskich zegarków, do polskich wódek „Baczewskiego” włącznie. Przeróżnych towarów było w bród, język nie stanowił żadnego problemu, gorzej było tylko z wygłodzonym żołądkiem i tu kryło się wielkie niebezpieczeństwo, gdyż wygłodzony człowiek zjadłby wszystko, co widział, lecz skutki mogły być fatalne. Wymagało to naprawdę wielkiego wysiłku, by zapanować nad sobą.

Takie doświadczenia mieliśmy już z Uzbekistanu, gdzie we wczesnej porze wiosennej trzeba było mieć bardzo silną wolę, by nie najeść się niedojrzałych owoców morwy, a później jeszcze innych. Anglicy przestrzegali nas przed skutkami, ale głód nie znał przestroż, ostatecznie podlegaliśmy dowództwu i lekarzom polskim. Pamiętam, jak każdy z nas kłął w żywe kamienie, kiedy to Anglicy dawali nam moc daktyli, dżemów i innych słodkich rzeczy, a to tylko dlatego, by przyzwycząić nasze żołądki, a kiedy już dostaliśmy po raz pierwszy mięsne danie, każdy chciał jak najwięcej, a później prawie cały batalion chorował na kurzą ślepotę. Zabawne to było, jak po zachodzie słońca, jeden drugiego prowadził do namiotu. Są to wydarzenia autentyczne.

Był taki okres, że ze stanu batalionu trudno było wystawić służbę, jest też faktem, że czę-sto podszywano się pod tę chorobę, by nie mieć służby, jak i warty. Ja też tak czyniłem.

Życie w okresie kwarantanny urozmaicaliśmy sobie nielegalnym zwiedzaniem Teheranu, a nade wszystko kąpielą w morzu. Morze Kaspijskie posiada tak duży stopień zasolenia, że nawet nieumiejący pływać wcale nie miał obaw, że się utopi.

Tu, będąc już nieco odżywieni, zaczęliśmy grać w piłkę, tak nożną, jak i w siatkówkę. Wprawdzie jeszcze przed wyjazdem z Szachrisabz rozegraliśmy mecz o mistrzostwo batalionu, gdzie nagrodą było pięć konserw angielskich, lecz był to mecz raczej ludzkich szkieletów, a nie piłkarzy.

Akurat w tym czasie byłem w kompanii szkolnej dowódcą drużyny. Przed kilko-ma namiotami stały beczki po śledziach, które służyły do codziennej toalety oraz mycia naczyń. W czasie, gdy ja rozgrywałem mecz, mieszkańcy namiotów wyczerpali wodę tak, że beczka błyskawicznie się rozeschła, a ja drużynowy miałem obowiązek pilnować, by beczka zawsze była uzupełniana. Po kolacji akurat rejon zwiedzał oficer służbowy batalionu i zobaczył, że beczka jest pusta. Zarządził zbiórkę drużyny i polecił beczkę napęlnić, więc biegaliśmy do pobliskiego potoczku po wodę. Co wlewaliśmy, to wszystko wyciekało, a oficer ten uparł się, żeby napęlnić beczkę. Trwało to dość długo, dlatego tak utkwіło mi w pamięci.

Po przejściu kwarantanny i regeneracji sił, mieliśmy wyjechać do Iraku. Wcześniej w Pahlevi odbyła się rewia z udziałem władz polskich, angielskich, amerykańskich i sowieckich. Oczywiście wszystko w warunkach polowych, na zaimprovizowanej scenie przy ognisku niezapomniani Józio Natali i Edzio Wojtczak recytowali, przedstawiali różne skecze i śpiewali, a zbliżając się do krzesła, gdzie siedział sowiecki ambasador, zaśpiewali: „Żegnaj moskicie, coś sam słodził życie, żegnaj i płacz pa-pa-tacz, pa-pa-tacz” (jedna z groźnych chorób przebytych w ZSRR), wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Wyjazd do Iraku³⁰

W ciągu tygodnia od 5 do 9 września kolumny samochodów przewiozły batalion (dywizjon) poprzez karkołomne serpentyny dzikiego Kurdystanu³¹, przez Kazwin, Kermanszach do Mezopotamii (Irak).

Stacjonując w pobliżu Chanakin cały miesiąc, bo do 9 października, zaczęliśmy przyzwyczajać się do chamsinów, czyli burz piaskowych i suchych upałów pustynnych.

Dzień 8 października 1942 r. był dla nas dniem historycznym. W tym bowiem dniu nasz dywizjon przemianowany zostaje na 6 Batalion Czołgów „Dzieci Lwowskich”. W tym dniu nastąpiła też zmiana na stanowisku dowódcy. W miejsce ustępującego majora Eugeniusza Ślepeckiego, dowództwo objął major Henryk Świetlicki.

Po przemianowaniu nas na batalion czołgów, nastąpiło przemieszczenie do miejscowości Quizil-Ribat w rejon koncentracji oddziałów, mających wejść w skład 2 Brygady Pancerniej³².

Od 12 października rozpoczęły się kursy przygotowawcze z zakresu podstawowych wiadomości z arytmetyki, geografii i fizyki (wstęp do szkolenia motorowego). Zajęcia wypełniały cały dzień bez reszty. Już 13 października 1942 r. wyjechała pierwsza grupa oficerów i podoficerów na kursy czołgowe do miejscowości Abbasia (Egipt). Z rozmaitych szpitali poczynawszy od Pahlevi i Teheranu napływali wciąż nowi rekonwalescenci, którzy nie wytrzymali trudów podróży i odpadli po drodze.

Bardzo wielu było wycieńczonych różnymi chorobami. Jeszcze w miesiącu listopadzie 58 żołnierzy batalionu korzystało ze specjalnych dodatków żywnościowych. Nasz batalion był najbardziej „malaryczny” z oddziałów armii. Przeszło 85% stanu batalionu przeszło malarię, względnie chorowało wtedy na nią.

Mieszkaliśmy w namiotach, które staraliśmy się dostosować do naszych potrzeb i istniejącego klimatu. Otrzymaliśmy pierwszą broń – 60 sztuk automatów typu „Thompson”³³, a z końcem miesiąca tabor motorowy, składający się z 10 samochodów powyciąganych z „cmentarzysk”, dostosowanych do celów szkoleniowych.

Pierwszy kurs motorowy odbywał się w ciężkich warunkach. Prowadzony przez instruktorów, przydzielonych z brygady, w większości Anglików i tłumaczy. Brak było rysunków modeli i podręczników. Warunki te poprawiły się nieco w listopadzie, z chwilą przybycia elców Szkoły Podchorążych, którzy z zapalem wykonali rysunki techniczne zespołów i części samochodowych oraz urządzili modelarnię.

Mimo małej ilości sprzętu, batalion wyszkolił do końca marca 1943 r. 238 kierowców. Każdy z nich przechodził szkolenie na wszystkie typy pojazdów. Pospieszne tempo szkolenia nie wpływało hamująco na intelektualne i towarzyskie życie obozowe.

Prawdziwa czarna kawa w świetlicy prowadzonej przez „pestkę”³⁴ p. Bronię Hałuszczak i opowiadania porucznika Panasa cieszyły się zawsze dużą frekwencją. Braliśmy czynny udział w organizowaniu i obchodach świąt państwowych jak i kościelnych, w tym również rozrywkowych. Korzystaliśmy również z kantyny NAAFI (Navy, Army and Air Forces)³⁵, sprzedającej wszystkie artykuły po cenie monopolowej bez zarobku, co przy otrzymywanym żołdzie w zależności od stopnia było prawie za bezcen.

³⁰ W tym czasie Irak był okupowany przez wojska brytyjskie, które w ramach Operacji „Sabine” (18 kwietnia – 30 maja 1941 roku) zajęły kraj.

³¹ Chodzi o część Kurdystanu leżącą w Iranie.

³² Wtedy nosiła jeszcze nazwę 2 Brygady Czołgów.

³³ Pistoletów maszynowych. „Thompson” miał kaliber 0,45 cala (11,43 mm) i strzelał nabojem .45 Automatic Colt Pistol.

³⁴ „Pestkami” (od skrótu PSK) nazywano członkinie Pomocniczej Służby Kobiet. Formacja ta zajmowała się m.in. obsługą szpitali, pracą w kuchni, opieką nad polskimi sierotami wojennymi.

³⁵ Pełna nazwa brzmi Navy, Army and Air Force Institutes.

Niezależnie od tego, każdy otrzymywał 50 sztuk papierosów w sobotę na cały tydzień, z tym, że w kantynie NAAFI mógł sobie dokupić dalsze 100 sztuk. W kantynie tej można było również dokupić słodycze, czekoladę, gumę do żucia, piwo, oranżadę itp. W dni świąteczne obowiązywała wszystkich msza polowa, odprowadzana w naszym batalionie przez kapelana Henryka Czornego.

W każdą sobotę i niedzielę można było brać dowolnie udział w organizowanych wycieczkach do Ziemi Świętej oraz zwiedzać zabytki Bagdadu, jako że samochody do tego celu były zawsze do dyspozycji. Nie zawsze jednak wszyscy szli w tym kierunku, ponieważ niejednemu z nas bieda „odmokła”, a krew zaczynała kipieć, zachodziła potrzeba wyżycia się, stąd też niejednokrotnie urywaliśmy się autostopem do Bagdadu.

I tak jedni zwiedzali zabytki, inni szukali przygód z Arabkami. Nawiązanie kontaktu nie nastroczało żadnych trudności, mimo całkowitej nieznajomości języka arabskiego.

Zagadnienie to znali, nie wiadomo skąd, Arabowie, szczególnie młodzi. Wystarczyło, że zauważyli naszywkę „Poland” na rękawie, a już ich wokół było pełno. Oferując („Polish kaman, my sister very gut”), bez ceremonii prowadził do swojej siostry lub znajomej Arabki. Za taką przysługę należał mu się koniecznie „bakszysz” (rodzaj napiwku). Pozostawał tylko problem ceny, o którą nie sądzić, by ktokolwiek się targował. Przyznać trzeba, że Polacy mieli powodzenie u Arabek. Zdarzały się wypadki bardzo zabawne. Jak wiadomo Arabki rozwijają się w swoim klimacie szybciej, stąd też dochodziło do różnych kpin i żartów, kiedy to podpatrzono starszego faceta z bardzo młodą Arabką.

Różne też można było spotkać obrazki z życia nas Polaków, tak w sensie pozytywnym, jak i negatywnym. Razu pewnego siedzimy z kolegą w restauracji nagle zobaczyliśmy zamieszanie na ulicy i pełno gapiów. Zaintrygowani wyszliśmy na zewnątrz i oczom naszym ukazał się taki obrazek. Na stojący nicopodał pomnik króla Fajsała³⁶ wdrapali się dwaj dobrze podchmieleni ułani. Jeden trzymał konia za szyję, drugi tego kolegę za nogi, a tegoż policjanci arabscy, bo ułani chcieli się przejechać na koniu króla.

Nie trwało to długo. Powiadomiona żandarmeria polska zabrała krewkich ułanów. Na pewno zostali za ten wybryk surowo ukarani, lecz sam fakt pozostał.

Szkolenie na drugim turnusie samochodowym i pierwszym czołgowym, pomimo wysiłków, nie mogło pójść pełną parą z powodu braku sprzętu oraz ograniczeń limitów benzynowych. Poza tym malaria znów zaczęła powodować ubytek ludzi, którzy trafiali do szpitali. Prowadzone było intensywne szkolenie radiowe, tak na miejscu jak i na kursach aplikacyjnych. Jak intensywne było to szkolenie i rzetelność jego wykonania, niech świadczy fakt, że na ćwiczeniach przed Naczelnym Wodzem generałem Sikorskim w dniu 12 czerwca batalion wywiązał się należycie z powierzonego zadania, mimo że był najmłodszym (najkrócej szkolonym oddziałem brygady).

Dnia 20 czerwca 1943 r. nastąpiła zmiana miejsca postoju. Batalion został przeniesiony do rejonu Taza Khurmatu (pod Kirkukiem). Wzmagające się upały powodowały dalsze zwolnienie tempa szkolenia. Początkowo były cztery godziny zajęć dziennie. Zaczynały zdarzać się przypadki porażenia słonecznego oraz nasilające się zachorowania na malarię, bądź jej nawroty. Zajęcia ograniczone zostały jedynie do konserwacji sprzętu.

Siedzieliśmy w namiotach, tykając gorące powietrze. Bez przerwy hydronetkami polewaliśmy z zewnątrz namioty oraz wewnątrz ziemię, wystarczało to tylko na kilka minut i tak w koło.

4 lipca dochodzi do nas hiobowa wieść o śmierci generała Sikorskiego w katastrofie lotniczej w Gibraltarze. Wojsko jest załamane, niektórzy nawet płaczą. Przecież ten człowiek wywiódł nas z nieludzkiej ziemi sowieckiej. Nasza wdzięczność dla niego była niewymierna ani w słowach ani w uczuciach.

Byłem już kierowcą, jako jeden z lepszych, po kursie. O ironio, zostałem wyznaczony rozkazem na kierowcę dowódcy kompanii, porucznika Jaszczewskiego. Tym wspaniałym pojazdem był samochód pancerny typu Daimler z planetarną skrzynią biegów o siedmiu biegach do przodu i tyłu samo do tyłu. Praktyczne ujeżdżanie tego pojazdu odbywało się na pasach pobliskiego

³⁶ Chodzi o Fajsała I, króla Syrii w 1920 roku oraz króla Iraku w latach 1921–1933.

lotniska wojskowego (angielskiego). Jazda tym pojazdem do tyłu przy niedużej nawet szybkości mogła spowodować wywiniecie koła, przy minimalnym nawet ruchu kierownicą³⁷.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie koledzy, którzy wieczorami przy piwie ciągnęli tak zwanego „łacha”: „No, teraz Władziu będziesz fajfusem³⁸ pana porucznika” i znów, jak na ironię, po powrocie z ćwiczeń dość już późnym wieczorem przychodzi do namiotu służbowy i obwieszcza wszem i wobec, że pan porucznik zostawił lornetkę w samochodzie i że mam ją przynieść, a tu cały namiot „chacha”, tym bardziej, że do garażu można było wejść tylko z wartownikiem po uprzednim pobraniu kluczy na wartowni.

Koledzy przeczuwali, że będzie poważna burza, a ja już na następny dzień zapisałem się do raportu z żądaniem zmiany na stanowisku kierowcy. Oczywiście otrzymałem decyzję odmowną. Chodziło to za mną niedługo, gdyż na ćwiczenia jeździliśmy zawsze na ten sam teren, a w myśli mojej zrodził się szatański pomysł. Zawsze na ćwiczenia jechałem jako pierwszy z dowódcą kompanii. Z drogi asfaltowej na pustynię zjeżdżało się przez wąskie przepusty.

Tego dnia jechaliśmy kolumną z dość dużą szybkością. Dojeżdżając do wspomnianego przepustu, udałem, że nie widzę sygnału podawanego ręką przez mojego dowódcę. Tenże krzyknął: „Skręcamy!”, więc gwałtownie skręciłem kierownicą tak, że moje koło weszło na mostek, a koło, nad którym siedział dowódca, uderzyło w brzeg rowu. W takim momencie naciśnąłem hamulec, a siła odśrodkowa wyrzuciła mego dowódcę jak z procy.

Skutków tego szatańskiego pomysłu nie przewidziałem. Wylatując z pojazdu, uderzył o ziemię i znieruchomiał, więc wyskoczyłem na ratunek. Uczyniły to również inne załogi, działo się to na oczach całej kolumny, wezwano lekarza, który dokonał oględzin poszkodowanego i innym samochodem odwieziono go do szpitala w Kirkutu. Jak się później okazało, miał potłuczoną miednicę, złamaną nogę i kilka mniej groźnych urazów.

Wszczęte dochodzenie wykazało, że był to wypadek drogowy, spowodowany zbyt późnym podaniem sygnału przez kierującego kolumną. Po powrocie ze szpitala, rozkazem dowódcy pułku, nie byłem już kierowcą dowódcy kompanii.

W międzyczasie wyszła sprawa „Lend-Lease’u”³⁹. Czołgi typu „Sherman”, transportowane dotąd w ramach tej umowy, z jakichś tam przyczyn zamiast do ZSRR, kierowane były do Zatoki Perskiej do portu Basra i tam wyładowywane. Od nas, z 2 Brygady Pancernej, wydzielonych zostało 24 kierowców + jeden oficer. Zadaniem naszym był kołowy transport tych czołgów w rejon między Mosulem a Kirkukiem w gołej pustyni, ustawianie, konserwacja i zabezpieczenie. Ponieważ życie w ZSRR nauczyło mnie czytać, dogłębnie czytałem kolegom instrukcje w języku rosyjskim.

Wcześniej jeszcze, przed otrzymaniem Daimlerów, spotęgowała się u mnie malaria, dzięki tylko i wyłącznie lekarzowi pułkowemu Andrzejowi Rutanie, choroba została opanowana i niejako cudem uciekłem śmierci z objęć. On wiedział, że w gronie kolegów pijemy alkohol, dostarczany nam przez kierowców jeżdżących do Palestyny po zaopatrzenie. Nie było wieczoru, byśmy nie wypili paru butelek koniaku z pięcioma gwiazdkami.

Na mocy decyzji tego lekarza postawiono oddzielny namiot obok namiotu Izby Chorych. W ten sposób zostałem odizolowany, zaś wartownik, który pilnował Izbę Chorych, miał za zadanie, by do mojego namiotu nikt nie wchodził oprócz lekarza lub sanitariusza. Zaprogramowana kuracja to 10 dni chinina, 10 dni akrechina i 10 jakaś inna „choleryna”, pobranie

³⁷ Był to czterokołowy pojazd Daimler Scout Car zwany popularnie „Dingo”. Jego skrzynia biegów posiadała po pięć (a nie po siedem) przełożeń do przodu i do tyłu. Opisywane problemy w czasie jazdy do tyłu dotyczyły wersji Mk I, Mk IA oraz Mk IB posiadających wszystkie koła skrętne. Wersje Mk II oraz Mk III miały już tylko przednie koła skrętne, co ułatwiło kierowanie kosztem zwiększenia promienia skrętu.

³⁸ Fajfus to żargonowa żołnierska nazwa ordynansa.

³⁹ „Lend-Lease Act” to ustawa federalna USA z 11 marca 1941 roku zezwalająca prezydentowi tego kraju „sprzedawać, przenosić własność, wymieniać, wydzierżawiać, pożyczać i w jakikolwiek inny sposób udostępniać innym rządowi dowolne produkty ze sfery obronności”. W praktyce oznaczała dostawy amerykańskiego sprzętu dla sojuszników Stanów Zjednoczonych.

krwi do analizy i na własną odpowiedzialność, powtórzenie jeszcze połowy kuracji spowodowało całkowite wyleczenie.

Gdy stacjonowaliśmy w pustyni, między transportami czołgów zdarzały się przerwy, co skrzętnie wykorzystywane było przez amatorów polowań na dziki, były ich tu znaczne ilości, o czym dowiedziano się od tubylców. Ponieważ nie znałem się na tym „sporcie”, rola moja ograniczała się do obcinania czubków kulek karabinowych i nadpiłowania na krzyżyk⁴⁰. Było to zajęcie żmudne, ale i przyjemne, jak się później okazało. Polowanie odbywało się w ten sposób, że wynajmowano za konserwy i dżemy naganiaczy Arabów z psami. Wyprawa zajeżdżała samochodami na stanowiska, oczekując łupu, działało się to w widłach Eufratu i Tygrysu. Upolowane sztuki zaraz były odpowiednio przyrządzane przez kolegów specjalistów, których w żadnym wojsku nie brak, część zaś otrzymywali Arabowie.

W tym to okresie po tragicznej śmierci generała Sikorskiego, zachodziły zaskakujące zmiany w naszym rządzie w Londynie. Ku naszemu największemu zdumieniu został odwołany do Londynu nasz dotychczasowy dowódca 2 Brygady Pancerniej, generał Gustaw Paszkiewicz. Generał przed wyjazdem do Londynu objeżdżał wszystkie podległe mu jednostki celem pożegnania. Oczywiście nie omieszkiał odwiedzić i naszej skromnej jednostki, a wiedzieliśmy wcześniej, że nas odwiedzi, więc przygotowaliśmy odpowiednią ucztę z wyrobów upolowanych dzików. Bardzo głośno było w tym czasie o sprawie Katynia. Trwały dyskusje, kto to zrobił, prawie nikt nie wierzył, że zrobili to Niemcy, natomiast każdy był pewien, że zrobili to Sowieci. W czasie tej uczty generał Paszkiewicz stwierdził, że ma wiarygodne wiadomości od swojego krewnego, który ze Szwajcarii brał udział w pracach Komisji Międzynarodowej w Katyniu.

Jak zwykle, w chwilach wolnych jeździliśmy nad Eufrat i mimo, że był kategoryczny zakaz kąpieli ze względu na jakieś tam „solitery”⁴¹ i krokodyle, to jednak zażywaliśmy jej w miarę. Coś strzeliło mi do głowy, by przepłynąć na drugi brzeg. Wprawdzie pływałem dość dobrze, lecz w tym wypadku omal nie przeceniłem swoich sił. Pomyślałem sobie, że w górnej części rzeki prąd musi być bardzo silny i, że woda mnie zniesie około kilometra. Brzegiem z jednej strony pójść w górę rzeki i wrócić do miejsca startu po drugiej stronie. Błędem moim było niespenetrowanie lornetką drugiego brzegu i mimo, że koledzy odradzali mi tej eskapady, zdecydowałem się płynąć. Po zbliżeniu się do drugiego brzegu zobaczyłem, że woda podmywa kamienisty brzeg, który w tym wypadku jest nawisem skalnym. W oczy zagładnęła mi śmierć, włosy stanęły dęba i piekielny strach, który jest w wodzie największym błędem i nie wolno mu poddać się. W tym wypadku instynktownie zacząłem wracać, a ponieważ było to w zakolu rzeki, starałem się jak najbardziej możliwie trzymać środka, kosztem najmniejszego wysiłku. Kiedy wypłynąłem już z zakola na prostą siłą woli i mięśni, zacząłem wracać do brzegu, a brzegiem jechali samochodem koledzy, śledząc przez lornetkę, czy jeszcze utrzymuję się na wodzie. W ten sposób przepłynąłem około 7 kilometrów. W zapamiętaniu tym bałem się zgruntować, a kiedy dotknąłem nogami dna, woda sięgała mi nieco powyżej kolan. Co przeżyłem, wiem tylko ja.

Po przebytej malarii młody organizm i dobre odżywianie zrobiły swoje, a po powrocie do jednostki, życie jak przedtem – upały 50 stopni, na pewno jajko można było ugotować w piasku na miękko. Dość często przyjeżdżało kino objazdowe. Po zachodzie słońca stawiano ekran na dwu słupkach, za ekranem aparatura na samochodzie i wyświetlano film. Za siedzenie służyła skrzynka piwa, którą kupowaliśmy przed wyjściem na film w ukochanej NAAFI. Służyła ona jako siedzenie dla dwóch osób, oczywiście bardzo niewygodne. Kalkulacja była taka, że kończył się film i kończyła się skrzynka piwa. Tu oglądaliśmy prawie wszystkie polskie filmy przedwojenne jak „Zew Morza”, „100 metrów miłości” z Dymszą, „Pod Twoją Obronę” i wiele innych, angielskich i amerykańskich.

⁴⁰ W ten sposób tworzone improwizowane pociski „dum-dum”. Po trafieniu w cel, ulegają one deformacji (rozplaszczają się) powodując znacznie większe obrażenia, niż klasyczne pociski. Ponieważ jednak w trakcie tejże deformacji szybko tracą energię, słabo nadają się do zwalczania „twardych” celów, np. do przebijania kamizelek kuloodpornych.

⁴¹ Soliter to inna nazwa tasiemca uzbrojonego.

Miejscowość Taza Khurmatu pamiętam z epizodu, kiedy to cały miesiąc nie dowieziono ziemniaków i w związku z tym cały miesiąc jedliśmy ryż z baraniną. Co znaczy ryż dla Polaka w takie upały, nietrudno się domyśleć. Pełniąc służbę w kompanii, byłem świadkiem, jak zamrożony baran zawinięty jak mumia egipska (w gazę) leżał cały dzień na słońcu i ani myślał się rozmrozić, mimo woli spojrzalem na pieczętkę; data konserwacji była z roku 1926 lub 1936.

Jeśli na niedzielę nie udało się urwać do Bagdadu, to czas spędzaliśmy na odwiedzaniu kolegów lub znajomych w szpitalach polskich, hinduskich bądź angielskich. Urywaliśmy się też do pobliskich miasteczek na kieliszek araku, albo odwiedzaliśmy z przypadku Anglików, którzy byli tu nadzorcami, bądź właścicielami spółek naftowych. Mieszkali z rodzinami w bogatych willach z basenami i kortami tenisowymi. Znając gościnność Anglików (cup of tea), mogliśmy tam być tylko raz.

Raz byłem przypadkowo zaproszony na wesele arabskie, ale niewiele zapamiętałem z tych uroczystości. Będąc jeszcze w miejscowości Chanakin (po arabsku „dno piekła”) w niesamowity sposób dawały się nam we znaki chamsiny, czyli burze piaskowe. W czasie, a nawet przed nadciągającą burzą, należało jak najszybciej położyć maszt namiotu, położyć się, trzymając za górną część namiotu jak najniżej przy ziemi. Biada tym, którzy nie zdążyli położyć masztu lub spowodowali, że namiot został podwiany. Wtedy cały namiot szedł do góry niczym otwarty spadochron niesiony kilometrami. Pewnego razu namiot kancelarii naszej kompanii został podwiany i zanieśiony kilka kilometrów od obozu, a dokumenty i inne papiery znaleziono aż w Palestynie.

Aby uniknąć podwiania namiotu, należało go szczególnie na okres pory deszczowej podmurować i to w dwojakim celu. Raz, by uniknąć podwiania, a drugi, by uniknąć zalania wodą deszczową. Ponieważ nasze miejsce postoju było „dnem piekła”, ktoś rzucił pickielne słowo, że jest zgoda naszych władz na zbudowanie domu publicznego dla Polaków i nie będziemy musieli jechać aż do Bagdadu.

Od Arabów tubylców dowiedziano się, że z obok płynącej rzeczki łą wysuszony na słońcu nadaje się na cegły. Arabowie budowali z nich nawet domy. Rzekomo gdzieś tam na „górze” ustalono, ile będzie potrzeba cegieł na podmurowanie wszystkich namiotów i puszczono pogłoskę, że trzeba tyle, a tyle tysięcy cegieł. W ten sposób wojsko dało się nabrać. Pracowano tak, że późniejszy Stachanow⁴² to pestka. Słupki cegieł rosły jak grzyby po deszczu. Kiedy ustalono, że cegieł jest wystarczająca ilość, oficjalnie ogłoszono, że domu publicznego nie będzie, bo biskup Gawlina nie wyraził zgody. Dostało się, dostało biskupowi Bogu ducha winnemu. Wia-



Wręczenie sztandaru 6 Pułkowi Pancernemu „Dzieci Lwowskich” (gen. Szyszko-Bohusz i ppłk Motyka), Loreto 25 maja 1946 r.

⁴² Stachanow był nawet „wcześniejszy” – swój (sfalszowany, ponieważ pracował razem z pięcioma innymi górnikami, zaś wynik zaliczono tylko jemu) rekord w wydobywaniu węgla (1475% normy, czyli 102 tony) ustanowił w nocy z 30 na 31 sierpnia 1935 roku.

domość ta spowodowała, że nikt nie chciał transportować tej cegły do obozu, a tym bardziej dokonywać podmurówki. Konieczność jednak była koniecznością. Za puszek dżemu z grejpfrutów, konserwy, a nawet części oprzyrządowania wynajęci Arabowie zwozili cegły i dokonywali podmurówek. Kto miał więcej inwencji, ten wcześniej miał podmurowany namiot, gorzej było z namiotami służbowymi, ale i te trudności pokonano.

Tak w Chanakin jak w Taza Khurmatu, organizowane były rozgrywki piłkarskie z Anglikami, Grekami, Hindusami i innymi jednostkami. 1 lipca 1943 r. przemianowano nasz batalion na pułk o nazwie 6 Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich”.

We wrześniu, po przekazaniu czołgów typu „Valentine” do Basry, pułk wyjechał do Palestyny, z tym, że połowa stanu jechała samochodami, a druga zaś ze sprzętem w ten sposób, że jeden samochód pancerny typu Daimler ciągnie na sztywnym holu drugi. Obaj kierowcy tylko na zmianę biorą udział w transporcie. Jechaliśmy etapami przez Bagdad, Wadi Mahomet, Czarną Pustynię, Transjordanę do Palestyny, docierając po ponad tygodniowej mordędzie do miejsca przeznaczenia o nazwie Nuseirat (koło Gazy).

Podróżowaliśmy wyłącznie wczesnym rankiem z przerwą tropikalną i wieczorami. Pełna dramatu była podróż szczególnie przez Czarną Pustynię i Transjordanę. Widok czarnych kamieni i wysoka temperatura działały niezmiernie męcząco i usypiająco. Nie pomagały kanistry wody wylewane na głowy, powieki spadały na oczy, jakby obwieszane ciężarkami. Co chwilę słychać było sygnał z ciągniętego pojazdu i hamowanie. Nierzadko obaj zasygnalizowaliśmy i po ocknięciu się, spostrzegaliśmy, że kolumna jest o 100 metrów od nas. Nic nie dawały częste zmiany kierowcy, a czasem gorzej było jechać pojazdem ciągniętym, gdyż wymagało to większej uwagi. Jeszcze trudniejsza była jazda przez czerwone piachy i kamienie Pustyni Transjordańskiej, a czekały nas jeszcze góry i zdradzieckie serpentyny, a do tej pory nie mieliśmy jeszcze doświadczenia jazdy w górach.

Przy zjeździe z gór, gdy patrzyliśmy w dolinę rzeki Jordan, roztaczał się przed nami przepiękny widok jak z samolotu na przepływającą wstęgę Jordanu, przecudną zieleń ogrodów i sadów, pomarańczowych drzew owoców granatu o bardzo aromatycznym i odżywczym soku, ale bardzo szkodliwym dla zębów.

Oczywiście przejazd przez rzekę nie mógł się odbyć bez ceremonii „chrztu” i kąpieli. Po dalszej podróży przez terytorium Ziemi Świętej, dotarliśmy na pogranicze Palestyny i Egiptu, miejsca naszego postoju, wcześniej wspomnianej Gazy. Po drodze przy przejeździe przez Kanał Sueski⁴³ pożegnaliśmy się z Azją, a przywitaliśmy się z Afryką.

Rejon nadmorski Gazy był dla nas wymarzonej miejscem na odpoczynek i dalsze szkolenie. Obóz prawie doskonały z urządzeniami wodociagowymi, okolicznymi gajami pomarańczowymi, ogrodami ogrodzonymi przeważnie olbrzymiej wielkości kaktusami, liście o kolcach wielkości największej igły krawieckiej. W rejonie tym wizytował nas, po śmierci generała Sikorskiego, generał Kazimierz Sosnkowski, po mszy świętej celebrowanej przez biskupa Gawlinę, przy ołtarzu urządzonym na czołgu przegląd brygady i defilada, tu w Gazie stacjonował Polski Szpital Wojskowy.

Z tego rejonu zakwaterowania pułk nasz brał udział w manewrach całkowicie zbliżonych do założeń wojennych, przy udziale lotnictwa brytyjskiego oraz różnych jednostek wojskowych. Najczęstszym terenem manewrów była piaszczysta pustynia półwyspu Synaj w widłach zatoki Akaba i Sueskiej w warunkach niezmiernie trudnych, o litrze wody na dobę do picia i mycia.

Skutkiem tak wysokiej temperatury pancierz każdego pojazdu nagrzewał się tak dalece, że nie tylko nie można było wytrzymać wewnątrz pojazdu, ale kompasy czy busole czołgowe „tańczyły”, wskazując różne kierunki⁴⁴. Wokół była pustynia, słońce w zenicie i brak jakiegokolwiek zaczepienia na horyzoncie.

⁴³ Jest to nieścisłość. Aby dotrzeć z Iraku do Gazy nie ma potrzeby przekraczania Kanału Sueskiego. Autor zapewne przesunął w czasie tę przeprawę, która rzeczywiście miała miejsce później.

⁴⁴ Błędne wskazania kompasów spowodowane były raczej ich umieszczeniem wewnątrz czołgów i innych stalowych pojazdów zaburzających ziemskie pole magnetyczne. Również przyśpieszanie i zwalnianie oraz jazda po nierównym terenie powoduje nieprawidłowe wskazania. Innym problemem są anomalie pola magnetycznego Ziemi. W walkach na pustyni oprócz kompasów magnetycznych korzystano także ze słonecznych.

Zmorą wielotygodniowych manewrów były dla czołgów, zresztą nie tylko, tak zwane wadi (koryta wyschniętych potoków). Po burzach deszczowych i chamsinach, w założeniach bojowych przy zamkniętych klapach (wyłącznie na peryskopach) i przy dużej szybkości pojazdu, trudno było w porę zauważyć taką pułapkę o dość stromych brzegach. Czołg lub każdy inny pojazd wpadał w takie wadi, jak w „wilczą jamę”. Nie lada problemem było wydostać się z takiej pułapki, ponieważ brzegi piasku obrywały się, gąsienice wciągały piasek i czołg zawieszał się na własnym brzuchu. Przed rozpoczęciem intensywnego szkolenia na nowym sprzęcie (czołgi typu „Sherman”, lekkie typu „Stuart”), wszyscy żołnierze otrzymywali siedmiodniowe urlopy, spędzając je w obozie wypoczynkowym w Tel Awiwie, bądź wykorzystywali je na zwiedzanie zabytków, tak w Palestynie jak i w Egipcie.

Po wypoczynku, mimo dalszego intensywnego szkolenia, znajdowaliśmy czas na wyjazdy do kina, kąpiel w Morzu Śródziemnym, które mieliśmy tuż za wzgórkim, a w niedzielę wolni od służby wybieraliśmy się najczęściej autostopem do pobliskiego miasta Rechowot lub Tel Awiw, albo do dalszych jak Nazaret, Jerycho, Jerozolima, Betlejem.

Wszędzie tam można było spotkać Żydów pochodzenia polskiego. Spotykało się wiele restauracji z napisami „Kuchnia polska”. Żydzi cieszyli się, cmokając: „Aj waj, naszy polski wojski”, a byli to Żydzi z Warszawy, Lwowa, Tarnopola, Poznania, jednym słowem z całej Polski.

Pewnego razu trochę dłużej zabawiliśmy się tak, że ostatni autobus nam odjechał. Postanowiliśmy „uśmierzyć” nasze niepowodzenie paru głębszymi w restauracji, gdzie do tańca przygrywała żeńska orkiestra złożona z samych Żydóweczek i wszędzie tam, gdzie ona przygrywała, była bardzo duża frekwencja. Z tego też powodu orkiestra ta grała rotacyjnie po wszystkich lepszych restauracjach. Wchodząc do restauracji, natknęliśmy się na taki obrazek. Jeden Polak, przepychając się do wolnego stolika, potrącił siedzącego tam Anglika. Wywiązała się awantura, Anglik wezwał Polaka na boks. Polak oczywiście przyjął wyzwanie i w momencie, kiedy Anglik, zdejmując marynarkę, miał jeszcze ręce w rękawach, Polak wypuścił soczysty cios w szczękę tak, że kolegom Anglika nie wypadało nic innego, jak wynieść kolegę z restauracji. Tym samym skorzystaliśmy z zwolnionego stolika.

Gdyby przyszło mówić o przyjaźni między żołnierzami alianckimi, to na pewno przyjaźń z Anglikami byłaby na ostatnim miejscu. Później jakimś przygodnym autostopem, dotarliśmy poza obręb miasta, gdzie od zbudzonego ze snu wynajęliśmy wielbłądy i takim środkiem lokomocji wjechaliśmy do obozu, akurat w czasie, kiedy w kompaniach odbywały się zbiórki na mszę, bo była to niedziela. Śmiechom i docinkom nie było końca, oczywiście zaraz zostaliśmy aresztowani, a przy raporcie karnym za ten wybryk zarobiliśmy kilka dni „stójki” pod karabinem. Była to kara zamienna aresztu ścisłego na stójkę pod karabinem w pełnym przyrządzeniu (jeden dzień aresztu ścisłego na dwie godziny stójki). Chodziliśmy też w odwiedziny do obozów naszych „Pestek” (Pomoćnicza Służba Kobiet).

Istniała też 316 i 317 Kolumna Samochodowa, jednostki złożone z samych kobiet od szeregowca do dowódcy oddziału. Zadaniem tych jednostek w przyszłości miał być transport amunicji i innych materiałów do strefy przyfrontowej. W sprawach miłosnych nie mieliśmy żadnych szans u tych pań, gdyż im marzyły się wyłącznie gwiazdki panów oficerów. Zresztą od czasu wystawienia rewii przez nasz pułk, panie te obrażone były na nas do samego końca wojny. A było to tak: w skeczu między innymi kolega Edzio Wojtczak, bramkarz reprezentacji brygady w piłce nożnej, posiadający talent parodiowania i naśladowania głosów tak żeńskich jak i dziecinnych, a posiadający potężne żyłaki na nogach, grał rolę takiej „Pestki”. Rolę amanta porucznika grał Józio Natali, rdzenny lwowiak. O ile Edzio ubrany był w buciki wojskowe nr 45, pończochy jedwabne, mini spódniczkę, bluzeczkę „Battle Dressu”⁴⁵ i czarny berecik, o tyle porucznik ubrany był bardzo wytwornie łącznie z medalami. Publiczność na sam widok Edzia płakała ze śmiechu, a dialog był taki:

Spotykają się na drodze, on kłania się pięknie, całuje ją w rękę, ona odpowiada: „Dzień dobry” i dalej:

⁴⁵ „Battle Dress” to nazwa standardowego munduru wojsk brytyjskich w czasie II wojny światowej. Był noszony także przez żołnierzy innych armii, w tym Polaków.

- Ta ja tak o panu chorążaku myślała i myślała i wcale pana chorążaka nie poznałam.
 - A skąd panienka pochodzi?
 - A ja pochodzę z Wilna.
 - A na jakiej ulicy pani mieszkała, bo ja trochę znam Wilno?
- A ona na to:

– Ta ja nie całkiem z Wilna, ta ja z Baranowicz.

Rewia była bardzo udana, a panie bardzo obrażone, nie mogły tej rewii zapomnieć nawet do końca wojny. Oprócz rewii, jakie miały niepisany obowiązek organizować pułki naszej brygady, odwiedzał nas Polski Wojskowy Teatr z niezapomnianym „Lopkiem” Krukowskim.

Nie mając powodzenia u naszych pań, organizowaliśmy sobie wypad do Ismaili, bądź bliżej położonego, ale zakazanego dla wojska, miasteczka Az-Zakazik. Można tam było dobrze zjeść, na przykład porządny szaszłyk. Można było namotać ładną Arabkę, ale można też było dostać arabskim kindżałem w plecy, co chyba nie zdarzyło się nikomu z Polaków. Zakazanego miasteczka za żadne skarby nie odwiedziłby żaden Anglik.

W połowie grudnia 1943 r. pułk przeszedł na nowe miejsce postoju do Egiptu w rejon miasta Quassasin. W kompaniach (szwadronach) w dalszym ciągu odbywało się szkolenie dowódców czołgów, celowniczych, radiooperatorów, kierowców czołgowych, samochodowych i motocyklistów.

Jeśli miałem ukończone wszystkie kursy z wynikiem dobrym, to nie miałem w ogóle kursu na motocykle. Nie zostałem dopuszczony przez ówczesnego jeszcze dowódcę kompanii, kapitana Motykę, a powiedział on tak: „Władziu, ja chcę żebyś ty cały wrócił do Polski, ty jeździsz szaleńczo. Jak otrzymamy czołgi, dostaniesz pierwszy i będziesz jeździł tak szybko, jak tylko zechcesz” (znał nas wszystkich po imieniu).

Nie uczestnicząc w kursie motocyklistów, wolny czas poświęcałem praniu bielizny. Pranie skuteczniało się w rzece, jeśli taka była w pobliżu. Prasowanie, szczególnie spodni, odbywało się przez spryskanie ich wodą, ułożenie między odpowiednio złożone koce i przyciśnięcie tego własnym ciałem. Inny sposób, to ułożenie spodni w kocach na desce, położenie drugiej na wierzchu i najeżdżanie na nie kołem samochodu, motocykla lub innego pojazdu. W tym wypadku kant był niezawodny i długotrwały (każdy żołnierz starał się być eleganckim).

Pewnego razu w wolnym czasie udaliśmy się w czwórkę do Tel Awiwu, a raczej do jego starej, a dla wojska zakazanej, dzielnicy Jaffy.

Na jednej z ulic natknęliśmy się na awanturę Polaka z Arabami. Uznaliśmy, że jest on w niebezpieczeństwie, ruszyliśmy z pomocą, rozkładając po kolei najbliższych stojących Arabów. Wtedy jeden z nich porwał jedno ze stojących krzesel z drzewa palmowego i zniemacka zdzielił mnie po głowie. Krzesło złamało się na dwie części. Mając gwiazdy w oczach, odruchowo czy skutkiem uderzenia, przysiadłem, chwytając złamaną połówkę krzesła, zacząłem okładać na lewo i prawo atakujących Arabów. W momencie dobrze już rozgorzałej walki, usłyszeliśmy gwizdki, co oznaczało, że do akcji wchodzi zawiadomiona policja palestyńska (nie nosiła broni).

Słyszając głos kolegów: „Pryskamy” (co oznaczało, że każdy ma uciekać w innym kierunku), odbiegłem od nadal walczących, za mną biegł młody Arab z kindżałem w ręku. Sytuacja stawała się niebezpieczna, biegnąc ulicą w kierunku morza, skręciłem za pierwszą stojącą na brzegu barkę. Niczego niespodziewający się mój napastnik nadział się dosłownie na mój sierpowy i po ciosie tym został leżąc. Zabrałem mu tylko kindżał i szybkim krokiem oddaliłem się od miejsca zajścia. Ponieważ po ciosie krzesłem głowa bardzo mi krwawiła, wchodząc na najbliższą ulicę, ale już Tel Awiwu, wzrokiem szukałem zakładu fryzjerskiego, który okazał się być dość blisko. Wszedłem do zakładu, którego właściciel, Żyd, bardzo się przestraszył. Chciał dzwonić na policję, więc jak umiałem gestami odwiodłem go od tego, dając do zrozumienia, że po udzieleniu mi pomocy zaraz zakład jego opuszcze. Pokazując mu sztylet, dałem do zrozumienia, że zostałem zaatakowany przez Arabów, pokazując mu gestami, że był to taki polski boks.

Również gestem zapytał mnie, czy jestem bokserem. W międzyczasie przywołał z działu żeńskiego pracownicę, i polecił jej, żeby mnie opatrzyła. Kobieta umyła mi głowę, powycinała włosy, zakleiła plastrem ranę, oczyściła spodenki i koszulkę z krwi. Posiedziałem chwilę, odpowiadając na jego pytania, powiedziałem, że jestem bokserem jeszcze z Polski.

Popatrzył na mnie okiem handlowca i powiedział, o ile mogłem zrozumieć, że oni też mają boksera mniej więcej mojej wagi i można by zrobić spotkanie. Obiecałem, że w tej sprawie się do niego zgłoszę.

Kiedy już poczułem się względnie dobrze, chciałem mu zapłacić za usługę, ale on i jego pracownica odmówili przyjęcia zapłaty. Jak się później okazało, to tylko ja z tej czwórki nie dałem się złapać. Po powrocie do jednostki życie biegło normalnym wojskowym trybem.

1 stycznia 1944 r. pułk wyruszył na dziesięciodniowe ćwiczenia bojowe w pustyni, zakończone ostrym strzelaniem i mszą celebrowaną przez biskupa Gawlinę, przy ołtarzu urządzonym na czołgu, a każdy z nas słuchał jej przez swoje radio czołgowe. Jakie były trudności, niech świadczy fakt, że na tychże ćwiczeniach beczkowóz dostarczający wodę otrzymał zadanie dowiezienia jej naszemu pułkowi w czasie akcji i chociaż kierowca nie frajer, zbłądził jednak w pustyni i odnaleziono go samolotem aż na trzeci dzień, a myśmy musieli się obejść bez wody. Pewnego wieczoru po zakończonych ćwiczeniach i po kolacji,



Na wycieczce w Kairze, Autor szósty z prawej (widoczna sama głowa)

robiliśmy sobie gościnę w namiocie przyczepionym do czołgu. W tym czasie obowiązywało zaciemnienie, namiot oświetlony był żarówką z akumulatora. Gdy gościliśmy się w najlepsze, otwiera się kłapa namiotu i wchodzi dowódca kompanii, Motyka, prawdopodobnie wcześniej sprawdzał stan zaciemnienia (w nocy samoloty miały wykryć nasze miejsce). Za słowami: „Co tu macie?”, nie dało się niczego ukryć. Dowódca czołgu zaproponował wypicie toastu za dobrze wypełnione zadania bojowe tego dnia. Usiadłszy, popatrzył na kolegów i na mnie, wypił i mówi do mnie na ucho, tak, by wszyscy słyszeli: „Władziu, masz dobrych kolegów, ja już przy raporcie wiedziałem, że tym czwartym w awanturze w Jaffie byłeś ty. Koledzy nie wyspali ciebie, karę jednak podzieliłem na trzech, a oni odbyli ją za ciebie”. Po czym poszedł sprawdzać zaciemnienia w innych czołgach. Dnia 13 marca 1944 r. nastąpiła zmiana miejsca pobytu. Pułk przeniósł się do miejscowości Ikingi Mariut (koło Aleksandrii).

O ile na poprzednich postojach, dysponując czasem, zwiedzaliśmy w Iraku Bagdad, jego zabytki i okolice, to w Palestynie obejrzelśmy miejsca święte jak Jerozolima, gdzie korzystaliśmy dość często z gościnności polskich sióstr zakonnych, zwiedzając zabytki: pałac Piłata, pretorium, miejsce kaźni Chrystusa, izbę, w której żołnierze grali w kości, studnię, z której

czierpano wodę, żydowską Ścianę Płaczu, Ogród Getsemani (Oliwny) wraz z bazyliką, w której przed ołtarzem jest ogrodzone miejsce z czystą skałą, na której klęczał i modlił się Pan Jezus. Z bazyliki tej oglądaliśmy panoramę na górę Kalwarię, Dolinę Jozafata i całą dolinę rzeki Cedron. Według tamtejszych wierzeń, Żydzi chowani są w pozycji siedzącej, dlatego, że, gdy zagrmi trąba na sąd ostateczny, mogli być pierwszymi. Zwiedzaliśmy Bazylikę Grobu Pańskiego, Górę Kalwarię i prowadzące na nią uliczki ze stacjami Drogi Krzyżowej. Z rejonu Egiptu przede wszystkim Kair, jego zabytki, piramidy, Sfinksa, gabinet figur woskowych, muzeum chorób wenerycznych, przebogaty ogród zoologiczny, jego bogate i zakazane dzielnice. Do dzielnicy, której z młodzieńczej ciekawości, nie omieszkałem odwiedzić, wybraliśmy się tą samą paczką, co do Tel Awiwu. Po śniadaniu w jednej z restauracji udaliśmy się na „dziewczynki”.

Towarzyszący mi młodzieniec zaprowadził mnie do mieszkania bardzo ładnej Egipcjanki, po chwili dał się słyszeć stukot i dobijanie się do drzwi, jak się okazało żandarmerii angielskiej, która najwidoczniej nas śledziła. Za radą wybranki chwyciłem swoje manele i dałem nura na dach płaskiego domu, kryjąc się za kominem, gdzie usłyszałem przekleństwa Anglików i niepewne twierdzenie, że przecież musi tu gdzieś być. Po pewnej chwili rozdygotana Egipcjanka zawołała mnie, że już poszli.

Przeczuwając, że jednak będą na mnie czatowali, stojąc w uchylonych drzwiach, czekałem momentu, kiedy nadjedzie tramwaj. Gdy tramwaj ruszył, wystartowałem jak wyrzucony z procy i w biegu wskoczyłem do odjeżdżającego pojazdu.

Z kolegami spotkaliśmy się na wcześniej umówionym miejscu, ale niedługo natknęliśmy się na patrol żandarmerii tak, że nie było możliwości uniknąć spotkania. Był to patrol żołnierzy z Nowej Zelandii. Ponieważ oni nas nie rozumieli, nie chcieliśmy oddać im książeczek wojskowych, prosząc, by zaprowadzili nas na komendę miasta. W drodze umówiliśmy się, że rozbiegamy się na najbliższym skrzyżowaniu ulic tak, że każdy ucieka w inną stronę. Na dany sygnał, każdy skoczył w inną stronę, a żandarmi zostali jak wryci. Wyobrażam sobie ich miny i zaskoczenie, że tak łatwo zostali wykiwani.



Pod pomnikiem króla Egiptu Faruka, Autor drugi z prawej



W ZOO w Kairze, Autor w dolnym rzędzie trzeci z lewej

Przechwycenie żołnierza w zakazanej dzielnicy pociągało za sobą wysokie kary dyscyplinarne. Najgorszą oprócz tego była kara całkowitego ogolenia głowy na „nulkę”. Taki żołnierz był znakiem, że został przyłapany w zakazanej dzielnicy.

W Ikingi Mariut w oczekiwaniu (jak się okazało do Europy), ze względu na tajemnicę, nikt z nas nie wiedział tego naprawdę, a snuto różne przypuszczenia, przygotowaliśmy sprzęt do transportu morskiego. Tu też doszło do bardzo ostrego spięcia między dowództwem polskim i angielskim. Stacjonująca koło nas brygada grecka zbuntowała się, nie chcąc wyjeżdżać do Europy. Anglicy chcieli tą brudną robotę zlecić Polakom, ale polskie dowództwo kategorycznie odmówiło wykonania takiego zlecenia, czyli „wybrać kasztany z ognia naszymi rękami”. Z konieczności musieli zrobić to sami. Anglicy w końcu tę brygadę rozbroili, ale co się z nią dalej działo, nie wiem⁴⁶.

Dnia 29 marca, postawieni alarmem, wyjechaliśmy ciężkim sprzętem do portu w Aleksandrii. Po załadowaniu sprzętu na statki, wróciliśmy na dawne miejsce postoju, zaś załadowane statki zakotwiczone w rozproszeniu na pełnym morzu, gdyż zdarzały się wypadki nalotów niemieckich samolotów, szczególnie na port. Cały ten obiekt portowy był jedną płataniną lin, balonów zaporowych różnego rodzaju, sieci między balonami na różnych wysokościach⁴⁷. Po załadowaniu sprzętu mieliśmy dużo czasu do dyspozycji, toteż będąc w Aleksandrii, nie sposób było nie odwiedzić „Sister Street”, przy której był przybytek publiczny dla wojska alianckiego.

⁴⁶ Po zajęciu Grecji przez siły „Osi” w 1941 roku, król Greków Jerzy II (pochodzący z niemieckiej dynastii Glücksburgów) udał się na emigrację, zaś na Bliskim Wschodzie sformowano 1 i 2 Grecką Brygadę Piechoty. W 1944 roku żołnierze tych jednostek, stacjonujących w Libii oraz w Egipcie, podnieśli bunt popierając grecki lewicowy Narodowy Front Wyzwolenia. W ogólności powodem były różnice co do przyszłości Grecji po przyszłym wyzwoleniu kraju. Siły komunistyczne i demokratyczne domagały się m. in. referendum w sprawie ustroju państwa, gdy tymczasem Brytyjczycy forsowali ideę powrotu króla Jerzego II i jego dalszego panowania. Ostatecznie żołnierze obu brygad zostali rozbrojeni i internowani przez Brytyjczyków. W późniejszym okresie z tych, którzy byli lojalni wobec króla sformowano 3 Grecką Brygadę Górską, która wzięła udział w walkach we Włoszech i Grecji.

⁴⁷ Balony zaporowe unosząc się w powietrzu były przymocowane do ziemi stalowymi linami. Naprężone liny miały uszkadzać samoloty, które by w nie uderzyły.

Gdyby nieznający sprawy stał na ulicy i patrzył, kto jakim samochodem przyjeżdża i jak dystygnowane panie do tego budynku wchodzi, nigdy by nie odgadł, po co one tam wchodzi.

7 kwietnia postawiono nas alarmem w stan ostrego pogotowia i zarządzono wyjazd do portu w Aleksandrii, gdzie oczekiwały już na nas motorówki, którymi dowożono nas do stojących na morzu okrętów. Mieliśmy ze sobą tylko sprzęt osobisty (pozostały sprzęt został załadowany wraz z czołgami). W czasie wchodzenia po trapie z motorówki na statek porządku pilnował osobiście kapitan okrętu.

Kolega nasz Antoś Sowa (przemyslanin) miał psa i powstał problem, jak tego psa przemycić na okręt (wbrew wcześniejszemu zakazowi i to bardzo ostremu jako, że wielu żołnierzy jak i oficerów miało zwierzęta przeważnie psy, ale były też i małpy i koty). Sprawa rozwiązana została w ten sposób, że ja wziąłem rzeczy osobiste Antosia do koca i na plecy, tak łatwiej było nawet wchodzić, a Antoś do koca psa z tym, że przodem puściliśmy tych, co mieli tylko swoje osobiste rzeczy, stojący kapitan kazał pierwszym pokazać, co tam mają i dalszych już nie kontrolował. W ten sposób Antoś przemycił psa.

Po całkowitym załadunku zarządzono zbiórkę na pokładzie. Jakież zdziwienie musiało wywołać u kapitana okrętu pojawienie się psa u nogi Antosia. Na pytanie: „Czy to pies?” Antoś wystąpił z szeregu. Kapitan, chodząc po pokładzie przed szeregiem wojska, zapewne rozmyślał, jak to stało. Przecież on cały czas stał przy trapie. Głównie interesowało go, jak pies został przemycony, kiedy tłumacz wyjaśnił, to powiedział, że mimo ostrego zakazu pies zostanie i nawet przydzielono mu odpowiednią porcję żywności.

Tu zaopatrzone nas w pasy ratunkowe i poinstruowano, jak to mamy ubierać i jak się tym posługiwać w razie konieczności. Dla zmniejszenia ilości obsługi statku, przeszkolono nas z obsługi dział, działek i karabinów maszynowych przeciwlotniczych. Przeszliśmy też instruktaż na wypadek najechniania statku na minę, nalotu itp.

Dnia 8 kwietnia konwój wyruszył na pełne morze. Po dołączeniu części konwoju płynącego z Port-Saidu, płynęliśmy, ale nikt z nas jeszcze nie wiedział, dokąd płyniemy. Jak się okazało to płynęliśmy do Europy, a konkretnie do Włoch.

Święta Wielkanocne spędziliśmy na morzu. W czasie podróży mieliśmy kilkakrotnie alarmy, tak przeciwlotnicze, jak i przed niemieckimi łodziami podwodnymi. Zawsze jednak kończyło się jedynie na strachu, a był to konwój ponad 50 okrętów. Konwojowały nas polskie ścigacze i kontrtorpedowce⁴⁸ (poznawaliśmy po banderach) oraz lotnictwo, do połowy drogi z lotnisk w Egipcie, od połowy drogi z lotnisk we Włoszech.

W czasie podróży przeżywaliśmy sztorm. Uczucie nie do opisania, może dlatego, że była to moja pierwsza podróż morską w życiu. Sztorm zastał mnie na stanowisku obsługi „pampama” (sprężone działko przeciwlotnicze)⁴⁹.

Statkiem rzucało potwornie. Miałem wrażenie, że cała góra wody zaraz spadnie na mnie, a za moment widziałem przed oczyma potworną otchłań, do której lada moment spadnie cały okręt. Czołgi wprawdzie były poprzykręcane do bocznych ścian ładowni, gruchotały, jakby za chwilę miały wylecieć z luków razem ze ścianami. Fale rozbijające się o burtę, rozpryskiwały słoną wodę, toteż mokry byłem jak szczur. Na posterunku jednak wytrzymać musiałem. W czasie największego nasilenia sztormu, podchodzi do mnie chłopiec kuchenny, Anglik i mówi: „Tea please” („Herbatę proszę”). W tej sytuacji powiedziałem mu po polsku:

⁴⁸ W czasie II wojny światowej wszystkie polskie ścigacze operowały na Kanale La Manche. Na Morzu Śródziemnym pływały natomiast polskie kontrtorpedowce (niszczyciele), niszczyciele eskortowe, okręty podwodne oraz statki.

⁴⁹ Właściwie „pom-pom”. Była to popularna nazwa brytyjskiego działka przeciwlotniczego Quick Firing 2-pounder Mark VIII kalibru 40 mm. Broń ta była szeroko rozpowszechniona na brytyjskich oraz wielu sojusznicznych okrętach i statkach. Działka montowano na różnego typu podstawach jako pojedyncze i sprężone (poczwórnie lub ośmiokrotnie). Ze względu na niewielką prędkość wylotową pocisków, wadliwą amunicję, podatność na zacięcia, dużą masę stanowisk i liczną obsługę (zwłaszcza w wersjach sprężonych) nie była to broń udana.

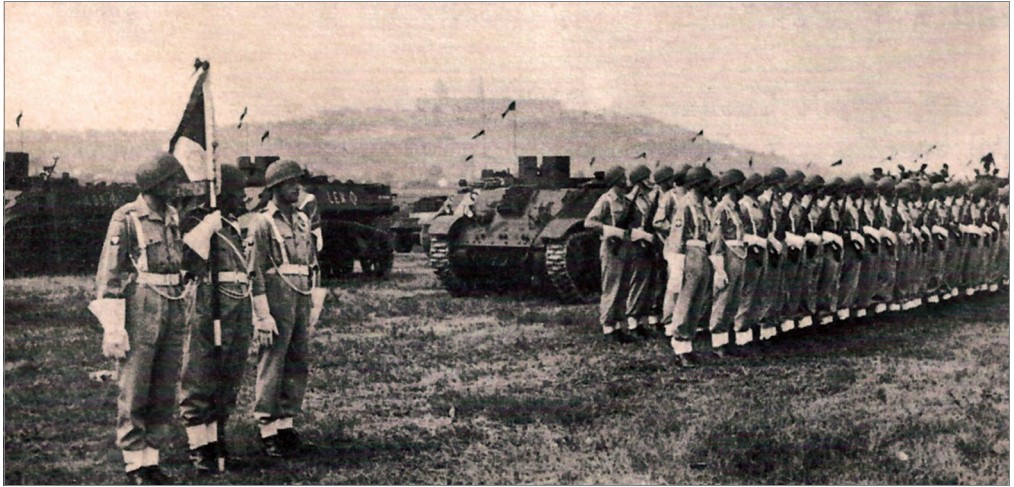
„Chłopie, ja rzygam co chwilę, jak pies Antosia, a ty mi herbatę proponujesz?”. Ten oczywiście nic nie rozumiał, ale mój stan prawdopodobnie wszystko mu wyjaśnił.

Po zmianie półprzutomny i zmęczony ułożyłem się na koi i zasnąłem snem sprawiedliwego. Wcześniej jednak przypuszczałem, że jesteśmy niedaleko Sycylii, gdyż w czasie sztormu, wulkan Etna był z daleka widoczny, raz miałem go w górze, a raz na dole. Sprawiało to wrażenie, że nie statek, lecz góra się przewraca. Jak się później okazało, konwój nie mógł kontynuować dalszej podróży i zawinął do wojskowego włoskiego portu Augusta na Sycylii. Kiedy się obudziłem, słońce było już wysoko. Wchodząc na pokład, stanąłem osłupiały, ujrzałem, jak rozwijał się handel między załogami statku, a tubylcami wbrew jakiegokolwiek obawie przed szpiegostwem. Sycylijscy handlarze mieli wszystko, w helmie na sznurku do góry jechały mandarynki i inne owoce, zaś na dół konserwy i papierosy. Jednym słowem handel wymienny.

Około południa konwój wypłynął z portu kursem na port w Tarencie. Tu statki wpływały do odpowiednich basenów i natychmiast były wyładowywane. Ja ze swoim czołgiem zostałem wyładowany około północy. Po sformowaniu odpowiedniej grupy czołgów, zostaliśmy zapilotowani poza miasto Tarent, skąd transportem kołowym dołączyliśmy do pułku w miejscowości Villa Volturno. Załogi przystąpiły do przygotowania sprzętu do akcji bojowych.



ZSRR-Tockoje (Armia Polska)



Poczet sztandarowy 6 Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich”. Widoczne należące do pułku czołgi „Stuart”, posiadające zamiast wież karabiny maszynowe osłonięte pancernymi tarczami



Gen. Szyszko-Bohusz przed frontem kompanii 6 Pułku Pancernego, obok ppłk Feliks Motyka

CZEŚĆ III

Dnia 29 kwietnia pułk przeszedł bardziej na północ w rejon miejscowości Ciorlano, gdzie cały wysiłek skoncentrowano na doprowadzeniu sprzętu po podróży morskiej oraz prowadzono jego adaptację. Nakładano dodatkowe płyty pancerza na ścianach bocznych czołgów, opancerzenie koszy amunicyjnych, zakładano zapasowe gaśnice na dogodne miejsca, montowano pierścienie azymutowe w „Shermanach” i celowniki typu Swabby, uzupełniano amunicję. Wiadomo już było, że zbliża się generalna ofensywa we Włoszech, w której Korpus Polski będzie miał zaszczytne, ale zarazem najtrudniejsze zadanie, zdobycia klucza do Rzymu, twierdzy Monte Cassino.

Napięcie było duże. Żołnierze z niecierpliwością oczekiwali rozpoczęcia działań naszego pułku. Po podciągnięciu pułku do miejscowości Venafrò (styczność bezpośrednia z Monte Cassino)⁵⁰, rozpoczęły się dalsze przygotowania do akcji.

11 maja o północy⁵¹ bezustanny grzmot setek dział i setek bombowców lecących na północ, oznajmiły rozpoczęcie ofensywy. Bratni nasz 4 Pułk Pancerny wszedł do akcji. Dochodziły do nas sprzeczne wiadomości, jedno było pewne, bitwa jest zacięta i krwawa.

Od godziny „H”⁵² byliśmy w ciągłym pogotowiu i oczekiwaniu na dalszy rozwój śmiertelnej bitwy. W akcji są bez przerwy 3 Dywizja Strzelców Karpackich i 5 Kresowa Dywizja Piechoty oraz bronie towarzyszące. Mimo trudnych warunków górskich desperacko walczyła część 4 Pułku „Skorpion”. Wiemy z meldunków, że ponoszą duże straty od min czołgowych. Wszystkie możliwe i niemożliwe przejścia są dokładnie zaminowane, a z bunkrów pokryte siecią krzyżowych ogni broni maszynowych.

Dnia 21 maja o godz. 6:00 na rejon, gdzie zgrupowane były oprócz naszego pułku, 9 pał⁵³, baterie ppanc. oraz oddziały angielskie, Niemcy skierowali silny ogień ciężkiej artylerii i moździerzów w kilku nawałach. Ostrzał taki trwał cały dzień do późnego popołudnia tego pięknego niedzielnego dnia. Nawała zaskoczyła nas w czasie sporządzania śniadania nieopodal czołgów, wskoczyliśmy więc z podchorążym Edkiem Wojtczakiem do głębokiego rowu melioracyjnego (całe szczęście, że było bliżej jak do czołgu), leżąc głowami do siebie w duchu klepaliśmy zdrowaśki, oczywiście ze strachu. Był to nasz chrzest bojowy. Pierwsze minuty w ogniu i to jakim, najgorsze były „Nebelwerfery”⁵⁴, moździerze dużego kalibru sprzężone, tak że zmuszeni byliśmy leżeć aż do ustania nawałnicy. Nie sposób było głowy wychylić, tak ze względu na szrapnele artyleryjskie jak i rozprysk pocisków „moździerzowych”. Opuszczając miejsce naszego schronienia, ujrzelśmy jak z kosza naszego czołgu ściekała zawartość puszek konserwowych, podziurawionych odłamkami pocisków.

W czasie tej nawałnicy ogniowej, ciężko ranny został dowódca pułku, major Henryk Świątlicki i pięciu oficerów, z których jeden, porucznik Kałucki, oficer łączności, zmarł w czasie ewakuacji, zginęło też czterech szeregowych.

⁵⁰ Venafrò leży około 19 km w linii prostej na wschód od Monte Cassino.

⁵¹ Właściwie przygotowanie artyleryjskie rozpoczęło się o godzinie 23:00, zaś natarcie ruszyło o 1:00 po północy.

⁵² W angielskiej terminologii „H-Hour” (godzina „H”) oznacza godzinę rozpoczęcia akcji; podobnie „D-Day” (dzień „D”) to dzień rozpoczęcia akcji.

⁵³ 9 Pułk Artylerii Lekkiej.

⁵⁴ Mimo swojej nazwy (dosłownie: „miotacze mgły”) były wieloprowadnicowymi wyrzutniami rakiet (nie zaś moździerzami) o kalibrach 15 cm, 21 cm, 28/32 cm oraz 30 cm. „Nebelwerferami” określano często także inne niemieckie wyrzutnie rakietowe, które oficjalnie nazywały się inaczej.

Odejście dowódcy pułku w drugim dniu bitwy było ciężką stratą. Tym bardziej, że był to człowiek, który wyszkolił i przygotował pułk do akcji.

Dowództwo pułku objął jego zastępca major Józef Zasadni. Pierwszy i drugi szwadron oraz rzut „A”, który wieczorem dnia poprzedniego podciągnął do rzutu walczącego, wycofano około 1 km do tyłu, między Monte Cassino, a drogę nr 6, gdzie były one ukryte przed obserwacją nieprzyjaciela za fałdą terenową.

W tym czasie dowódca 3 szwadronu kapitan Kuczuk-Pilecki otrzymał zadanie zdobyć Piedimonte San Germano⁵⁵, przy ścisłym współdziałaniu z piechotą, która utrzymała się na wschodnim skraju miasta (około 80 ludzi), pozostałość z 18 batalionu 5 Kresowej Dywizji Piechoty oraz kombinowany szwadron 12 Pułku Ułanów Podolskich⁵⁶ w takiej samej sile.

Około 11:30 rusza pół 3 szwadronu pod dowództwem kapitana Kuczuka do natarcia na miasto od południowego-wschodu. Druga połowa szwadronu, pod dowództwem kapitana Michałki, wspiera ogniem grupę Kuczuka i demonstrowuje wzdłuż drogi nr 6.

Zaraz po przekroczeniu drogi biegnącej od szosy nr 6 do Piedimonte, grupa ta dostaje się pod silny ogień działek ppanc., który niszczy trzy czołgi. Straty w ludziach: zabitych czterech szeregowych, ranny jeden oficer i szeregowy. Grupa wycofuje się. Kapitan Kuczuk po półgodzinnej walce z działkami ppanc., pozostawiwszy trzy uszkodzone czołgi, wdziera się, po niemożliwym zdawało się dla przejścia czołgów zboczem, do góry na skraj miasta.

Zapada noc. Piechota i czołgi 3 szwadronu ubezpieczają się na skraju miasta. Ubezpiecza się również siedem czołgów 1 szwadronu, które na rozkaz pułkownika Bobińskiego⁵⁷ wyruszyły o godz. 16:00 z rejonu tylnej zbiórki bojowej na wsparcie 3 szwadronu, a stoją na równinie pod Piedimonte.

Przez całą noc trwa wymiana silnego ognia wszystkich broni. Nad ranem około godz. 3:00 odparto wypad „łowców czołgów”⁵⁸, usiłujących zniszczyć najdalej wysunięte czołgi. W godzinach popołudniowych zostałem wezwany przez radio do dowódcy, majora Motyki. Jak już nadmieniałem Piedimonte było naszym chrztem bojowym.

Niemające dotychczas doświadczenia bojowego, załogi prześcigały się w wykrywaniu celów i ich niszczeniu. Niekiedy do tego samego celu strzelano z dwóch i więcej czołgów, wystrzeliwując zbyt dużo amunicji.

Wobec zbliżającej się nocy, wzrastało niebezpieczeństwo trudności w uzupełnieniu amunicji i paliwa. Major Motyka, znający nas prawie każdego po imieniu, wręcz powiedział do mnie: „Władziu, główniarze wystrzelają amunicję i nie będą mieli czym strzelać, jak walka wejdzie w decydującą fazę, trzeba ich koniecznie zaopatrzyć”. Odpowiedziałem: „Tak jest!”.

Po załadowaniu odpowiedniej ilości amunicji, zapoznałem się szczegółowo z powierzonym mi zadaniem. Zadanie polegało na tym, że podjeżdżałem do czołgu tak, aby być zasłoniętym od strony nieprzyjaciela, nawiązywałem kontakt radiowy z załogą, ta otwierała okienko wyrzutnika granatów i przez to okienko podawałem pociski⁵⁹ do działek i akcesoria do tego potrzebne, zaś skrzynki z amunicją do ckm zostawiałem na czołgu. Skrzynki załoga sama zabie-

⁵⁵ Często nazwę miasteczka skracano do Piedimonte.

⁵⁶ Pomimo kawaleryjskich nazw, pułki ułanów w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie były jednostkami czołgów lub rozpoznawczych samochodów pancernych. Do tego drugiego typu należał 12 Pułk Ułanów Podolskich. Spieszonych żołnierzy tegoż pułku użyto jako zwykłej piechoty. Było to spowodowane ciężkimi stratami 2 Korpusu.

⁵⁷ Był on zastępcą dowódcy 2 Brygady Pancernej.

⁵⁸ Po niemiecku: „Panzerjäger”. Określenie to mogło (nie zawsze oficjalnie) oznaczać zarówno pojazdy (inne niż czołgi) uzbrojone w działo przeciwpancerne, obsługi klasycznych dział przeciwpancernych, jak również żołnierzy piechoty wyposażonych w ręczną broń do zwalczania pojazdów pancernych (granaty ręczne pojedyncze i w wiązkach, mniej lub bardziej improwizowane ładunki burzące, ładunki kumulacyjne mocowane na magnesach oraz najbardziej popularne w wojskach niemieckich granatniki przeciwpancerne typów „Panzerfaust” i „Panzerschreck”). W tym wypadku chodzi właśnie o piechurów.

⁵⁹ Właściwie naboje. Czołgi będące na wyposażeniu 6 Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich” strzelały amunicją scaloną (pocisk + łuska z ładunkiem miotającym i zapłonnikiem).

rała sobie do czołgu. Procedura taka powtarzana była od czołgu do czołgu, aż do wyczerpania amunicji.

Następnie powrót, załadunek i dalsze uzupełnianie, aż do skutku. Bardzo często zabieraliśmy rannych, tak czołgistów jak i żołnierzy innych jednostek, najczęściej saperów, gdyż innym środkiem lokomocji było wręcz niemożliwe. W porze nocnej dowoziliśmy amunicję, daleko na przedpole, tak by nacierające czołgi mogły sobie same w miarę potrzeby uzupełniać amunicję.

22 maja otrzymałem zadanie udania się czołgiem wraz z lekarzem i sanitariuszem (A. Rutana i san. L. Królikowski) na przedpole najdalej wysuniętych czołgów pod miastem. Otrzymałem bowiem meldunek radiowy, że leży tam saper z nogą urwaną na minie. Po umocowaniu flagi z czerwonym krzyżem, udaliśmy się tam po karkołomnych zboczach, docierając najbliżej, jak się tylko dało, we trójkę wynosząc go spod pozycji niemieckich, nie więcej jak 20–30 metrów. Widzieliśmy ich na stanowiskach, zapewne i oni nas widzieli. Duszę miałem na ramieniu, ale trzeba było ratować człowieka, a nie myśleć o sobie. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że ze szwadronu Kuczuka poważnie ranny jest podchorąży Średnicki, należało szybko podjąć mądrą decyzję, gdyż rannego trzeba było kilkanaście metrów przenieść przed czyhającymi na łup Niemcami. Nie namyślając się wiele, wziąłem wyćwiczonym chwytem podchorążego na plecy i przedefilowałem przed zaskoczonymi Niemcami do swojego czołgu. Po dowiedzeniu rannych przekazaliśmy ich służbie sanitarnej.

Dnia 22 maja o godz. 10:00 ruszyło natarcie wzdłuż szosy nr 6, bez wsparcia piechoty z zadaniem zniszczenia stanowisk nieprzyjaciela na zachodnim skraju miasta Piedimonte i ubezpieczenia z kierunku północno-wschodniego.

Meldowano większe zgrupowanie niemieckich czołgów „Tigrów”⁶⁰ na osi dywizji kanadyjskiej, które mogą się pojawić także na naszej osi. O godzinie 14:00 rusza natarcie czołgów i piechoty. Nocą przybyło uzupełnienie. To, co udało się zebrać po akcji na Monte Cassino po uprzednim wytrasowaniu i rozbrojeniu min przez saperów. Szturmująca piechota dostaje się z miejsca w krzyżowy ogień broni maszynowej z kilku gniazd odległych o kilkadziesiąt metrów i ponosi straty w zabitych i rannych. Ginie dowódca natarcia, major Tarkowski.

Z czołgami powtarza się historia z dnia poprzedniego. Dwa czołgi dostają się do wlotu uliczki prowadzącej do głębi miasta. Pozostałych sześć (z 2 szwadronu) jest uszkodzonych albo unieruchomionych na minach. Dojście czołgów do miasta jest znów zatarasowane, natarcie załamuje się.

Około godz. 17:00 podciągają do połowy zbocza jeszcze trzy czołgi (z 1 szwadronu). Tymczasem natarcie szwadronu porucznika Masztaka, który otrzymał około godziny 15:00 rozkaz odcięcia Piedimonte od północy, załamuje się pod silnym ogniem działek ppanc., moździerzów i broni maszynowej. Jeden czołg zostaje spalony, dwa inne uszkodzone. Na pomoc zostają rzucone z odwodu ostatnie cztery czołgi 1 szwadronu. Po załamaniu się i tego natarcia, pod osłoną dymną, ostrzeliwując się ze wszystkich środków ogniowych, szwadron wycofał się na podstawę wyjściową.

W nocy z 22 na 23 maja ogień niemieckich moździerzy trafił i zniszczył dowiezioną z takim trudem amunicję do dział czołgowych, złożoną na skarpach w odległości około 200 m od stanowisk nieprzyjaciela. Wybuchy tej amunicji trwały przez kilka godzin.

Straty pułku w tym dniu wyniosły 7 szeregowych zabitych, 1 oficer 15 szeregowych rannych.

23 maja o godz. 9:00 kapitan Kuczuk rusza do natarcia z zamiarem wdarcia się samymi czołgami w głąb miasta, a za nimi ma pójść piechota. Natarcie załamuje się, gdy drugi i trzeci czołg wyleciały na minie, zamykając drogę przejścia dla innych czołgów, zaś czołg czołowy, w którym jest dowódca został unieruchomiony, zawisając na skarpie nad przepaścią. Strat w ludziach

⁶⁰ Niekoniecznie musiały to być osławione „Tygrysy”. Alianccy żołnierze, obawiając się tych czołgów, bardzo często meldowali ich obecność, mimo że w rzeczywistości były to inne wozy. Wynika to po części z podobieństwa „Tygrysów” do czołgów Panzer IV (zbliżony kształt kadłuba i wieży). W przypadku zamaskowanych lub obserwowanych z daleka wozów można było nie zauważyć oczywistych różnic między nimi (zupełnie inny układ jezdy oraz znacznie większe wymiary „Tygrysów”).

nie było. Pozostałe trzy czołgi, które są na chodzie, otrzymały rozkaz wycofania się z drogi do miasta. W czasie wycofywania się czołg zwał się w wąwóz (jeden szeregowy zabity jeden podchorąży ranny). Przy ratowaniu załogi zostaje zabity przez snajpera dowódca szwadronu, kapitan Kuczuk-Pilecki. W czasie opuszczania czołgu pocisk z moździerza pada pod nogi wyskakującego z czołgu starszego szeregowego Juliusza Matzenauera i roznosi go w strzępy. Tak ginie mój młodszy kolega, serdeczny i wierny przyjaciel tułaczki w ZSRR.

Dowództwo szwadronu po Kuczuku obejmuje porucznik Cybuch. W nocy z 23 na 24 maja odparto silny kontrwypad niemiecki, który wykorzystując rumowiska, podsunął się bardzo blisko, usiłując zniszczyć unieruchomione czołgi. Wywiązała się ostra walka, w wyniku której Niemcy zostali zmuszeni do odwrotu. 24 maja rano skutkiem dezaprobaty jedno-głośnej oficerów i szeregowych pułku (choroba nerwowa majora Zasadniego) zostaje wy-muszone jego ustąpienie i dowództwo pułku obejmuje dotychczasowy dowódca szwadronu dowodzenia major Feliks Motyka.

O godzinie 11:00 zostało zmontowane natarcie kombinowanego szwadronu porucznika Jadwisiaka, z zadaniem odcięcia Piedimonte od północy. Przy doskonałej współpracy pie-choty na Carrierach⁶¹ i mocnym wsparciu artyleryjskim, szwadron niszczy spotkane sta-nowiska nieprzyjaciela, zadając mu ciężkie straty. Zostają zniszczone działka ppanc., jednak bardzo trudny teren nie pozwolił na obejście miasta od północy. O godzinie 19:00 szwadron wraca na podstawę wyjściową, przywoząc jeńców. Grupa czołgów w mieście burzy jeszcze to, czego nie zburzono w poprzednim dniu.

W nocy z 24 na 25 maja podciągają na skraj miasta 13 i 15 bataliony polskiej piechoty i o świcie 25 maja wchodzi do miasta nasze patrole. Niedobitki załogi miasta wycofały się nocą, pozostawiając pod gruzami wielu zabitych i rannych. Wysłany o godz. 9:00 rano na ubezpieczenie od północy 2 szwadron po dotarciu do wysokości lotniska w Aquino i na-wiązaniu styczności z uciekającym nieprzyjacielem, wrócił koło południa bez strat.

Tym samym po zdobyciu „Linii „Gustawa” z Monte Cassino, zdobyta została „Linia Hitlera”, nad którymi dominował szczyt Monte Cairo („Oko cyklopa”)⁶²; droga na Rzym została otwarta.

Przez wszystkie dni akcji byłem w dyspozycji dowódcy kompanii dowodzenia z za-daniami rozpoznania, ochrony dowództwa, dowożenia amunicji, zaopatrzenia i innych zle-canych akcji. Za udział i działalność bojową zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia kaprała.

Dnia 26 maja pułk przeszedł do odwodu, przemieszczając się w rejon San Vittore, skąd 30 maja wrócił na dawne miejsce pobytu Ciorlano. Ogólne straty pułku: zabitych 3 oficerów i 17 szeregowych, rannych 11 oficerów i 45 szeregowych. Straty w sprzęcie: 10 czołgów „Sherman”, 1 czołg „Stuart”, 2 Scout Cary⁶³, 2 samochody ciężarowe. Uszkodzonych zostało 17 czołgów „Sherman”.

Po zakończeniu bitwy o Monte Cassino brygada pancerna przeszła do odwodu. Miał to być dłuższy wypoczynek w miejscowości San Vittore. Niedługo jednak trwał nasz wypo-czynek, jako że w czerwcu, brygada została przerzucona nad Adriatyk, a od miejscowości Montefano weszła ponownie do akcji, a z nią nasz 6 Pułk Pancerny. Nad rzeką Chienti Niemcy stawiali silniejszy niż dotąd opór. Zresztą czynili to z reguły na każdej rzece lub kanale. Byli zawsze w lepszej sytuacji obronnej, aniżeli my, atakujący. Na wspomnianej rzece Niemcy dali się mocno we znaki oddziałom 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Stąd poderwani alarmem wczesnym rankiem 23.06.1944 r. forsowaliśmy, na odcinku zdobytego przez 3 Dywizję Strzelców Karpackich, przyczółka, rzekę Chienti w bród.

⁶¹ Lekkie gąsienicowe transportery opancerzone Universal Carrier produkowane w wielu wersjach.

⁶² Tak był nazywany przez polskich żołnierzy (również „Cyklopem” lub „Polifemem”) z uwagi na dominującą pozycję zapewniającą Niemcom bardzo dobry wgląd w teren. Monte Cairo wznosi się na 1669 m n.p.m., podczas gdy Monte Cassino zaledwie na 519 m n.p.m.

⁶³ Nazwa ta dosłownie oznacza „samochód zwiadowczy” i dotyczyła opancerzonych kołowych wozów rozpoznawczych. Trudno stwierdzić, jaki konkretnie typ wozu jest tu wymieniony. Na wyposażeniu 6 Pułku Pancernego znajdowały się pojazdy Daimler Scout Car „Dingo”, Humber Scout Car oraz M3 Scout Car.

Nocą 22/23 czerwca 1944 r. saperzy rozminowali przejście przez pole minowe, wyznaczając jak zawsze białymi taśmami szerokość rozminowanego przejścia. Każdy zjeżdżający z dość wysokiego brzegu (wału przeciwpowodziowego) czołg, na łeb zsuwał się w koryto rzeki. Musiał przejechać w bród, podjechać pod przeciwny wał na gazie, ile tylko mogły wycisnąć silniki, a już na wale skręt o 90 stopni wzdłuż nasypu na biegnącą polną drożkę.

Rzekę forsowałem jako któryś tam z kolei czołg, wjeżdżając na wał, skręciłem w lewo na pełnym gazie. Ziemia przy skręcie każdego czołgu o centymetry odsuwała taśmę oznaczającą rozminowane pole. W czasie mego forsowania taśma była ledwie widoczna. Dokonałem skrętu i poczułem potężny wybuch, jak się później okazało, tyłem gąsienicy zaczępiłem o minę przeciwczołgową i cały tył wyleciał w powietrze, zaś przód zarył nosem w ziemię. Było to szczęście w nieszczęściu. Co by było, gdybym zahaczył ową minę przodem gąsienicy? Po oszacowaniu strat i zgłoszeniu o zaistniałym wypadku, otrzymaliśmy rozkaz udania się do kompanii dostawy czołgów zapasowych po nowy czołg. Tym razem mieliśmy szczęście, trochę najedliśmy się strachu, wychodząc całkowicie bez szwanku, niemniej głupio było stracić czołg nie będąc bezpośrednio w akcji bojowej.

Nowo odebrany czołg, zgodnie z przyjętym zwyczajem, nazwaliśmy „Lucyfer II”⁶⁴. W parę dni później zdobyliśmy miasteczko Macerata, z którą odtąd łączyć mnie będzie dużo dobrego i złego. Niemcy stawiali coraz większy opór, stąd bardzo ciężkie walki toczyliśmy o Porto Recanati i Loreto.

Zmora dla nas czołgistów, były plantacje winogron, które wręcz uniemożliwiały obserwację, a na domiar złego druty tych plantacji wpłątane w koła zębate napędu uniemożliwiały dokonanie skrętu pojazdem, nie mówiąc już o napłątanych drutach, które ciągnęły się za nami kilometrami. Na nic się nie zdawały, przydzielone nam odpowiednie nożyce, którymi to odtąd posługiwała się załoga. W większości prace te wykonywał zapasowy kierowca (przedni strzelec) kosztem ostrzału przedpola.

Drugą zmorą były obwałowania przeciwpowodziowe. Koryta rzek, na których to obwałowaniach były ustawiane z reguły niemieckie działa ppanc. oraz kanały nawadniające o niezbyt szerokich, ale stromych brzegach praktycznie nie do sforsowania dla czołgów. Przeszkody takie forsowaliśmy przy pomocy mostów nożycowych zamontowanych na czołgach angielskich „Valentine” (praktycznie czołg z takim mostem przyjeżdżał na skraj przeszkody, mechanicznie przerzucał przez siebie most, odłączał go, a po przejeździe czołgów w odwrotnej kolejności składał go i jechał do następnej przeszkody. W tym czasie saperzy montowali już mosty stałe, przeważnie Bailey’a.

W taki to sposób forsowaliśmy kanały przed rzeką Mussone. Tej nocy Niemcy bombardowali przedpole Castelfidardo, trafiając w nasz skład paliw. Z perspektywy doliny rzeki Mussone oglądaliśmy z przodu palący się skład paliw. Widok był jak na pokazie sztucznych ogni, najpierw rzucone z samolotów rakiety oświetlały cały teren bombardowania, a później wylatujące na dużą wysokość dziewięciogalonowe⁶⁵ pojemniki z benzyną pękające w górze. Rozlewały one wokół płonącą lawę, zaś z tyłu oglądaliśmy płonące Loreto i palącą się bazylikę, która nie spłonęła dzięki nadludzkim wysiłkom polskich żołnierzy.

Za ratowanie płonącej bazyliki medalem papieskim został odznaczony między innymi sierżant Tomasz Żygała z Bolestraszyce k. Przemyśla. Całe to widowisko upiększały świetlne pociski działek plot. i karabinów maszynowych.

⁶⁴ Czołgi 2 Brygady Pancernej nosiły nazwy własne nadawane przez załogi. Znajdowały się one na burtach wozów pisane wielkimi drukowanymi literami w kolorach białym, niebieskim, żółtym lub czerwonym. W wypadku szwadronu dowodzenia 6 Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich”, w którym służył Autor, nazwy były niebieskie i zaczynały się od litery L. Dodać tu należy, iż wspomniany „Lucyfer II” był rozpoznawczą odmianą czołgu M3A3 „Stuart” (w brytyjskiej nomenklaturze „Stuart V”) pozbawioną wieży (a co za tym idzie również armaty), zamiast której zamontowano karabin maszynowy. Pojazdy takie nazywano „Stuart Recce”.

⁶⁵ Galon brytyjski to 4,546 l, amerykański to 3,785 l. Autor zapewne ma na myśli galony brytyjskie, jako że Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie były organizowane na wzór brytyjskich.

Przed atakiem na Castelfidardo byliśmy w odwodzie. Przygotowywaliśmy się do natarcia. Dziś walczy 4 Pułk Pancerny „Skorpion” i 1 Pułk Ułanów Krechowieckich⁶⁶. Z biegiem czasu wchodzimy w rutynowy sposób życia i odpoczynku. Po wejściu do danej miejscowości sposobem „desanciarza” nawiązujemy kontakty z Włochami. U nich kupujemy (bądź wymieniamy) kury, kaczki, gęsi, które gospodynie nam odpowiednio przygotowują, my zaś raczymy się winem lub czymś mocniejszym. Przygotowane mięso zużywamy na przekąski, zaś rosół wlewamy do odpowiednich termosów i zabieramy. Z wojskowego żywienia korzystaliśmy niewiele, szły tylko kompoty, piwa piliśmy bardzo dużo. Było lato, dużo jeść się nie dawało, a temperatura w czołgu, mimo wentylacji, była wysoka, wentylatory nie nadążały wyciągnąć gazów po odpaleniu działka. Po kilkugodzinnym natarciu z większą strzelaniną czołgową, w ustach było słodko tak, jak po przedwojennej sacharynie.

Właśnie od rana przygotowywaliśmy sprzęt do akcji. Po południu jesteśmy wolni, kąpiemy się, gramy w karty. Właśnie w czasie takiej gry, wynikła jak zwykle niewinna sprzeczka, do której włączył się obserwujący grę dowódca plutonu, sierżant podchorąży Zdzisław Zaremba, świeżo upieczony i przydzielony do naszego pułku, nieznający jeszcze życia frontowego.

Będąc podenerwowanym jego uwagami pod moim adresem, wymierzyłem mu potężny sierpowy na oczach załóg, odebrałem pistolet, którym zaczął mi grozić, no i granda na cały pułk. Za niecałą godzinę była już żandarmeria, lecz wcześniej koledzy ostrzegli go, że jutro idziemy do akcji i gdyby mi się coś stało, to dla niego może być gorzej. Do pewnego stopnia pogróżkowy szantaż. Po przybyciu oficera żandarmerii, zostałem wezwany do czołgu dowódcy pułku, do łazika wsiadł dowódca pułku, żandarm i ja. Podjechaliśmy do kompanii, gdzie zabrano jeszcze podchorążego Zarembę, po czym samochód udał się w kierunku głębokiego jaru.

W myślach widziałem się już jako winny wyroku śmierci, bądź co bądź, było to rozbicie i czynne znieważenie starszego stopniem. W jarze samochód się zatrzymał. Na jednym brzegu usiadł dowódca pułku. Mnie polecono usiąść na drugim wraz z oficerem żandarmerii i podchorążym Zarembą. Pierwsze pytanie dowódcy: „Czy ty wiesz, co ty zrobił i co cię za to czeka?”. Odpowiedziałem, że wiem. Pytanie do podchorążego: „Proszę opowiedzieć dokładnie jak to było?”, co z dokładnością wojskową podchorąży opowiedział. Mając w pamięci chyba przestrożę kolegów, dodał jeszcze, że winą jego bezsporną było to, że jako starszy stopniem nie powinien był wtrącać się do karcianej scysji i że za incydent ten nie ma do mnie jako do wzorowego żołnierza żadnej urazy. Na to jakby czekał dowódca pułku, major Motyka: „Więc podchorąży nie ma do kaprała Stefanika żadnych pretensji, mimo czynnego znieważenia? – Nie!”. „I podchorąży zgadza się, ażeby kapral Stefanik podchorążego przeprosił? – Tak!” Nie czekając na dokończenie zdania, wstałem i przeprosiłem podchorążego Zarembę. Incydent został zażegnany pomyślnie dla mnie, pistolet zwróciłem poszkodowanemu.

Od tej chwili czołg mój został przydzielony do ochrony dowódcy pułku. Operatorem radiowym dowódcy pułku był mój serdeczny kolega Józio Binicki z Przemyśla. Przed wojną był cielewem orkiestry 4 Batalionu Saperów, obecnie będąc członkiem orkiestry pułkowej, wiecznie mnie molestował: „Władziu, jak byś mógł mi zdobyć trąbkę Es”, więc mu to w końcu przyrzekłem. Po ataku na Castelfidardo do miasta weszły czołgi, między innymi i ja tam wjechałem. Miasteczko o bardzo wąskich uliczkach i małym ryneczku. Czołgi ledwie się mieściły, ulice były zatarasowane; niemożliwością było wyjechać. Mając trochę czasu, zaglądałem do sklepów. W miasteczku tym mieściła się słynna na cały świat wytwórnia akordeonów Soprani.

W jednym z magazynów zobaczyłem wiele skrzyń, a w nich opakowanych akordeonów przygotowanych najprawdopodobniej na eksport. Ponieważ grać nie umiałem, nie interesowały mnie zbytnio, tym bardziej, że sprzedającym zdobyczne przedmioty Polakom Włosi wytykali, iż Polacy najpierw kradną, a później im sprzedają; były i takie wypadki.

Przechadzając się, nadal szukałem jakiegoś sklepu z instrumentami i natrafiłem. Nie wierząc własnym oczom, ujrzałem dużą ilość instrumentów dętych, oczywiście były i trąbki, ale która była Es, nie miałem pojęcia. Zabrałem więc kilka sobie podobnych, załadowałem do czołgu z zamiarem dostarczenia ich Józkowi B. Ponieważ z miasta nie mogłem wyjechać ze względu na

⁶⁶ Był to pułk wyposażony w czołgi, zachowujący tylko tradycyjną nazwę.

zablokowane ulice, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Z rynku było zejście schodami betonowymi, u szczytu których była arkada (brama tryumfalna) z cegieł. Ocenilem, że da się tymi schodami zjechać, lecz czołg jest nieco szerszy od bramy. Na małym biegu lekko stuknąłem bramę rozleciała się ona na schody, które były nieco więcej jak pod kątem 45 stopni. Tak więc na lewarkach jechałem do momentu przechylania się czołgu, kiedy czołg zaczął się przechylać, puściłem go z lewarków i siłą bezwładności zleciałem w dół, może 40 może 50 metrów, po czym po zetknięciu się z szosą asfaltową obiegającą miasto, lekko przyhamowałem lewą gąsienicę, uderzając przodem czołgu w brzeg. Gdyby nie to wyczucie, poleciałbym w przepaść około 200 m. Szatański pomysł, na szatańskim czołgu „Lucyfer II”.

Instrumenty doręczyłem Józiovi, była tam jego wymarzona trąbka Es, zaś pozostale rozdrapali muzykanci orkiestry pułkowej. Ja zaś z przymrużeniem oka otrzymałem burę od dowódcy pułku, bo się to do niego doniosło. Oczywiście na tej walce byliśmy znów w odwodzie razem z 7 Pułkiem Huzarów Jej Królewskiej Mości⁶⁷.

Następna akcja to walki o miasteczko Osimo. Na okres natarcia na to miasteczko zostałem przydzielony z czołgiem „Stuart” wraz z kierowcą do dyspozycji dowódcy batalionu 5 Kresowej Dywizji Piechoty. W czołgu rozlokował się operator z radiostacją i dowódca batalionu tejże jednostki, major, nazwiska nie znałem.

Rzeczą regulaminową było wykorzystywanie terenu, tak by jak najmniej stwarzać możliwości celu dla nieprzyjaciela, a szczególnie dla jego działek ppanc. Aż tu nagle major daje mi rozkaz jechać drogą na nasypie, biegnącą do miasteczka, mówiąc, że stąd będzie mu dobrze obserwować nacierający batalion.

Rozkazowi temu się stanowczo sprzeciwiłem, lecz wykonać musiałem. Jadąc nasypem, byłem lepszym celem od przysłowiowej kaczki. Nie ujechałem nawet paru metrów, kiedy Niemcy położyli ogień zaporowy na oś drogi. W czasie kanonady usłyszałem coś, co zna każdy szczęśliwy czołgista, a czego nie da się opisać. To jest lot pocisku ppanc., który przeleci obok, nie trafiając celu. To też instynktownie, nie czekając, aż następny mnie trafi, nacisnąłem lewarek, skrzyłem z nasypu w dół. W tym momencie przed nosem czołgu rozerwał się pocisk dużego kalibru, raniąc ciężko majora w twarz, który z czołgu wychylony obserwował natarcie. Po wyładowaniu w rowie, operator wezwał przez radio sanitarkę, gdyż moje radio nie działało.

Major wyglądał strasznie. Ust biedak nie miał, wszystko mu wyrwało. Po chwili zabrała go karetka. Operator był tylko nieco poturbowany przez spadającą skrzynkę z amunicją. Ta sama skrzynka utraciła mi kurek probierczy obiegu oleju w skrzyni biegów. Milczenie radiostacji też się wyjaśniło. Po oględzinach stwierdziłem, że ucięta jest podstawa anteny. W tej sytuacji poprosiłem piechociarza, by połączył się swoją radiostacją z moim dowódcą. Powiedziałem mu, że jestem „żaba” (wg kodu uszkodzony czołg). Piechociarzowi poleciłem zgłosić się do swojej jednostki. Po dokonaniu oględzin czołgu i oszacowaniu szkód, urwany kurek zabezpieczyłem kołkiem. Stwierdziłem, że o własnych siłach mogę dojechać do pułkowego REP-u (warsztat naprawy czołgów).

W międzyczasie napatoczył się wystraszony Włoch mówiąc, że „Tedeschi via” („Niemcy uciekli”), że „Polacchi buono” („Polacy dobrzy”). Bez trudności dogadałem się z nim o świeże jajka, więc zabraliśmy się z kierowcą do śniadania. Biorąc puszkę boczku, herbatę i primus udaliśmy się do domu Włocha, sporządziliśmy ludzką jajecznicę na boczku i porządną herbatę. W międzyczasie przyszła wystraszona żona Włocha i dzieci. Znalazło się też dobre wino, my zaś częstowaliśmy dzieci czekoladą i ciastkami z „porcji R” (porcję tę można było użyć w razie niedostarczenia posiłku po ośmiu godzinach), ale oprócz Polaków nikt nie robił żadnej tragedii, jeśli porcja taka gdzieś zaginęła. Po spożyciu posiłku udaliśmy się czołgiem do czołówki naprawczej, gdzie czołg pozostał do naprawy.

Razem z kierowcą udaliśmy się do dowódcy pułku. Zdałem sprawozdanie z całej tej akcji i zapytałem, co mam dalej robić. Otrzymałem odpowiedź: „Władziu, masz jeszcze mało na dziś? Czekać na rozkaz, na razie idźcie się wykapać, wypocząć, aż wam czołg naprawią”. W tej akcji

⁶⁷ 7th Queen's Own Hussars. Pomimo swej nazwy sugerującej jednostkę kawalerii, był to pułk walczący na czołgach.

zginął kapral St. Wolny, któremu w czasie postoju do otwartej wieżyczki wleciał pocisk z moździerza i eksplodował. Szczęściem reszta załogi była poza czołgiem.

Po otrzymaniu czołgu z naprawy włączyłem się do dalszych działań pułku. W czasie następnego natarcia, wjeżdżając czołgiem do ogrodu jakiegoś „contadina” (wieśniaka), z kukurydzy wyskoczyli mi przed czołg z białą szmatą na karabinie Niemcy. O ile mogłem dosłyszeć, jeden z nich wrzeszczał na cały głos: „Nie strzyloj, ja Polok!”, z tym można się było jeszcze dogadać, ale z następnymi gorzej. Drżeli ze strachu, zniknęła z ich twarzy niemiecka buta. Drząc błagali: „No schiessen, drei Kinder” powtarzane kilkakrotnie mówiły wszystko, a brakowało tak niewiele pociągnąć za język spustowy karabinu maszynowego. Nie znając języka niemieckiego, tych kilka słów mówiło wszystko: „Nie strzelaj, troje dzieci”, po prostu nie miałem sumienia ich zabić, byli już bezbronni.

Niemców oddałem piechocie, a Ślązaka zatrzymałem na swoim czołgu i dopiero później przekazałem, jak grupa jeńców była duża, bo zdarzało się, że po przekazaniu jeńców nasi w odwecie rozstrzeliwali konwojowanych Niemców pod pozorem ich chęci ucieczki. Dojeżdżając do wioski, natknąłem się na to, jak oficer angielski „fair play” okładał pięściami i rękojęścią rewolweru Niemca, którego „Ofenrohr”⁶⁸ zniszczył jego czołg i poparzył Anglika w straszny sposób. Mimo, że był ciężko poparzony, nie zastrzelił Niemca, mając niezbitą dowód jego winy – Niemiec był już bezbronny. Był to oficer 7 Pułku Huzarów Jej Królewskiej Mości.

W ciągłym styku z nieprzyjacielem ścigaliśmy go. Przewaga w sprzeczce była przyniatająca na naszą korzyść, a mimo to Niemcy bronili się zaciekłe. Zbliżaliśmy się w rejon Ankony, spodziewano się silnej obrony tego miasta i ważnego portu. Opracowany plan szefa operacyjnego 2 Brygady Pancerniej był genialny. Wcześniej przydzielony do ochrony sztabu brygady, zajmąłem stanowisko, skąd przez lornetkę mogłem obserwować przedpole przyszłego natarcia. Z tego też wzgórza w tym dniu obserwował teren Naczelny Wódz, generał Kazimierz Sosnkowski.

Nie wiedząc o niczym, otrzymałem rozkaz zameldowania się czołgiem w dowództwie brygady, toteż z fasonem, niczego nie przeczuwając, zajechałem przed namiot dowództwa. Przy skręcie chmura prochu przysłoniła mi na moment pole widzenia. Po opadnięciu kurzu, przed namiotem ujrzałem gen. Sosnkowskiego w towarzystwie gen. Andersa i Rakowskiego oraz dowódcę pułku i świtę jego ochrony.

Na ustach gen. Sosnkowskiego pojawił się uśmiech i słowa: „Prawdziwy Lucyper”. Do czołgu wsiadł gen. Sosnkowski i gen. Anders, pozostali jechali łażnikami. Generał Sosnkowski zapoznał się w czołgu operacyjnym z planem przewidywanego natarcia, zlustrował przedpole i po chwili powiedział: „Kapralu, czołg nie będzie mi już potrzebny”. Wrócił Scout Carem z całą świtą.

Mniej więcej po godzinie Niemcy zaczęli wstrzeliwać się w nasze wzgórze z ciężkiej artylerii. Raz seria za długa, drugi raz za krótka, by trzecia seria ułożyła się w samym środku naszego wzgórza. W tym czasie angielski oficer łącznikowy przechodził do czołgu operacyjnego. Pocisk spadł mu prosto pod nogi na moich oczach. Wybuch, podrzucił go do góry, gdy dobiegłem do niego jeszcze żył, ale całe podbrzusze miał otwarte. Ratowaliśmy go natychmiast, podchorąży Wojtczak wstrzyknął mu morfinę, ucisnęliśmy wychodzące na zewnątrz wnętrzności, położyliśmy go na łożu, lecz po przejechaniu paru metrów skonał na naszych rękach.

Dopiero później dowiedziałem się, że sam jestem ranny, od tego samego pocisku odłamek wbił mi się w kość policzkową pod samym okiem. Po uśmierzeniu bólu „kielichem” podchorąży Wojtczak wyciągnął mi ten odłamek pęsetką, ale zakleił mi oko plasterem i o mały figiel byłbym odesłany do szpitala. Dowódca czołgu nie mógł być o jednym oku. Po upływie dość długiego czasu, ktoś z oficerów udał się do czołgu operacyjnego i stwierdził, że major Drzewiecki nie żyje. Jakże istotne znaczenie w tym momencie miało przysłowie, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Śmierć majora nastąpiła w niewiarygodnym wprost przypadku. Czołg operacyjny stał przy samym murze budynku, zakryty od strony nieprzyjaciela. Kłapy górne były zamknięte, otwarte było tylko okienko wyrzutnika granatów o wymiarach 30x30 cm⁶⁹. Jakim sposobem odłamek ugodził majora w sam puls, trudno sobie było nam wszystkim wyobrazić.

⁶⁸ „Ofenrohr” („rura od pieca”) to popularna niemiecka nazwa raketowego granatnika przeciwpancernego „Panzerschreck”, który przypominał właśnie taką rurę.

⁶⁹ Umieszczone było ono na lewym boku wieży, nieco przesunięte do tyłu.

Jak z tego wynika, całe nasze zgrupowanie było pod ciągłą obserwacją nieprzyjaciela, prawdopodobnie ze szczytu dominującej nad Ankoną góry Camerano. Celem wprowadzenia Niemców w błąd, polecono wszystkim czołgom jeździć między mandelami po rżysku (pod ciągłym ogniem artylerii). Spod gąsienic wydobywały się olbrzymie chmury pyłu, uniemożliwiając Niemcom obserwację. Późnym zmrokiem polecono nam zmienić hełmy czołgowe na furazerki i przez całą noc jechaliśmy drogami okrężnymi, przecinając drogę nr 16 poza Ankoną aż do morza.

W nocy komandosi zlikwidowali punkt obserwacyjny w Camerano. Jednym z głównych przewodników w tej wyprawie była Włoszka, która w czasie akcji odpadła na żłebie i spadła łamiąc sobie szczęśliwie tylko obie nogi, lecz nie doznając poważnych obrażeń.

Później za tę akcję uhonorowana została Krzyżem Virtuti Militari. O świcie zaś ruszyli natarcie. W czasie, kiedy Niemcy byli już odcięci, zorientowawszy się w sytuacji, nie zdążyli już zorganizować silnego oporu. Zdarzyło się tak, że gońcy niemieccy, wiozący pocztę, dostali się do niewoli, a oddziały niemieckie w popłochu, niekiedy boso i w kalesonach, wpadały do zastawionego worka. Wszystko to było zasługą dobrze dopracowanego planu przez majora Drzewieckiego, który nie doczekał już jego realizacji.

Po zdobyciu Ankony nieco odpoczywaliśmy, więc autostopem często dojeżdżałem do Porto Recanati do wcześniej poznanych Włochów Marka i Luigi Feliciotti. Oni też zaprosili mnie na stadion na piłkarski trening. Gra moja na treningu podobała się im, zaproponowali mi, bym zagrał w ich drużynie przeciwko Loreto. Ponieważ nie umiałem jeszcze mówić po włosku, ustaliliśmy, że w wypadku, gdyby sędzia coś mnie zapytał, oni mu wytłumaczają, że ja jestem niemowa.

Na ładnym boisku w Loreto, wygraliśmy mecz, a ja strzeliłem zwycięską bramkę i tak się zaczęło. Fama o mojej grze rozeszła się po całym miasteczku, a najgłośniej było w domu Feliciottich. Tam poznałem ich rodziców i dalsze rodzeństwo – Caroline, Pepinę i Mirellę. Szczególnie przypadła mi do gustu, ja jej chyba też, rówieśniczka Carolina i chociaż oficjalnie przychodziłem do jej braci, to w rodzinie tej bardzo dużo skorzystałem z nauki języka włoskiego, „professoresą” była oczywiście Carolina. Zawarliśmy przyjaźń i uzgodniliśmy, że ja będę mówił, a ona będzie mnie poprawiać i zwracać uwagę, co będzie złe. Odwiedzałem ich dom w miarę, jak mi na to pozwalały warunki wojenne.

W czasie posuwania się w głąb Włoch, w okresie przerw w działaniach wojennych organizowano w naszych oddziałach rozgrywki piłkarskie, między jednostkami różnych rodzajów i broni. W Maceracie zorganizowano nawet krótki obóz przygotowawczy reprezentacji broni pancernej na mecz z 5 Kresową Dywizją Piechoty. W wolnym czasie wałęsaliśmy się po mieście, a wieczorem urywałem się do Porto Recanati.

Mając wolny czas, zwiedzaliśmy miasteczko, mniej więcej odpowiednik naszego Przemyśla, bogatszego jednak o piękny teatr na wolnym powietrzu, gdzie wieczorami organizowano różne spektakle, rewie i wyświetlanie filmów. Dość często odwiedzaliśmy tutejsze kafejki, chodziliśmy na wino z wodą sodową i pieczone kasztany.

Zmora dla nas, frontowców, było przestrzeganie przepisów mundurowych, szczególnie w miasteczkach daleko od frontu, albowiem do 1 maja obowiązywało noszenie „Battle Dressu”, ubrania sukienne, co w tutejszym klimacie było bardzo uciążliwe. Od maja do września obowiązywał strój letni. Im dalej od strefy frontowej, tym więcej żandarmerii kręciło się po miasteczkach. Ktoś dowcipnie, ale bardzo trafnie powiedział, że Anglicy mają NAAFI, Francuzi burdel, a Polacy żandarmerię.

Będąc raz nieco pod muchą, natknęliśmy się na taki właśnie patrol. Ponieważ berety mieliśmy przetknięte przez naramienniki, więc byliśmy nieprzepisowo ubrani. Nie uszło to uwagi patrolu. Kolegom powiedziałem: „Idźcie powoli, a ja ich kiwnę”. Przyspieszyłem kroku, a oni za mną. Ja szybciej, oni za mną. Kwatera nasza mieściła się na rogu Corso Cavour 67, budynek narożny, skręcając w bramę czekałem, kiedy wszedł do bramy pierwszy „gorliwy” żandarm. Nadział się na potężny sierpowy cios, aż przysiadł. Błyskawicznie zabrałem mu „Thompsona” i czekałem. Kiedy weszli następni, poleciłem im grzecznie podnieść rączki do góry i oddać pistolety. Wziąłem to towarzystwo przed siebie i zaprowadziłem na znajdujący się w pobliżu posterunek żandarmerii.

Na posterunku zameldowałem kapitanowi (grał razem ze mną w jednej drużynie), że przyprowadziłem mu jego wojsko, które przeszkadza porządnym żołnierzom chodzić po mieście.

Sparaliżowany zajęciem kapitan wybełkotał: „Coś ty dobrego zrobił?”, po czym polecił tamtych zamknąć, a mnie rozbroił i polecił zamknąć w innym pomieszczeniu. Dalej już sprawy potoczyły się błyskawicznie. Sąd polowy, 6 miesięcy twierdzy i degradacja do stopnia szeregowca.

Oczywiście z obozu piłkarskiego zostałem skreślony, a wyroku degradacji dokonał major Motyka, dowódca batalionu przed frontem kompanii dowodzenia, w miejscowości Recanati. Oczywiście kara twierdzy została mi zawieszona na okres działań wojennych, później дарowana za dobre sprawowanie się w akcjach bojowych. Był to już drugi poważny wybryk w okresie działań wojennych.

Ponieważ na owe czasy byłem dobrym piłkarzem, powołano mnie ponownie, na zgrupowanie. Wiedział też major Motyka, czego mógł spodziewać się po mnie jako żołnierzowi na froncie, gdyż znał mnie od ZSRR prawie od „dziecka”. Przebywając na zgrupowaniu w Maccare, poznałem Włocha, prawie rówieśnika. Mieszkał pod numerem 69. Zaprzyjaźniliśmy się, nazywał się Mario Menichelli. W miarę upływu czasu, przyjaźń się zacieśniała, często przebywałem w jego domu. Ażeby wreszcie mieć spokój z przepisami mundurowymi i żandarmerią, kupiłem sobie ubranie cywilne, które przechowywałem u tegoż kolegi Włocha. Odtąd nie miałem już żadnej kolizji z organami WP.

Przeciwnie, całkiem swobodnie chodziliśmy sobie na takie czy inne potańcówki, czy inne imprezy, bez żadnych przeszkód. Początek sierpnia, to akcja nad rzeką Metauro, gdzie bardzo silny opór Niemców spowodował bardzo duże straty 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Otrzymałem zadanie rozpoznania nieprzyjaciela i meldunku o wyniku rozpoznania, gdzie i jaki ogień otrzymałem.

Wróciłem dość późno, odstawiłem czołg pod stogiem świeżo złożonej słomy, zasłaniając się od strony nieprzyjaciela, zgasilem silnik i poszedłem zameldować o wyniku rozpoznania. Kiedy wróciłem, obok czołgu zastałem kilku żołnierzy. Okazało się, że jeden z piechurów Karpackiej, obawiał się spać w budynku ze względu na możliwość ostrzału artyleryjskiego, bądź lotniczego i poszedł spać pod ten właśnie stożek słomy, a ja niczego nie podejrzewając, zgniotłem go czołgiem na śmierć. Wydarzenia tego nie mogłem sobie darować długi czas i prześladowała mnie ta myśl przez cały okres działań wojennych, mimo iż byłem zupełnie bez winy.

Zaraz po wypadku czułem się załamany, nie znałem go, ale mógł to być żołnierz, który przeszedł Tobruk, Afrykę, a nawet Monte Cassino. Tym bardziej było mi przykro. Widział to i dowódca pułku, nie dając mi jak dotąd poważniejszych zadań, mimo iż rwałem się do nich.

Od 14.07 do 21.08.1944 r. rozpoczęły się walki na przedpolu „Linii Gotów”, a od 22.08.1944 r. bezpośrednie walki. W czasie rozpoznania, jadąc lewym skrzydłem osi natarcia, miałem rozpoznać teren. Wchodząc na polanę około 200 m, poczułem silne targnięcie czołgu i wybuch. Odruchowo zerknąłem na tablicę rozdzielczą i ze zgrozą stwierdziłem, że pali się czerwona lampka sygnalizująca pożar czołgu. Automatycznie włączyłem gaśnice centralne i równocześnie wydałem komendę do opuszczenia czołgu. W międzyczasie operator poprosił o ogień na nas od ubezpieczających nas czołgów.

Polana była grząska, więc nie można było skorzystać z wyjścia awaryjnego (klapa bezpieczeństwa w dnie czołgu). Zaszła konieczność opuszczenia czołgu przez wieżę⁷⁰. Strach o marne życie jednak robi swoje, powyskakiwaliśmy szczęśliwie. Odczołgaliśmy się na dość bezpieczną odległość i czekaliśmy, kiedy czołg wyleci w powietrze. Czekamy minutę, dwie i nic. Widocznie gaśnice zadziałały w odpowiednim momencie. W międzyczasie ubezpieczający nas czołg podjechał w pobliże nas, zataczając kółko prawie w miejscu. My jednak leżeliśmy, wciskając głowy do matki ziemi, jak się tylko głęboko da.

Po odprężeniu nerwowym stwierdziliśmy, że przyczyną naszego nieszczęścia i strachu był „łowca czołgu”, na którego najechaliśmy, a który nie wytrzymał nerwowo i za wcześnie odpalił ze swego „Ofenrohra”.

⁷⁰ Dokładniej przez przedział, nad którym w zwykłym czołgu „Stuart” znajdowała się wieża. Wóz Autora, będąc rozpoznawczą odmianą „Stuarta”, wieży nie posiadał.

Wygląd naszego „Lucypera” był tragiczny, ale ważne było to, że my wyszliśmy z opresji bez szwanku. Natarcie oczywiście poszło dalej. Penetrując teren, weszliśmy do pobliskiego domu z zamiarem rozbioszenia się, to jest sporządzenia sobie jakiegoś posiłku i oczekiwaniu na dostawę nowego czołgu. Wchodząc do jednego z pomieszczeń, zobaczyłem przyrządy toaletowe rozłożone na stole. Portfel i jeden but oficerski, świadczyły o tym jak zaskoczeni byli Niemcy naszym atakiem. W portfelu znalazłem piękną złotą bransoletę damską, parę setek lirów i marek, legitymację i zdjęcie kobiety, chyba żony. Dokumenty te zatrzymałem na pamiątkę.

Po otrzymaniu nowego czołgu, oprócz obowiązujących znaków, domalowaliśmy „Lucy-per III”. Dokonując przeprowadzki po raz drugi dołączyliśmy do pułku. Pułk zaś zdawał sobie sprawę, że czeka go ciężka walka na „Linii Gotów” i że są to umocnienia jak zwykle „nie do zdobycia”. Mimo poniesionych dotkliwych strat, osławiona „Linia Gotów” została zdobyta. Po osiągnięciu miasta Senigalia, jeden pluton czołgów naszego pułku został oddelegowany pod rozkazy dowódcy jednostki włoskiej działającej w Apeninie Emiliańskim⁷¹.

W chwilach wolnych od działań penetrowaliśmy okolicę. Miałem możliwość zwiedzenia domu, w którym urodził się Benito Mussolini⁷², na ścianie, którego napisaliśmy węglem „Polonia e viva, Polonia vince”⁷³, wbrew temu, co niegdyś powiedział Mussolini, że „Polonia e finita”⁷⁴.

Ponieważ nasza jednostka pancerna miała być przerzucona na dłuższy odpoczynek, do wiosny na miejsce pobytu wyznaczono nam miasteczko Bibbiena. W okresie pobytu naszego plutonu czołgów w jednostce włoskiej za działania w tej strefie zostałem odznaczony przez odwiedzającego ten rejon działającego księcia Umberto⁷⁵, syna króla włoskiego Wiktora Emanuela III, krzyżem włoskim Merito di guerra⁷⁶, odpowiednikiem Krzyża Walecznych. Taki sam krzyż otrzymał podchorąży Józio Natali.

Do miasteczka Arezzo drogę przebyliśmy transporterami⁷⁷, z Arezzo do Bibbieny drogą kołową. Bibbiena, jak każde miasteczko włoskie, położona była na górze, jak gniazdo na gałęzi. Czołgi zaparkowane były w wąskich uliczkach, a kwatery we włoskich mieszkaniach. Kwaterę miałem wspólnie z porucznikiem St. Brodło, u włoskiego lekarza. Oddzielny pokój, w którym było bardzo dużo książek, między innymi „Quo Vadis” H. Sienkiewicza i wiele innych w przekładzie na włoski. Tu doskonaliłem znajomość języka tak teoretycznie jak i praktycznie. Od wielu lat nie spadł tu ani jeden płatek śniegu. Tej zimy zaś spadło go bardzo dużo, toteż korzystaliśmy z nart naszych „padroni”⁷⁸. Wiedliśmy życie bardziej skoszarowane, konserwację sprzętu, kursy różnego rodzaju no i przede wszystkim odpoczynek z dala od wojny. Tu każdy miał swoją sympatię, chodziliśmy do kina i do kościoła. Osobiście dość często przebywałem w sklepie u seniority Valerii Biaggioti.

W tym miasteczku spędziliśmy prawdziwe od lat święta Bożego Narodzenia tyle, że bez swoich rodzin, które z konieczności zastępowały nam rodziny włoskie, do których bądź przez znajomość osób starszych, bądź sympatie, byliśmy przychylnie zapraszani. Opowiadaliśmy o naszych tradycjach świątecznych, a oni nam o swoich. Nie dziwili się Włosi, widząc poranne i wieczorne zbiórki kompanii do modlitwy a także niedzielne zbiórki do kościoła, a później defilady. Wojsko nie ma gdzie, za wyjątkiem kafejek, stracić swego żołdu, stąd też duże datki na tacę. W każdą niedzielę wojsko szło do innego kościoła.

⁷¹ Chodzi tu o siły Włoskiego Korpusu Wyzwoleńczego (Corpo Italiano di Liberazione) złożonego z Włochów, którzy po kapitulacji kraju we wrześniu 1943 roku zdecydowali się walczyć po stronie Aliantów. Jednocześnie w północnej części kraju działała antyfaszystowska partyzantka, zaś Włosi wierni Mussoliniemu walczyli nadal u boku Niemców.

⁷² Mussolini urodził się 29 lipca 1883 roku w Predappio (miasteczko jest nazywane także Dovia di Predappio).

⁷³ Po włosku: „Polska żyje, Polska zwycięża”.

⁷⁴ Po włosku: „Polska jest skończona”.

⁷⁵ W 1946 roku był ostatnim królem Włoch jako Humbert II (panował zaledwie 33 dni).

⁷⁶ Pełna nazwa to Croce al merito di guerra (Krzyż Zasługi Wojennej).

⁷⁷ Chodzi o niskopodwoziowe naczepy-platformy do przewozu czołgów i innych pojazdów pancernych na duże odległości przy braku styczności z nieprzyjacielem. Wykorzystywane są celem ograniczenia zużycia mechanizmów wozów gąsienicowych, zmniejszenia zużycia paliwa oraz przyspieszenia transportu po drogach.

⁷⁸ Po włosku: „gospodarze”.



Św. Mikołaj z 6 Pułku Pancernego na czołgu „Stuart” przyjechał z włoskim aniołkiem do biednych dzieci w Bibbienie w Apeninach – grudzień 1944 r.

Przydział NAAFI wojsko wykupuje w pełnym przydziale, by mieć czym poczęstować znajomych, bądź znajome dziewczynki, a w ich rodzinach dzieci. Przed Mikołajem zorganizowaliśmy ze zbiórek żołądu i przydziału NAAFI dzieciom włoskim Mikołaja. W wyścigach na ten cel nie było granic. 6 grudnia wieczorem Św. Mikołaj jechał na prawdziwym czołgu o nazwie „Lucyfer” z włoskim aniołkiem. Przed Palazzo Comunale⁷⁹ aniołek z czołgu przez megafon oświadczył, że Św. Mikołaj miał jechać do Polski, ale „Tedeschi”⁸⁰ go nie wpuścili, więc przyjechał do nich. Radość nie miała granic.

Sylwestra urządziło miasto w największej sali Urzędu Miasta, mimo dość wysokich cen, sala nie pomieściła chętnych. Kompania naszego 6 Pułku Pancernego nie chciała być gorsza, więc wynajęliśmy sobie, dla naszej tylko kompanii, orkiestrę i dwie okazałe rozmiarów sale w pobliskim hotelu, oczywiście z wcześniej uzgodnionymi daniami i trunkami. O północy powitanie nowego 1945 roku, życzenia z łezką w oku i bez niej, skrzypek od stołu do stołu (oni to umieją), zabawa trwała do rana.

Dramat nastąpił dopiero rano przy zbiórkach kompanii do kościoła, gdzie rzekomo z kompanii najwięcej zebrało się 14 ludzi. Ostra interwencja kapelana Czarnego u dowódcy pułku, a o godzinie 9:00 alarm bojowy i rozkaz wyjazdu z miasta. Wojna to wojna, wszystko wyglądało na serio. To, co działo się na ulicach w noworoczny ranek 1945 roku, nie sposób opisać. Warkot silników czołgowych, lament i płacz mieszkańców miasteczka, coś, czego nie można by zobaczyć nawet na filmie. Miasteczko opuściliśmy w minorowych nastrojach, nawet nie domyślając się, że jest to kara za brak frekwencji w kościołach. Cały dzień zszedł nam na forsowaniu w bród niewielkiej rzeczki. Przeszliśmy wszelkie ćwiczenia regulaminowe dla tej kategorii broni.

⁷⁹ Po włosku: „ratusz”.

⁸⁰ Po włosku: „Niemcy”.

Do Bibbieny wróciliśmy późnym wieczorem, ku naszej i mieszkańców miasteczka uciechy i radości. Niemal całe miasteczko wyszło na powitanie. Radość nasza nie trwała długo, teraz dopiero zaczęło się czyszczenie i konserwacja sprzętu które trwały do godziny 21:00. Wiele spotkań jednak odbyło się w terminie, jako że koledzy zastępowali jeden drugiego i najmańdrzejszego można było wykołować.

Tu w Bibbienie wiedzieliśmy już o postanowieniach Jałty. Kończyły się więc wszelkie waśnie urazy i zadrażnienia. Na to nie było już miejsca, każdy z nas czekał na jakieś wyjaśnienia, sami nie mogliśmy sobie wyobrazić zaistniałej sytuacji. Całe to wojsko w większości przeszło przez Rosję, ten kraj ponurej rzeczywistości, każdy widział na własne oczy, dotykał własnymi rękami, znał Sowietów na wylot. Nie mogła nas przekonać żadna obietnica, żadne zapewnienie z tamtej strony. Do wszystkiego, co czerwone, mieliśmy okropną nienawiść, której zapomnieć się nie da.

W Bibbienie byliśmy w końcowej fazie reorganizacji z 2 Brygady Pancerniej w 2 Dywizję Pancerną⁸¹. Coraz częściej załogi naszych czołgów uzupełniane były Polakami z niemieckiej armii⁸². Okres reorganizacji w chwilach wolnych od zajęć spędzaliśmy przeważnie w kafejkach na winie, ponczu, kasztanach, ale teraz to już nam nie wystarczało. Z kuchni zabieraliśmy smalec i w kafejkach kazaliśmy sobie smażyć placki kartoflane. Piliśmy przeważnie grappę (spirytus z winogron) przegrzany plackami, bądź baraniną z rożna. Jednak, co dobre, szybko się kończy. Opuściliśmy Bibbienę z żalem, podobnie żegnali nas mieszkańcy i mieszkanki tego miasteczka.

Do Arezzo szliśmy na gasienicach. Panował mróz, wiatr, gołoledź i przeraźliwe zimno. Tam miały przybyć po nas transportery. Zaczynała się makabra potwornego przemarszu przez góry.

Droga wąziutka, oblodzona, pełno ostrych serpentyn i pochyłych zakrętów. Cały czas schodziliśmy w dół. Czołgi jechały bezwładnością swych 30 ton. Kierowcy prawie nie panowali nad nimi. Saperzy oraz wszystkie załogi pracowały bez wytchnienia z napiętymi nerwami. Rzucaliśmy pod gasienice, co tylko mogliśmy zdobyć: gałęzie, ziemię, kamienie, drzewa. Twarze mieliśmy spękane od wiatru, policzki paliły jak ogień. Mimo ogromnego wysiłku nas i kierowców, dwa czołgi wpadły w boczny poślizg i stoczyły się w przepaść. W jednym z nich zginął dowódca czołgu przegnieciony wieżą, zaś w kabinie na dnie przepaści odnaleźliśmy kierowcę, który cudem uratował się od śmierci. Był nim Stanisław Czaczka (odwiedzałem go później w szpitalu bardzo połamano). Niemniej życie uratował. W drugim zginął kierowca czołgu. Wieczorem dotarliśmy do Arezzo.

W oczekiwaniu na transporty udaliśmy się do zorganizowanego przez Włochów kina. W czasie wyświetlania kroniki, oglądaliśmy wśród huku dział i warkotu czołgów moment wkraczania Rosjan do Wilna (o ironio losu).

W tym samym momencie usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk i panikę w kinie. Okazało się, że oberwał się jeden z balkonów, zabijając i raniąc kilku żołnierzy angielskich. Całe to zajście oglądałem siedząc na fotelu, pod którym nie było stropu, tylko resztki zbrojenia. Po usunięciu zabitych i rannych, nie bez trudności opuściłem swoje miejsce na balkonie. Tego wieczoru filmu już nie wyświetlano.

Po załadowaniu czołgów na transportery obsługiwane przez Anglików, zostaliśmy prętransportowani na drugą stronę przełęczy Fabiano. Zmieniło się o tyle, że od strony Adriatyku nie było mrozu, ale za to bez przerwy padał deszcz i ciągłe tworzyły się mgły.

Miejscem naszego postoju było Montefano. Tu mieliśmy zostać nawet parę tygodni. Z monotonii miasteczka Montefano przeczuceni zostaliśmy transporterami w rejon działań wojennych nad rzekę Senio.

We wcześniej wspominałem o zmorach rzek i kanałów, była to udręka dla kierowców czołgów, ponieważ każdy most Baileya miał nośności 40 ton, zaś sam czołg 30 ton, a każdy transporter 25 ton, razem 55 ton, dlatego przed każdym mostem kolumna zatrzymywała się i przez most przejeżdżał oddzielnie czołg, a oddzielnie transporter, po czym wjazd na transporter i dalsza jazda przeważnie w nocy, kiedy obowiązywało zaciemnienie pojazdów, zresztą nie tylko pojazdów. Bardzo często kolumna nie mieściła się między mostami i trzeba było naprawdę

⁸¹ 2 Warszawska Dywizja Pancerna powstała ostatecznie dopiero 7 czerwca 1945 roku i nie wzięła udziału w walkach (doświadczenie bojowe miała jednak część jednostek, z których sformowano dywizję).

⁸² Było to ważne źródło uzupełnień dla Polskich Sił Zbrojnych.

dobrej organizacji transportu i wręcz cyrkowych wyczynów kierowców czołgowych, a taką organizację mieli właśnie Anglicy. Za cały okres działań wojennych w jednym tylko wypadku słyszałem, że czołg spadł z transportera w 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. Była zasada, że czołgiem na gąsienicach można było przebyć tylko do 30 km. W wypadku przekroczenia tego limitu czołgi musiały być przewożone transporterami.

Nad rzeką Senio weszliśmy w strefę przyfrontową. Tu zastały nas Świąta Wielkanocne 1945 roku. Stąd robiliśmy wypadki na ziemię niczyją, celem zdobycia wina. Zdarzało się, że do jednej zagrody w tym samym celu wchodzili z jednej strony Niemcy, a z drugiej my. Zdarzyło się też, że jechaliśmy Scout Carem po wino i zaszła konieczność przejechania mostu na kanale. Nabierając wino koniecznie trzeba było skosztować jego smaku. Byliśmy już dobrze pod datą, kiedy wracając, zauważyliśmy, że do przesłał przymocowane są „cegiełki” dynamitu, dalej już łatwo odnaleźliśmy przewody, które zostały przez nas poprzecinane. Nad tym, dlaczego most nie został zdetonowany, nie zastanawialiśmy się.

Rzeka Senio na naszym odcinku była dość szeroka, o bardzo wysokich brzegach i ochronnych nasypach przeciwpowodziowych, tworzyła duże zakole, rzeką zaś biegła linia frontu. Niemcy dość często wysyłali tam patrole oficerskie. Była przed nami doborowa 1 Dywizja Spadochronowa Hitlera (po raz drugi)⁸³. Każdy chciał na swój sposób zasiegnąć języka wykorzystując swe patrole w zakolu rzeki. Raz na krótko przed świętami jednostki ubezpieczające 3 Dywizji Strzelców Karpackich doniosły, że zbliża się patrol niemiecki. Na to byliśmy już wcześniej przygotowani. Polecono patrol ten przepuścić na przygotowaną pułpkę. Zastawiono ją w ten sposób, że dwa najdalej wysunięte czołgi z lewego i prawego skrzydła, ustawione frontem do siebie, załogi zaś przy zamkniętych klapach i zablokowanych karabinach maszynowych na nasypie wału czekały. Kiedy patrol wszedł cały na przedpole wału, oba czołgi otworzyły ogień do siebie, skutek był taki, że ani jeden z patrolu nie uszedł z życiem, a było ich ponad 30 zabitych.

Był to do pewnego stopnia rewanż za zasztyletowanie połowy obsługi dział artylerii angielskiej, której część odpoczywała, a druga strzelała niczego nie przeczuwając, kiedy po północy jeden z obsługi dział poszedł sprawdzić, dlaczego koledzy ich nie zmieniają, stwierdził, że tamci nie żyją zasztyletowani w czasie snu.

Im bliżej świąt, tym bardziej starano się, by je godnie uczcić i tak zmajstrowano z rurek czołgowych urządzenie do przerobu wina na spirytus, czyli bimber, który zaprawiano do smaku syropem z puszek konserwowych. Boczkowi w konserwach, który był z przydziału, również nie brakowało, ale nam jednak chodziło o kielbasę.

Kiedyś przywiózł zaopatrzenie znajomy kierowca kolega Mann, cwany chłopak, który wcześniej spenetrował ten teren i jemu zwierzyliśmy się, o co nam chodzi.

– Dobrze – odpowiedział – tylko musicie mi pomóc. Podjechał więc swoim Dodgem pod dom, ze strychu którego w try miga, załadowaliśmy mu ponad trzy tony fasoli. On zaś sobie tylko znanym sposobem, fasolę tę zamienił na południu Włoch na żywego świniaka, takiego może 60–80 kg, z którym bardzo szybko uporali się specjaliści z kompanii. Wieczorem w stronę stanowisk niemieckich unosił się zapach wędzonego mięsa, ze zbudowanej własnym sposobem wędzarni. Była więc kielbasa, była też i szyneczka.

Jak się wie, to trzeba szczęście wykorzystywać. Hanysi z niemieckiej armii wiedzieli mniej więcej, gdzie Włosi chowają swój dobytek przed Niemcami, stąd przy pomocy długich, na końcu zaostrzonych drutów penetrowali teren wokół domków, ogródków, a inni kopali łopatami wskazane przez nich miejsca. Efekt poszukiwań był taki, że znaleźliśmy kilka skrzynek szampana i duży butel wina, które nie chciało się nijak z butla wylać, więc powódzenie postanowiliśmy uczcić szampanem. W tym celu włożyliśmy kilka butelek do termosu, w którym chłodziliśmy napoje. Po otwarciu pierwszej butelki, pokazał

⁸³ Przez większość wojny niemieckie dywizje spadochronowe walczyły jako piechota. Z biegiem czasu coraz mniej żołnierzy tych jednostek posiadało przeszkolenie spadochronowe – z uwagi na zaniechanie dużych operacji powietrznodesantowych po Bitwie o Kretę w 1941 roku, Niemcy coraz rzadziej przeprowadzali takie szkolenia, choć tworzyli coraz to nowe jednostki o nazwach Fallschirmjäger Division (dosłownie: Dywizja Strzelców Spadochronowych).

się nam musujący płyn. Ponieważ na pewno żaden z nas z tym trunkiem niewiele miał do czynienia, to jakoś nie bardzo nam to szło. Kiedy doszło do którejś tam butelki, jeden do drugiego mówi, podaj butelkę, a ten do następnego. Okazało się wkrótce, że żaden nie był w stanie władać swoimi członkami. Gdyby w tym czasie przyszedł jeden Niemiec bez karabinu zabrałby wszystkich jak baranki.

Jak w piśmie stoi parę butelek odpaliliśmy „staremu”, parę kapelanowi, a resztą rzadziliśmy sami przez święta⁸⁴. Niemcy, jakby przeczuwając, a może tak samo urządzili sobie święta, w każdym razie na naszym odcinku od północy pierwszego dnia, do północy drugiego dnia świąt, nie padł ani jeden strzał.

Kiedy w drugi dzień świąt, w nocy, na rejonie przyłapano pijanego Niemca, który przeszedł przez czujki, czaty aż do rejonu czołgów, ten zapytał: „Kto wy jesteście? Anglicy?” – „Nie” – „Kanadyjczycy?” – „Nie” – „Amerykanie?” – „Też nie” – „Któż do diabła jesteście?”. „Polacy” – odpowiedziano mu, a ten zorientowawszy się, u kogo jest odpowiedział: „E, jak Polacy, to ja wracam”. Fakt. Święta jak każde wojskowe na froncie spędziliśmy, życząc sobie zakończenia wojny i powrotu do kraju, z którego otrzymywaliśmy coraz bardziej niepokojące wieści.

Tuż po świętach działania na froncie wzmożyły się. Nadeszły angielskie i amerykańskie miotacze płomieni i walce „cepy” do detonowania min⁸⁵, szły przygotowania do natarcia i forsowania rzeki Senio. Krwawy udział w tej akcji ma lotnictwo amerykańskie, które dywanowymi nalotami przygotowywało teren przyszłej akcji. Przy okazji bombardując nasze jednostki piechoty. Wina za to przypuszczalnie obopólna, gdyż Polacy, jak pod Somosierrą zawsze prac do przodu, weszli w strefę bombardowania. Chcąc oddalić niebezpieczeństwo świecami dymnymi, zadymiono teren. Z kolei Amerykanie, myśląc, że są wprowadzani w błąd, powtórzyli bombardowanie (kiedyś historia może wróci do tego tematu)⁸⁶.

W akcji tej jak zwykle byłem w ochronie sztabu. Po przełamaniu oporu na rzece, desperacko broniąca się 1 Dywizja Spadochronowa⁸⁷, zmuszona została do odwrotu. Jeśli miała jakieś wsparcie, to sporadycznie lotnictwa i niewielkie czołgów. Coraz więcej czołgów spotykamy dobrych, unieruchomionych z powodu braku paliwa⁸⁸.

Jadąc w ubezpieczeniu, natknąłem się na pluton niemieckich żołnierzy, ciągnących na wózku o dwu kółkach załadowany bagaż. Początkowo ich wyprzedziłem z myślą, że niech się nimi zajmie piechota, ale zaintrygowany zawróciłem. Zatrzymałem czołg, kazałem załozę jak zwykle mnie ubezpieczyć, a sam przystąpiłem do przeglądania bagażu. Jednego tobołka Niemcy nie chcieli pokazać i ten właśnie poleciłem im rozpakować. Okazało się, że był to bagaż sztabu 1 Dywizji Spadochronowej. Mnie zainteresował sztandar tej dywizji, z pięknie wyhaftowanym czarnym Hakenkreuzem⁸⁹ i złotym ogonem komety⁹⁰. Pozostawiając jednego z załogi do pilnowania, sam udałem się czołgiem do dowódcy pułku, przekazując mu swą zdobycz. Pozostały bagaż został przekazany przez mojego żołnierza piechocie.

Za około dwa tygodnie zostałem zawiadomiony, że mam się udać do Maceraty z dowódcą pułku, już podpułkownikiem Motyką. Nie wiedziałem, po co. Byłem nieco zaniepokojony, lecz sprawa wyjaśniła się bardzo szybko. Miałem być obecny na wyświetlaniu kroniki filmowej

⁸⁴ W 1945 roku Wielkanoc przypadła na 1 kwietnia.

⁸⁵ Chodzi o czołgi przeciwcminowe „Sherman Crab” wyposażone w bębny z łańcuchami i ciężarkami zamontowane poziomo na wspornikach wystających przed wóz. Wskutek szybkiego obracania się napędzanych bębnow łańcuchy uderzały w ziemię jak cepy powodując detonacje min przed czołgiem.

⁸⁶ Opisane wypadki miały miejsce 9 kwietnia 1945 roku (w dniu rozpoczęcia Bitwy o Bolonię). Straty polskie w wyniku tego bombardowania wyniosły 34 zabitych i 188 rannych.

⁸⁷ Na rzece Senio przed Polakami broniła się 4 Dywizja Spadochronowa. Natomiast 1 Dywizja Spadochronowa zajmowała pozycje naprzeciw XIII Korpusu brytyjskiego. Została przesunięta na odcinek natarcia wojsk polskich w późniejszej fazie bitwy.

⁸⁸ Od czasu utraty zagłębia naftowego Ploeshti w Rumunii w sierpniu 1944 roku, braki paliwowe były bardzo poważnym problemem Niemców.

⁸⁹ Po niemiecku: „swastyka”.

⁹⁰ Sztandar ten należał raczej do 4 Dywizji Spadochronowej, która miała w herbie komętę z ogonem.

z działań nad rzeką Senio. Było tam dużo różnej „świty”. Film przedstawiał, jak dowódca pułku stoi jedną nogą na płacie sztandaru, a jedną ręką trzyma za róg sztandaru z odpowiednim komentarzem. Mnie jednak tam nie było (bez komentarza). W czasie wyświetlania dowódca szturchnął mnie w bok i mówi: „Widzisz?”. Odpowiedziałem, że widzę, ale nie siebie.

W przerwie powiedziałem, że pan pułkownik był w kronice, to na pewno jakieś odznaczenie kapnie, a ja? „A ty nic nie możesz dostać, bo masz opinię zafajdaną”. Niemniej za Senio otrzymałem Krzyż Walecznych po raz drugi, a od Anglików Defence Medal, oczywiście było to za całą akcję, a nie za sztandar.

Weszliśmy, ścigając fanatycznie broniących się spadochroniarzy, w rejon kanału Gaiana. Jadąc w rejon oczekiwania, Niemcy okładają nas z „Ferdynandów”⁹¹ i „Nebelwerferów”. Na moich oczach pocisk z moździerza trafił w róg mijanego przez nas budynku. Zauważyłem, że jadący obok mnie czołg zatrzymał się, a z wnętrza wyciągają jednego z załogi. Poleciałem zatrzymać czołg i pobiegłem do tamtego. Poszkodowanego przeniesiono do budynku, okazało się, że był to kierowca czołgu, bardzo bliski kolega Boguś Piskozub z Kołomyi. Ponieważ w większości jeździliśmy przy otwartych klapach, odłamek pocisku, który uderzył w róg domu, rykoszetem ugodził Bogusia w sam puls tuż pod hełmem. Początkowo nie było nawet większego znaku, lecz zanim przybył lekarz, Boguś oddał ducha, trwało to może trzy-cztery minuty.

W tym rejonie dywizję podzielono na dwie grupy „Bob” pułkownika Bobińskiego i grupę „Rak” generała Rakowskiego. 6 Pułk Pancerny i 4 Pułk Pancerny trafił do grupy „Bob”. W czasie natarcia otrzymałem zadanie rozpoznania terenu i osłony lewego skrzydła natarcia. Wykonałem zadanie po zajęciu oznaczonego na mapie punktu, a wypadło to zaraz za przejechaną drogą asfaltową. Zgłosiłem przez radio o wykonaniu zadania i otrzymałem rozkaz ubezpieczyć ogniem tę drogę. W oczekiwaniu na zbliżające się natarcie, strzelaliśmy jak do kaczek do wycofujących się przez drogę Niemców. W pewnym momencie na drogę wjechał samochód osobowy, pomny na przestrożę „starego”, strzelaliśmy po kołach, a gdy to nie skutkowało, puściłem serię nieco wyżej i samochód wyleciał do rowu. Dalszy jego los już mnie nie interesował. W czasie, kiedy oś natarcia zbliżała się do opanowanej przeze mnie drogi, Niemcy położyli ogień zaporowy z ciężkiej artylerii na drogę. Siedząc na klapie czołgu, zobaczyłem tylko błysk i piekielny wybuch. Nie wiedziałem, co się dzieje, byłem ogłuszony, niemniej słysząc jęki, podpełzłem do wijącego się w bólach komandosa, który był przydzielony do mojego czołgu. Mimo iż był za wieżyczką, cały we krwi z plecami rozplatanymi, odruchowo wezwałem karetkę przez radio, zabrałem apteczkę i wstrzyknąłem rannemu morfinę znacząc krzyżyk na jego czole. Następnie zabrałem się do rozdzierania koszuli, celem zrobienia opatrunku, lecz rana była potwornie duża i głęboka. We włazie dla kierowcy jęczał kierowca, Stasio Godlewski. Głowa jego była cała we krwi, sadzy i prochu. W takim to momencie nadjechała karetka, z czołgu zabrano komandosa, a kiedy z włazu wyciągnięto kierowcę, bezwiednie tam wskoczyłem. Silnik pracował cały czas. Po zabraniu tamtych lekarz i sanitariusze chcieli mnie także zabrać. Ja, nieświadomy niczego, nacisnąłem sprzęgło i nie dając się zabrać, ruszyłem na nich. Ledwie odskoczyli, pokazując jeden drugiemu kółeczka na czole.

Po odjeździe karetki zrobiło mi się bardzo gorąco. Wycierając, według mojego mniemania, pot podwiniętym rękawem kombinezonu, ujrzałem krew. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jestem ranny. Działając w szoku, podjechałem nieopodal, gdzie stał swoim Scout Carem Józio Mastkowski (razem graliśmy w reprezentacji dywizji w piłkę), oświadczyłem mu: „Józiu, weź mnie do lekarza. Ja jestem ranny”. Wyskoczyłem z czołgu, wdrapałem się na jego samochód pancerny i zostałem zawieszony pod namiot lekarza pułkowego A. Rutany. Kiedy Józek zahamował, dopiero wtedy straciłem przytomność, spadając bezwładnie z samochodu.

Jak sobie później uświadomiłem, to pocisk dużego kalibru spadł pod sam przód czołgu, podmuch położył mnie na pancierz, dzięki szczęściu i dziwnemu zbiegowi okoliczności, zostałem ranny tylko w plecy i w głowę. Do przytomności przyszedłem w momencie, kiedy lekarz znaczył

⁹¹ Niemieckie ciężkie niszczyciele czołgów uzbrojone w armaty kalibru 8,8 cm (konstrukcyjnie były to działa pancerne). Podobnie jak w przypadku „Tygrysów”, były one raportowane przez alianckich żołnierzy znacznie częściej, niż rzeczywiście występowały.

mi tuszem krzyżyk na czole. Uświadomiłem sobie, że jestem ranny, usłyszałem tylko jeszcze słowa: „Władziu, będziesz żył”. Po chwili zjawił się, niezapamiętany ksiądz kapelan Czorny, który udzielił mi spowiedzi i komunii świętej. Gdy leżałem po opatrzeniu ran, zaczęła działać morfina. Nie czuję żadnego bólu, jestem na stadionie w Żurawicy, jestem ubrany w jaskrawego koloru strój sportowy i piękne czarne buty z białymi sznurówkami, wszystko widzę wyraźnie w jaskrawych kolorach. Leżącego w sanitarce, zastał mnie dowódca pułku Motyka, robiąc mi wyrzuty, że tak strasznie podziurawiłem samochód niemiecki, Odpowiedziałem mu, że strzelaliśmy po kołach, ale on jechał dalej, więc zmuszeni byliśmy go zatrzymać.

Nie wiem, z bólu czy z wrażenia, zasnąłem. Ranny byłem 19.04.1945 r. o godz. 12:00, natomiast o godzinie 16:00 byłem już na GPO (Główny Punkt Opatrunkowy). Tu selekcjonowano rannych w zależności od odniesionych ran. Mnie przeznaczono do szpitala wojennego niedaleko Forli. Około godz. 24:00 byłem według kolejności operowany. Po operacji wręczono mi garść odłamków na pamiątkę, (lecz nie wszystkie).

Mnie i innych rannych sanitarką nocą przewieziono na lotnisko w Forli. W czasie podróży akurat naszą kolumnę spotkał nalot niemieckich samolotów, kierowcami sanitarek byli Anglicy i do tej pory nie takiego ich nie spotkało⁹². W naszej sanitarce obok kierowcy jechał kapitan, komandos, Polak z przestrzelonym łokciem. Jak samolot położył serię na czole kolumny, komandos zorientował się, co jest grane i nie zastanawiając się, zdrowym łokciem zaprawił Anglika żującego gumę w szczękę, równocześnie skręcając mu kierownicę, był to ułamek sekundy, kiedy wylądowaliśmy w rowie przewróconą na bok sanitarką. To nas prawdopodobnie uratowało, bo poza lekkim stłuczeniem, poważnych obrażeń nikt nie odniósł, chociaż w innych byli ranni, a nawet zabici. Głupio byłoby, będąc rannym stracić życie w drodze do szpitala. Po dotarciu do lotniska załadowano nas do dwusilnikowego samolotu marki Douglas⁹³ i o godzinie 7:00 wystartowaliśmy, lecąc wzdłuż wybrzeży Adriatyku na południe Włoch, na wysokości pięciu-ośmiu tysięcy metrów.

W czasie startu samolotu stewardesa-pielęgniarka, Angielka, zmuszona była w rozkroku nogami oprzeć się o zawieszane na ścianie nosze, a rękoma trzymać nosze zawieszane wyżej (dla opanowania drgań przy starcie samolotu), ręka jej wypadła akurat na przeciw mojej głowy, patrząc zauważyłem bransoletkę z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem Dorothy White. Kiedy, lecąc już spokojnie, przez okienko patrzyłem na siną toń Adriatyku, na szachownice pól i winnych zagajników, spytałem: „Miss Dorothy, czy mógłbym usiąść do podziwiania tego tak pięknego krajobrazu”, przy czym ta dalsza część zdania wypowiedziana była po polsku, ponieważ po angielsku umiałem niewiele. Dziewczyna popatrzyła na moją kartę i odrzekła: „Sorry, impossible”. Zrozumiałem, że to niemożliwe, chociaż czułem się dość dobrze, to karta jednak mówiła, coś innego.

Po chwili przyniosła do picia kakao, kiedy mi podała, powiedziałem: „Thank you”. Dorothy, po obsłużeniu wszystkich 30 osób, podeszła do mnie z pytaniem, skąd ja wiem, że ona ma na imię Dorota. Powiedziałem, że nie tylko wiem, jak ma na imię, ale wiem jak na nazwisko. To ją już nieco zaskoczyło.

Wcześniej wiedziałem, że samolotowa baza sanitarna znajdowała się koło Neapolu, więc strzeliłem, że przecież będąc w Neapolu byłem w NAAFI, gdzie nawet razem tańczyliśmy, (wtedy jeszcze nie umiałem tańczyć w ogóle, ale widocznie dobrze trafiłem, bo nie zaprzeczyła). Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku w pobliżu Bari, z samolotu przenoszono nas do sanitarek, idąca obok mnie pielęgniarka jeszcze raz z ciekawością zapytała, czy to prawda, że znam ją z Neapolu. Ująłem ją za rękę i wskazałem na jej bransoletkę. Zarumieniała się nieco i pogroziła palcem, odprowadzając wzrokiem, aż sanitarka odjechała.

Z lotniska sanitarkami przewieziono nas do szpitala wojennego w Casamassima⁹⁴. Obiad jedliśmy już na południu Włoch, prawie o tysiąc kilometrów od frontu. Tutaj, jak w każdym szpitalu, morfologia, prześwietlenia, poszukiwanie dalszych odłamków, opatrunki. Po

⁹² W 1945 roku na froncie włoskim nalot niemieckich samolotów był wielką rzadkością.

⁹³ Douglas C-47 „Skytrain” przez Brytyjczyków nazwany „Dakota”.

⁹⁴ Znajdował się tam Polski Szpital Wojenny nr 5 (początkowo nosił numer 1).

przeprowadzeniu dokładnych badań, stwierdzono, że mam jeszcze cztery odłamki w plecach na wysokości klatki piersiowej, a w głowie odłamek 3x3 mm, wbity w kości czaszkowej (potylicy) z lewej strony. Tego już nie operowano i nie zalecano operować.

Dobrodziejstwem tego okresu było wynalezienie i stosowanie penicyliny. Taką maścią penicylinową smarowano mi rany, nie bandażując ich. Po posmarowaniu tą maścią miałem wrażenie, że na ranę nałożono mi jakby żelatynę, która na młodym organizmie goiła rany, które przesychały jak na przysłowiowym psie.

Już po kilku dniach mojego pobytu w szpitalu przyszła tęsknota za pułkiem, kolegami, tym bardziej, że wojna dochodziła do zenitu, a Bolonia została zdobyta bez poważniejszych strat naszego pułku. Tutaj w szpitalu, mimo spokojnego życia, ani kino, ani inne rozrywki nie cieszyły, gdyż całymi dniami przychodziło mimo woli słuchać jęków i lamentów współbraci, mniej lub bardziej rannych. Ponieważ jestem człowiekiem uczuciowym, z przykrością oglądać przychodziło mi ludzkie nieszczęścia. Pech chciał, że ranny zostałem w parę dni po swoich dwudziestych trzecich urodzinach (16.04.1922).

Bardzo szybko znudziło mnie takie szpitalne życie, prawie całkowicie w nowym otoczeniu, tym bardziej, że z dnia na dzień czułem się lepiej. Będąc pewnego dnia po wizycie, poprosiłem o raport u dyrektora szpitala. Przy raporcie poprosiłem o wypisanie mnie do jednostki na własną odpowiedzialność. Usłyszałem krótką odpowiedź: „Jeszcze nie”. Kończył się kwiecień, zaczynał maj. Wiadomości różne, ale wiadomość o kapitulacji Niemiec dnia 8 maja 1945 r. przyjęliśmy z radością, lecz nie było to dla nas zaskoczeniem. Wręcz przeciwnie, było to skutkiem działań i wiarą, że tak się stać musi. Cieszyliśmy się, że to koniec koszmaru wojny, lecz niepokoił nas tym, co będzie dalej. Właśnie, co dalej, niestety, tego nikt nie wiedział.

Rozłąka z kolegami i pułkiem nie schodziła mi z myśli. Na ponowną prośbę o wypisanie ze szpitala znów otrzymałem odpowiedź odmowną, lecz stanowczo przedstawiłem sprawę, że jeśli nie zostanę wypisany nawet na własną odpowiedzialność, to ze szpitala zbiegnę bez względu na skutki. Na takie dictum dyrektor pomyślał przez chwilę i oświadczył, w takim wypadku wypiszę, lecz na własne żądanie.

Przemieszczenie się, nawet na tak dużą odległość, nie sprawiało tutaj najmniejszego problemu. Jeszcze pod koniec maja powróciłem do pułku stacjonującego pod Bolonią. Po powrocie koledyz powiedział mi, że szukał mnie brat, wysoki facet, służył w czasie wojny 1939 r. w saperach, czy w łączności, dokładnie nie wie. Będąc nadal na rekonwalescencji, dysponowałem swoim czasem bez ograniczeń, zajęcia żadne na razie mnie nie obowiązywały. Korzystając z tej okazji, zwróciłem się z prośbą do dowódcy pułku, pułkownika Motyki, o umożliwienie mi odnalezienia brata. Uczynił to bardzo chętnie, oferując, jeśli będzie potrzeba, swojego jeepa. Wiedziałem, że brat służył w KOP-ie w łączności, stąd moje pierwsze kroki, to odwiedzenie nowo powstałej jednostki łączności z żołnierzy przywiezionych z niemieckich obozów jenieckich.

Pojawienie się frontowca w takiej jednostce budziło duże zaniepokojenie, stąd też szef kompanii osobiście zaprowadził mnie na kwaterę, gdzie na łózkach polowych pod moskitami wypoczywała cała ta zbieranina zwana kompanią łączności.

Idąc od łóżka, patrząc, a tu spod uchylonego moskitiera, wychyla się twarz brata. Serdecznie uściskaliśmy się, nawet bardziej serdecznie, niż kiedy to 30.08.1939 r. po zmobilizowaniu odprowadziłem brata do Przemyśla do 38 Pułku Piechoty, kompanii łączności, żegnając się z nim przed jego odjazdem na front. Po zwolnieniu brata, u jego dowódcy jednostki łączności, udaliśmy się do najbliższej restauracji, uczcić tak niebywałe spotkanie. Wcześniej zagadnąłem spotkanego żołnierza w czarnym berecie czy wie, gdzie stacjonuje 6 Pułk Pancerny. Otrzymałem odpowiedź twierdzącą, więc poprosiłem go, by odprowadził samochód i podziękował dowódcy oraz zgłosił, że znalazłem brata i jak tylko nacieszymy się spotkaniem, wrócę do pułku.

Wtedy dowiedziałem się, że brat dostał się do niewoli niemieckiej, przebywał w obozie jenieckim w Niemczech, a później w Austrii, skąd zbiegł. Ukrywając się przez dłuższy czas, zobaczył kolumnę samochodów wiozących z Niemiec polskich jeńców do Włoch. Gdy zatrzymał jeden z samochodów kolumny, okazało się, że za kierownicą siedzi starszy kolega



Władysław Stefanik (z prawej) z kolegą w oczekiwaniu na autostop

z Żurawicy plutonowy Fabian, z którym przed wojną w 1939 r. pracował w warsztatach 2 Batalionu Pancernego. „Od niego dowiedziałem się – ciągnie opowieść brat – że jesteś w którymś pułku pancernym, bo widział cię kiedyś na jakimś meczu. Mając taką informację, szukałem ciebie w pułkach pancernych i będąc w twoim pułku dowiedziałem się, że jesteś ranny i przebywasz w szpitalu na południu Włoch”.

Po kilku dniach pobytu z bratem wróciłem do pułku, po pewnym czasie pułk został przetransportowany kolejowym do Porto Recanati, gdzie miałem możliwość odwiedzić starych znajomych. Na miejsce postoju, po zakończeniu działań, wyznaczono nam ponownie Montefano. Z Montefano zostałem powołany na obóz piłkarski w Maceracie, jako że wznowiono na szerokiej skale różnego rodzaju rozgrywki sportowe. Na obozie w Maceracie byli też bokserzy reprezentacji dywizji i korpusu z Kleinem, Janiszewskim, Koprowskim, Barbarowiczem i innymi, tenisiści: Ignacy Tłoczyński i Spychała, grający w klubie tenisowym w Anconie.

Każda większa jednostka posiadała jakąś drużynę, kosza, siatki itp. Eliminacje przeprowadzano od rozgrywek między kompaniami wzwyż. Liczące się drużyny piłkarskie posiadała 3 Dywizja Karpacka z zawodnikami jak Czarniecki (Śmigły Wilno), Szewczyk (Cracovia), Filipowski (Wisła), Borowski (Pogoń Lwów), a później Kulawik i inni. Godłem była sosienka na białoczerwonym tle. 5 Dywizja Kresowa – godło żubr na żółtym tle – z Gemzą i innymi. 2 Warszawska Dywizja Pancerna – godło Ramię Pancerne – z zawodnikami: B. Habowskim (Wisła), Świątkiem i Goldmanem (ŁKS), Wojtczakiem (Huragan Wołyń), Holeszem (Siemianowiczanka), Wilkoszem i St. Jaworskim (Revera), Tybinką (OMTUR Sambor) i Władysławem Stefanikiem (Żurawianka). W późniejszym okresie 16 Pomorska Brygada Pancerna z Radkiem, Haberlą, Goździkiem i Rogoczem, Kubickim i Żurkiem (wszyscy to Ślązacy z niemieckiej armii). Trzon drużyny pułkowej stanowili: Wojtczak, Tybinka, Łoziak, Chowaniec, Holesz, Podkulski, Stefanik, Sitarz i inni.

Rywalizacja sportowa powodowała także kaperownictwo i tak 2 Batalion Łączności miał bardzo silną drużynę piłkarską. Ponieważ przebywał tam brat, więc użyto fortelu, że niby to ja,

po degradacji, czując się źle w pułku, że jesteśmy rozłączeni z bratem po wieloletnim okresie. Jednym słowem argument chwycił. W czasie, gdy sztabowcy pertraktowali sprawę przeniesienia, ja się już przy pomocy brata pakowałem.

Jak opowiadał brat, dowódca pułku z żalem wyraził zgodę na przeniesienie, ale stwierdził, że Władek był za dobrym żołnierzem, by mógł mu odmówić przeniesienia. Tym sposobem zostałem przeniesiony do 2 Batalionu Łączności w Maceracie, gdzie już wcześniej przebywałem na zgrupowaniu.

W Maceracie przebywałem z bratem w jednej sali, pełniąc tu funkcję dyspozytora samochodowego, nie obowiązywała mnie żadna służba, a praca polegała na wystawieniu kart drogowych na samochody, będące w batalionie według zapotrzebowania, a wieczorem odbieraniu kart i wystawianiu na następny dzień. Tutaj, z okazji jakiejś tam rocznicy, zostałem ponownie awansowany do stopnia starszego szeregowca, a później kaprała.

Niejednokrotnie już o godzinie 9:00 rano szef wypędzał mnie na boisko, na trening. Z racji pełnienia funkcji dyspozytora, wpadała mi codziennie, niemała sumka lirów, jako że i opony i benzyna nadawały się do prywatnych pojazdów Włochów. Jak to robili kierowcy, to już ich sprawa. Niemniej, nigdy przedtem, teraz, ani później, nie miałem skłonności do kupowania dolarów, czy „kasztanów”. Uważałem, że co lekko przyszło, to lekko miało pójść, stąd też prowadziłem swoje „dolce vita”. Dowódca batalionu major Kozakiewicz, jak i dowódca kompanii kapitan Wołoszyn, byli sympatykami sportu. Byłem frontowcem i nadal miałem przywilej „ozdrowieńca”. Dość dużo czasu spędzałem w towarzystwie Włochów, z przyjacielem Mario Menichelim. W międzyczasie zdobyliśmy pierwsze miejsce w rozgrywkach w piłce nożnej i w nagrodę pojechaliśmy do Wenecji na miesięczny urlop. Tu mieliśmy załatwione wszelkie przydziały z NAAFI, zapłacony hotel na cały miesiąc, łącznie z wyżywieniem. Było to jedyne większe miasto poza Rzymem, które mogłem zwiedzić z dokładnością do jednego domu. Niezapomniane wrażenie to Pałac Dożów, Bazylika Świętego Marka, gondole, kanały no i wyspa Lido, na którą prawie codziennie płynęliśmy statkiem na plażę. Był tam angielski wojskowy klub NAAFI, gdzie można było zjeść, wypić i zabawić się rano w stroju plażowym, a po południu w stroju wieczorowym, popływać i zagrać w przeróżne gry.



Na Placu Św. Marka w Wenecji. Autor pierwszy z lewej



Drużyna piłkarska 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej. Władysław Stefanik w dolnym rzędzie drugi z prawej



Z cyklu rozgrywek o mistrzostwo 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej; drużyna 6 Pułku Pancernego; Macerata, Włochy. Władysław Stefanik czwarty z prawej

Co dobre, podobno szybko się kończy. Pewnego razu, wracając z Lido stateczkiem, jeden z kolegów Ślązaków mówi: „Pierunie, ja by nie chciał Angielki za żona, bo jak by szła spać, to by se sztuczną pierś odpięła, sztuczne zęby i oko do szklanki włożyła”. Na to jedna z Angielek odpowiedziała: „Proszę tak nie mówić, ponieważ ja rozumiem po polsku”. Do przyjazdu do brzegu nikt już żadnego słowa z siebie nie wydusił. Już wtedy wiadomo było, że 2 Korpus zostanie przerzucony do Anglii. Po powrocie, niedługo w maju 1946 roku, batalion został przerzucony pod Neapol, skąd statkami został przewieziony do Anglii.

Zostałem jako oddział likwidacyjny, przekazując batalionowy sprzęt Anglikom na złom. Przed zdaniem, z dwóch jeepów zrobiliśmy sobie jeden, który służył nam do wyjazdów nad morze, do 30 km odległego Porto Recanati, bądź portu Civitanova Marche.

W lipcu i nasz oddział likwidacyjny został załadowany na wagony i przewieziony do Weroni, gdzie przeszliśmy kwarantannę. Stąd koleją przez przełęcz Brenner do Austrii, a z Austrii do Niemiec. Podróż trwała dość długo, ze względu na zniszczenia sieci kolejowej, a stąd do Francji, do portu w Calais. Tam znów kwarantanna kilka tygodni i statkiem przez Kanał La Manche do portu Dover w Anglii. Podróż była niepokojna ze względu na wzburzone morze. Z tego powodu jakaś nasza „Pestka”, stojąca na wyższym pokładzie, nawrzucała przechodzącemu kapitanowi statku wiktem za kołnierz.

W Dover przyjęto nas mile, chociaż chłodno. Posiłek zjedliśmy w stołówce wojskowej, a bagaże nasze zostały odesłane do jednostki. Pozostały nam tylko, o ironio, karabiny, które były naszą i Anglików zmorą w czasie podróży, a osoby cywilne patrzyły na nas jak na dziwolągów. W Anglii żołnierz przeniesiony do innej jednostki nie zabiera broni, podczas gdy w naszej armii karabin jest przywiązany numerycznie do osoby. Mieliśmy nieco kłopotu w Londynie, bo po przyjeździe chcieliśmy coś zjeść. W WRTO dowiedzieliśmy się, jak dostać się do najbliższego klubu NAAFI, lecz nigdzie nie chcieli nam przechować broni. Dyżurny na migi polecił nam zostawić ją na kupce koło jego biura. Tak też uczyniliśmy. Po zjedzeniu posiłku, wróciliśmy niespokojni o broń, jednak ta leżała nietknięta na miejscu. W oznaczonej godzinie wsiedliśmy do pociągu i dojechaliśmy do stacji York. Tutaj czekały na nas samochody, które odwoziły nas do naszych jednostek.

Rozlokowani w „beczkach śmiechu”⁹⁵ w Pickering, poza nielicznymi zajęciami odwiedzaliśmy kolegów, tak w swoich, jak i innych jednostkach. Monotonność bytowania, niepewność jutra zabijaliśmy organizowaniem meczy i innych zawodów z Anglikami i z kim się dało i gdzie się dało. Powstał Korpus Przysposobienia Do Życia Cywilnego, przemianowany z 2 Korpusu⁹⁶.

Stąd, kto znał język angielski, mógł sobie szukać pracy, kto miał krewnych w innych krajach, starał się o wyjazd, nieliczni z 3 Dywizji Strzelców Karpackich zapraszani przez kolegów z Tobruku, wyjeżdżali do Australii. Większość jednak została bezradna w niepewności, niepewności o jutro.



Myślami w kraju

⁹⁵ Nazywano tak blaszane baraki.

⁹⁶ Właściwie Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. Nie powstał on bezpośrednio z 2 Korpusu Polskiego. Miał on za zadanie przeprowadzić demobilizację żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a następnie ułatwić im zdobycie pracy i osiedlenie się w krajach zachodnich. Zachęcano przy tym do jak najliczniejszych powrotów do Polski.

Spacerując po ulicach miasteczek, w większości spotykaliśmy się ze słowami: Polacy, koniec wojny, macie swój kraj, dlaczego nie wyjeżdżacie?”. Bolało nas to bardzo i odczuwaliśmy to głęboko. Jeszcze w Maceracie, zaraz po zakończeniu działań wojennych, w Towarzystwie Przyjaźni Włosko-Polskiej, był taki rysunek: Murzyn z napisem na rękawie „Poland”, trzymał wojskowy worek bagażowy na plecach, a pod spodem był napis „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”, lecz po paru dniach już tego rysunku nie było.

O ile nie można było się dopatrzeć wrogości w stosunku do nas, o tyle stwierdzić trzeba, że Anglicy w większości nie mieli zielonego pojęcia o sytuacji, jaką myśmy przeszli w Rosji i wiedzieliśmy, w jaki sposób oni tworzą władzę. Organizowano kursy języka angielskiego, jednak większości to nie cieszyło. Wieczorami chodziliśmy z bratem na piwo do angielskich restauracji i przy piwie toczyły się wieczorne rodaków rozmowy. Mnie nadal traktowano jako ранego na froncie, jeszcze nie w pełni sił. W Yorku w Wojskowej Szkole Wychowania Fizycznego odbywały się kursy na instruktorów wychowania fizycznego. Wezwano mnie do dowództwa i wręczono skierowanie. Tam przeszedłem badania specjalistyczne i pozostałem na kursie. Było nas dwunastu Polaków, resztę stanowili Anglicy, od dowódcy szkoły do kucharza. Była to ciężka szkoła, ale bardzo dobra dla mnie w owym czasie. Po pewnym czasie skierowano mnie na drugi turnus, z którego wyniosłem dużo korzyści w przygotowaniu do pracy instruktorskiej. Jak wspominałem, była to nie praca, ale harówka od 7:00 do 12:00 z 25 minutowym „tea time” i od 13:00 do 18:00, co 15 minut u innego instruktora, na przeróżnych ćwiczeniach – od szermierki do piłki nożnej, ścieżka przez wszystkie znane dziedziny sportu.

Wieczorami, po zajęciach, jedyną rozrywką była NAAFI, gdzie chodziliśmy na herbatę, ciastka, piwo itp. Tutaj również dało się widzieć nasze ubóstwo. Jaki by Anglik nie wchodził do klubu, siadał do fortepianu i coś tam zawsze zagrał, na prośbę, by któryś z nas zagrał coś polskiego, niestety nikt z nas nie potrafił. Za to po kilku wieczorach naszego tam pobytu, świetliczanka bezbłędnie potrafiła przewidzieć, kiedy Polacy zaczną śpiewać „Góralu, czy ci nie żal”.



Northern Command of Physical Training School, Anglia, październik–listopad 1946 r., Autor drugi z prawej u góry

Po powrocie z kursu otrzymaliśmy list od matki, nie było tam żadnej wzmianki, byśmy wracali do kraju. Matka była sama, ojca nie było od czasu rozpętania wojny przez Niemców. Długo zastanawialiśmy się, jak postąpić dalej i doszliśmy do wniosku, że jeden z nas pojedzie do kraju.

Pewnego wieczoru zaprosiliśmy na piwo swoich kolegów, którzy, niczego nie przeczuwając, byli świadkami naszej decyzji. Przy stole nastąpiło losowanie zapawkami. Zapawka krótsza to wyjazd do Polski, wypadło na mnie. Nie byłem tym rozżalony, że los właśnie mnie wybrał, przeciwnie, w duchu byłem zadowolony, gdyż byłem w Rosji i wiedziałem, czego mogę się spodziewać w kraju. Brat natomiast znał niemiecki, umiał zahandlować i miał znajomą Polkę, sympatię, z którą miał zamiar się ożenić. Decyzją zapadła, więc zapisałem się, ku wielkiemu zaskoczeniu niektórych moich kolegów, na wyjazd do kraju.

Po wielokrotnym załatwianiu spraw w ambasadzie polskiej w Londynie zostałem skierowany do obozu dla repatriantów w Szkocji, w pobliżu miasta Berwick. Bywaliśmy często w Edynburgu, zmontowaliśmy silną drużynę piki nożnej, graliśmy również tam, z kim się dało i gdzie się dało. W tej miejscowości zastała nas zima na przełomie roku 1946 i 1947, która zupełnie zaskoczyła Anglików. Olbrzymie zasypy śniegu uniemożliwiały dowóz żywności.

Pracowaliśmy przy usuwaniu śniegu, prawie dzień i noc. Silne zamiecie zasypywały natychmiast to, co oczyściliśmy. Trwało to parę dni, w „beczkach śmiechu” było zimno. Opału, nie można było dowieźć, a żeby nie tkwić w zimnych barakach, ze znajomym nauczycielem z Nowego Targu p. M. Chmurą, wybraliśmy się nad morze. Spacerując po plaży, patrzyliśmy, jak w momentach przyływu woda wyrzuca czarne kamienie. Pan Marian wziął do ręki te kamienie i zaczął tłuc jeden o drugi, po czym swą góralską gwarą powiedział: „Chłopek, przecież to węgiel”. Nazbieraliśmy, więc tych kamieni do kieszeni i gdzie się dało i ruszyliśmy spieszyć do obozu. Po wrzuceniu do pieca nie było żadnej wątpliwości, że jest to węgiel. Oczywiście zaraz cała „beczka” mieszkańców wyruszyła z plecakami i torbami nad morze. Od teraz mieliśmy bardzo ciepło w naszych beczkach. O wynalazku dowiedziały się i inne „beczki” i tym sposobem zima została pokonana przez przypadek.



Nad zatoką w Szkocji. Autor pierwszy z prawej

Później dowiedzieliśmy się, że rzeczywiście znajdują się tam pokłady węgla, które zmywa woda morską, a przy przyływie wyrzuca je na brzeg w postaci pięknie lśniących czarnych kamieni.

Pod koniec kwietnia 1947 r. zostaliśmy przerzuceni jako 2 kompania Polish Resettlement Corps⁹⁷ w pobliże Edynburga. Tam czyniliśmy ostatnie zakupy i przygotowania do wyjazdu. Do 19 maja otrzymujemy ostatni żołd i odprawę łącznie 19 funtów, 16 szylingów i 7 pensów⁹⁸.

W tymże dniu bagaże nasze pakujemy do samochodów, które odwożą je do portu w Leith⁹⁹, a my kilka dni później pojechaliśmy koleją. Tam otrzymaliśmy cywilne ubrania, kapelusze, obuwie i krawaty. Kto chciał założyć ubranie cywilne. Otrzymaliśmy również równowartość żywienia na okres sześciu miesięcy oraz papierosy z przydziału. Oczywiście za papierosy

⁹⁷ Angielska nazwa Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia.

⁹⁸ Do 15 lutego 1971 roku funt szterling dzielił się na 20 szylingów, zaś szyling na 12 pensów (zatem funt dzielił się na 240 pensów).

⁹⁹ Obecnie jest to dzielnica Edynburga.

nikt równowartości nie brał, gdyż każdy wolał papierosy. Ja żadnych funtów ze sobą nie zabrałem. W większości robiliśmy zakupy z bratem, a pozostałą gotówkę zostawiłem mu na wydanie.

Po przyjeździe do portu, wprowadzono nas do olbrzymiej hali, na ścianach której wymalowane były dużego formatu litery alfabetu, pod którymi złożone były nasze bagaże. Kontrola celna ograniczała się jedynie do pytań, co tam jest i dla kogo z rodziny. Po opuszczeniu hali udaliśmy się już na statek, przechodząc przez komorę celną wykrywającą walutę angielską.



Ze spaceru po Szkocji. Autor pierwszy z lewej

Polegało to na tym, że posiadaną walutę w funtach wręczano celnikowi, właściciel przechodził. Jeśli urządzenie nie sygnalizowało, celnik wręczał gotówkę i operacja się kończyła, natomiast, jeśli sygnalizowało, osoba zostawała wezwana do kontroli szczegółowej. Zaokrętowanie trwało cały dzień. Nazajutrz z rana, przy dość gęsto padającym kapuśniaczką, zjawiła się orkiestra i burmistrz miasta Edynburg, który wygłosił do nas przemówienie pożegnalne. Dziękował za włożony trud w kampanii wojennej, życząc nam szczęśliwej podróży w drodze do naszej ojczyzny itd. Słuchaliśmy rozczerzeni, a po przemówieniu orkiestra zagrała dla nas „Góralu, czy ci nie żal” i tu już lży niejednemu potoczyły się z oczu. Wiedzieliśmy, czego dokonaliśmy, ale nie wiedzieliśmy, co nas czeka tam. Statek skutkiem przejścia załogi i pasażerów na jedną stronę, był jakby przechylony w stronę nadbrzeża. Wyglądało to, jakby składał ukłon ziemi szkockiej w naszym imieniu. Po odbiciu od brzegu i przepłynięciu paru mil morskich, mgła i deszcz prysły jak mydlana bańka, a pokłady załały promienie wiosennego, majowego słońca.

Podróż przebiegała sprawnie, bez żadnych zakłóceń, z wyjątkiem jednego, kiedy to po pożegnaniu na pokład weszli po cywilnemu przedstawiciele policji i po krótkich targach, zabrali jednego z naszych, eks-żołnierzy, który obiecał się ożenić z Angielką, ale słowa nie chciał dotrzymać, a ponieważ kobiety są tam pod szczególną opieką królowej, nie wiem jak się ta sprawa skończyła. Na statku jedni siedzieli zadumani, inni grali w karty, a jeszcze inni po prostu się opalali.

W czasie podróży mieliśmy kilka alarmów, szczególnie przy przejeździe przez cieśniny Skagerrak i Kattegat, gdzie ciągle jeszcze można było nadziać się na błakające miny¹⁰⁰. W nocy prawie nikt nie spał. Około północy okręt został zakotwiczony na wysokości Gdańska. Wczesnym rankiem podjechał do naszego statku holownik z pilotem, straż graniczna i urząd celny, proponując wymianę funtów, dolarów i innej waluty na złote.

Straż graniczna z celnikami sprawdzała nasze książeczki wojskowe. W godzinach przedpołudniowych statek wpłynął do portu, przycumował, my zaś z bagażami przygotowaliśmy się do wyokrętowania. Oczom naszym ukazał się taki oto widok: na redzie witała nas orkiestra wojskowa, zaś cały plac obstawiony był wojskiem z karabinami gotowymi do strzału. Za tym kordonem ludność cywilna, jedni witali nas owacyjnie, inni machali i gestami dawali nam do zrozumienia, byśmy nie wysiadali. Możliwość taka oczywiście istniała, bo

¹⁰⁰ Oczyszczaniem północno-zachodnich wód europejskich z min zajmowała się po wojnie German Mine Sweeping Administration (Niemiecka Administracja Trałowania Min). Znajdowała się ona pod brytyjską kontrolą, jednak złożona była z marynarzy niemieckiej floty wojennej (Kriegsmarine) oraz ich okrętów przeciwinowych, które przetrwały wojnę.

Podpis żołnierza Stefanik Władysław

Książeczkę założono dnia 9 kwietnia 1946 r.

Odnosnie stawek dziennych żołdu i dodatków patrz str. 4-9.

D-CA SZWADRONU

(podpis d-cy oddziału)
WOŁOSZYN

WYPŁATY GOTÓWKOWE

Data wypłaty	za czas od — do:	Wypłacona kwota (wymień walutę)		Nazwa oddziału wypłacającego (skrót)	Podpis organu płatniczego
z przeniesienia 52-87-15 sw. Dozwolenia					
11.4.46	1-10.4.46	1.	14.0	—	Amur
20/11.46	11-20/11.46	1-	14-0	-11-	Amur
30/10.46	Wyst. lat	1-	10-0	—	Amur
1-	20-30.11	1-	14-0	—	Amur
11.5.46	1-10.5.46	1.	14.0	—	Amur
21.5.46	11.5-20.5.46	1.	14.0	—	Amur
21.5.46	21.5-31.5.46	1.	17.4	—	Amur
21.5.71	21.5-31.5.46	1.	5.10	—	Amur
13/6.46	1-10/6.46	1-	14-0	-11-	Amur
21.6.46	11-20.6	1.	14.0	—	Amur
30.6.46	21-30.6	1.	14-	—	Amur
10/7.46	1-10/7.46	1-	14-0	-11-	Amur
Wypłacono razem		EXCHANGE MADE N° 14			
do dnia		194..... r.			

według wyjaśnień statek był jeszcze na terytorium neutralnym. Pod wrażeniem schodziliśmy trapiem ze statku wg kolejności pokładów. Podstawione już były wagony towarowe tzw. „winiarki”, do których nas załadowano (skąd my to znamy) i przewiezieni zostaliśmy do obozu we Wrzeszczu. Tu po wyładowaniu się, zostaliśmy wprowadzeni do obozu ogrodzonego wysokim płotem z drutu kolczastego, wokół którego stały posterunki wojskowe i krążyły patrole. Z obozu nikt nie mógł wyjść. Tam rozlokowano nas w drewnianych barakach, a wieczorem rozdano nam posiłek, chleb, kawałek kiełbasy i menażkę zupy, którą wydawała z wojskowego kotła potężnie zbudowana kobieta. Zupę nalewała litrową chochłą na trzonku.

W obozie należało załatwić masę różnych spraw i formalności, jak wywiad przeprowadzony przez Urząd Bezpieczeństwa, badanie lekarskie, fotograf, wypełnianie różnego rodzaju ankiet. By wyrobić sobie w możliwie krótkim czasie kartę repatriacyjną, trzeba było nie lada sprytu, gdyż dopiero po otrzymaniu karty repatriacyjnej, można było myśleć o wyjeździe.

Poważnym zgrzytem było powiadomienie nas, że wszystko przywiezione przez nas będzie podlegało ocenie, łącznie z papierosami, których mieliśmy duże ilości, gdyż każdy żołnierz otrzymał żołd i przydział papierosów na sześć miesięcy od daty opuszczenia Anglii. Wprawdzie cło nie było zbyt wysokie, lecz, jak wszyscy stwierdzili, niesłuszne. I tu każdy musiał sobie radzić na swój sposób, jak zdobyć pieniądze na opłatę cła. Ja po prostu wziąłem parę zelówek skórzanych, podszedłem do drutów i sprzedałem je za 800 zł i przy okazji kupiłem jeszcze butelkę „perełki”. Kto nie mógł zdobyć złotych, miał trudności.

Obrazek z tegoż obozu: w kolejce po obiad stała przede mną kobieta, przypuszczalnie taki sposób wydawania obiadu zobaczyła po raz pierwszy. Po właniu zupy do menażki, zemdląca, jak się okazało, była to Angielka, żona polskiego lotnika. Trudno zgadnąć, co naopowiadał jej o naszym kraju, a co naocznie zobaczyła. Po załatwieniu formalności, a trwało około dwóch tygodni, zebrała się nas pokaźna grupa wyjeżdżających w kierunku Przemyśla, Rzeszowa, Krakowa i Katowic. Po dołączeniu do odpowiedniej grupy i transportu, odjechaliśmy w głąb kraju. Transport jechał w miarę możliwości ruchowo-technicznych, często staliśmy pod semaforami. Jechaliśmy magistralą węglową Gdańsk–Katowice. Po przybyciu do Katowic, zgrupowaliśmy się na peronie, z którego odjeżdżał pociąg po szerokim torze do Przemyśla. Nad bagażem czuwaliliśmy na zmianę, gdyż zdarzały się kradzieże w biały dzień, nie mówiąc już o nocy. W tym kierunku jechało nas kilku, zajęliśmy sobie, mając doświadczenie, jeden kąt, na środku którego stał, mimo lata, piecyk. W przeciwnym rogu była wycięta dziura w podłodze, co stanowiło ubikację. Przez cały czas podróży żywiliśmy się własnym prowiantem, mieliśmy jeszcze angielskie konserwy i to, co mogliśmy kupić na stacjach od przygodnych sprzedawców.

Przez całą drogę byliśmy w centrum zainteresowania podróżnych, gdyż byliśmy w swoich eleganckich mundurach angielskich, tylko bez broni. Zresztą żołnierzami mieliśmy być jeszcze do czasu demobilizacji przez władze polskie.

Z konieczności dojechałem do Przemyśla, jako że pociąg ten był pośpieszny i nie zatrzymywał się w Żurawicy. W Przemyślu przesiadłem się do pociągu jadącego do Żurawicy. W wagonie podszedł do mnie oficer radziecki i zapytał: „Wy z armii Andersa?”. „Da, da” – odpowiedziałem. „A was jeszcze mnoho?” „Mnogo, mnogo” – odpowiedziałem i na tym rozmowa nasza się skończyła. W Żurawicy nikt na mnie nie czekał, nie było mądrego w tym czasie, który by wyliczył przyjazd. Ze stacji do domu dotarłem tylko z częścią bagażu, reszta została na stacji u znajomych. Idąc uliczką do domu, spostrzegłem na ogrodzie matkę ogartającą ziemniaki. Powiedziałem więc: „Szczęść Boże, pani Stefanikowa”. „Daj Boże” – odpowiedziała matka. „Czy syn pani przyjechał już z Anglii?” „Proszę pana, jeszcze nie, ale ma przyjechać”, po czym krzyknęła: „Władziu, przecież to ty!”. Łzom i uściskom nie było końca. Matki nie widziałem od 1939 roku, kiedy to wyszedłem z domu, mając siedemnaście lat.



Drużyna „Piasta” Legnica. Drugi z lewej kapitan zespołu Władysław Stefanik



Zawodnicy „Piasta” Legnica. Szósty z lewej Władysław Stefanik

CZĘŚĆ IV

W kraju

Dnia 27 maja 1947 r. udałem się do WKR¹⁰¹ Przemyśl, celem dokonania czynności demobilizacyjnych. Przyjął mnie młodziutki oficer w stopniu porucznika. Po oddaniu książeczki wojskowej „Army book”, przepisywano do tutejszej książeczki PRL, odznaczenia i inne dane. Nie wpisywano tylko niektórych szczegółów, które im nie pasowały. Między innymi z książeczki tej zabrano mi zaświadczenie o ukończeniu kursu instruktora wychowania fizycznego wydanego przez angielską szkołę w York. Wpisali mi również wszystkie odznaczenia, z wyjątkiem Medalu Wojska Polskiego¹⁰². Otóż wspomniany oficer nie chciał go wpisać twierdząc, że Wojsko Polskie było tutaj i tu walczyło. Na to ja grzecznie odpowiedziałem, że ja też byłem w Wojsku Polskim i też walczyłem z tym samym wrogiem. Zdenerwowany zabrał książeczkę i udał się do innego pokoju. Po dość długim czasie wrócił ze słowami: „Uznaliśmy wam”. Z Przemyśla wróciłem już zdemobilizowany, zdjąłem mundur, powiesiłem na wieszaku i zacząłem życie cywilne.

Zaraz na początku nałożono na mnie „miły” obowiązek meldowania się co sobotę na posterunku Milicji Obywatelskiej.

Będąc jeszcze w obozie gdańskim, koledzy R. Rogocz i L. Goździk namawiali mnie, bym został w Gdańsku i razem z nimi zgłosił akces do Lechii, lecz stanowczo odmówiłem, (czego później nieco żałowałem). Na miejscu w Żurawicy zaś uległem namowom kolegów i zasililem rodziną „Żurawiankę”, grając oczywiście amatorsko.



„Żurawianka” w ostatnim meczu przed fuzją z „Czuwajem”, 1948 rok, Autor szósty z prawej

¹⁰¹ WKR – Wojskowa Komenda Rejonowa.

¹⁰² Właściwa jego nazwa brzmiała Medal Wojska.

Od dnia 1 czerwca podjąłem pracę na PKP w Punkcie Rozdzielczym Apropowizacji, którego kierownikiem był p. Jan Dąbek, kierownikiem stołówki Teofil Gruszczyński, a pracownikami: Eugeniusz Draganowski, Jan Krypiakiewicz, Józef Kot, Jan Mielniczek i Jan Beń, a później Maria Gałązka. Naczelnikiem stacji był p. Slipko, a zastępcą p. H. Dzikowski.

W Żurawiance (ludowo-kolejowym klubie) grałem do fuzji z Czuwajem do 1948 r. Nieco wcześniej namówił mnie kolega K. Malczyk, bym wyjechał do Legnicy (na tak modny wówczas zachód). Rzeczywiście w Legnicy zostałem przyjęty do pracy w lokomotywowni, naczelnikiem której był przemyslanin p. Redlich. Początkowo mieszkalem u kolegi Malczyka, a po ślubie w Żurawicy, wraz z żoną zamieszkałem w mieszkaniu odstąpionym mi przez kolegę J. Procia, który powrócił do Żurawicy. Następnie otrzymałem mieszkanie lepsze, służbowe przy ul. Marii Curie-Skłodowskiej.

Jak na ówczesne warunki zarabiałem względnie dobrze. Pracowałem jako pomocnik na dźwigu, uczęszczając do wieczorowej szkoły zawodowej, dyrektorem której był p. Dobrowolski. Po ukończeniu szkoły otrzymałem dyplom czeladnika w zawodzie ślusarskim. Ukończenie tej szkoły w znacznym stopniu zawdzięczam koledze B. Szwedzickiemu.

Po połączeniu służb mechanicznej i ruchowej powstało tzw. RMO. Zaistniała też możliwość zapisania się do dwuletniego Technikum w Gdańsku z oderwaniem od pracy, co



Świadectwo egzaminu czeladniczego

skwapliwie chciałem wykorzystać, wnosząc podanie i odpowiednio wypełnioną ankietę. Jednak tu spotkała mnie odmowa ze strony Komitetu Węzłowego PZPR, przy czym dawano mi jeszcze szansę, lecz pod warunkiem, że pracował będę w kontrwywiadzie, czyli będę tak zwanym „kapusiem”.

Ponieważ stanowczo odmówiłem, zaczęto mnie szykanować. Po prostu podstawiano kogoś ze swego otoczenia, który prowokował rozmowy, po czym donosił do UB. Na przykład w jednym wypadku zapytał: „Władek, jak tam było w wojsku u Andersa?”. Odpowiedziałem: „Co ci będę opowiadał, tam miałem tyle żołdu na 10 dni, ile tu pensji na miesiąc”. Było to prawdą, co mogłem udowodnić posiadaną książeczką żołdu.

W niedługim czasie dostałem wezwanie do stawienia się w Urzędzie Bezpieczeństwa w Legnicy. Zgłosiłem się o oznaczonej godzinie. Tam ubek, Polak, który wyjąwszy z sejfu plik papierów, prawdopodobnie donosów, zaczął zadawać mi pytania, przytaczać, co i kiedy mówiłem, przy czym cały ten czas jego pistolet leżał na stole, prawdopodobnie celem zastraszenia. Jedno z pytań dotyczyło między innymi ankiety personalnej, do której wpisałem zgodnie z prawdą, że w 1939 roku zostałem aresztowany w okolicy Lwowa przez NKWD i przebywałem na Sybirze. Wymieniony ubek zaczął mnie „uświadamiać”, że nie byłem aresztowany, tylko internowany, na co odpowiedziałem mu, że internowany może być tylko żołnierz w mundurze, a ja byłem cywilem i to jeszcze niepełnoletnim. Za powyższe otrzymałem ostrą reprymendę i oświadczenie, że jeśli będę się upierał przy swoim i będę niepoprawny, to mogę z tego urzędu już nie wyjść, nie zobaczyć dziecka, które akurat mi się parę dni temu urodziło.

W międzyczasie było bardzo dużo innych pytań i zarzutów, prawdziwych i zmyślonych, które starał mi się wmówić ów Polak. Po powrocie do zakładu pracy, zwierzchnik mój, bardzo fajny facet, urodzony w Kowlu, wezwał mnie do siebie. Musiałem wyglądać bardzo przynębiająco, bo zapytał mnie, o co im chodziło? Opowiedziałem mu mniej znaczne szczegóły, ze względu na podpisane oświadczenie, że o tym, co było w UB, nikomu nic nie opowiem. Ten, kiwając głową, powiedział mi, że oni taką metodę stosują do tych, których chcą pozyskać na swoje usługi, jest to metoda zwana „łamuszką”.

Później niejednokrotnie wzywano mnie do tzw. „referenta politycznego”, gdzie wypytywano mnie o pracę, o współpracowników i zwierzchników. Ponieważ niewiele się ode mnie można było dowiedzieć, byłem wzywany coraz rzadziej. Kiedy raz przyciśnięty: „Jak to wy nie wiecie, co wasz zwierzchnik robi?”, powiedziałem: „Wiem” i powiedziałem, że na jakieś uroczystości, kiedy grano hymn państwowy, zwierzchnik nie stał na baczność. Myślałem, że go krew zaleje. Mimo wszystko odbijało się to na mojej psychice, a jeszcze więcej na pracy zawodowej.

Byłem w tym czasie referentem socjalnym, podreferendarzem w 8 grupie. W międzyczasie ukończyłem kurs księgowego, którym nigdy nie byłem. Nie widząc dalszej perspektywy awansu (UB), po pięcioletnim pobycie w Legnicy, napisałem podanie o przeniesienie do DOKP Kraków, a miesiąc później złożyłem wypowiedzenie z pracy. Przez cały czas pobytu w Legnicy grałem w klubie Piast Legnica, ponadto byłem instruktorem piłki nożnej drużyn juniorów. Z tytułu zaangażowania się w sport, miałem jednak pewne względy, gdyż prezesem klubu był F. Jaźwiec, wypowiedzenie moje wszyscy przyjęli z żalem, lecz przyczyny nikt się nie domyślał.

Wypowiedzenie pracy uzasadniłem tym, że tutaj urodzone dziecko często choruje i zaleceniem lekarzy była zmiana klimatu. Bardzo dużo zawdzięczam lekarzowi rejonowemu dr. Pianko, który wystawił mi takie zaświadczenie, które dołączyłem do podania o przeniesienie. Ponieważ żona częściej przebywała z dzieckiem u rodziców w Żurawicy, w tej sytuacji również wiele pomagał mi dr. Pianko, udzielając zwolnień od pracy.

Sprawę przeniesienia obiecał mi załatwić pomyślnie kolega Emil Szal, który był kolegą z ławki szkolnej z Edwardem Perykaszą, w tym czasie naczelnikiem oddziału IX DOKP Kraków. Człowiek ten znał osobiście i mnie i żonę z czasów pracy w Żurawicy jako dyżurny ruchu. Jak się później okazało, pan ten niewiele chciał rozmawiać nawet ze swoim kolegą ze szkoły.

Dochodząc do wniosku, że z przeniesienia nic nie wyjdzie, odczekałem resztę pozostałych dni wypowiedzenia i 31 maja 1953 r. po zlikwidowaniu mieszkania, wieczorem wy-

P. K. P.

Dyrekcja Kolei Państwowych w Polskie Koleje Państwowe
Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych
w WROCŁAWIU BIURO KSIĘGOWOŚCI

Oddział _____ w _____

Nr Ks 5a-13/426/51

ŚWIADECTWO

złożonego egzaminu

Imię i nazwisko Stefanik Władysław

Tytuł służbowy starszy adiunkt

Nazwa służbowa _____

ur. dnia 16. IV 1 922 r. w Żurawica p. Przemyśl

poddał się dnia 24 stycznia 19 52 roku przed

Komisją Egzaminacyjną egzaminowi na księgowego

w myśl § _____ lit. _____ Przepisów o służbie przygotowawczej

i egzaminach pracowników P. K. P. i złożył powyższy egzamin z wynikiem dostatecznym.

Wrocław, dnia 13 lutego 194 52 r.

Protokółant: _____ Pieczęć: _____ Przewodniczący: _____

P. K. P. Seria A 71 - V. 48. 56.000. Zakłady Graficzne P. K. P. w Krakowie

Świadectwo egzaminu na księgowego

jechałem z Legnicy. Nieliczni wierni koledzy odwiedzili mnie aż do Wrocławia. Po powrocie do Żurawicy podjąłem pracę w PRK 14, a później w PRK 9, w charakterze dyspozytora transportu kolejowego ze względnie dobrym uposażeniem. Najpierw w Przemyśle, a później w Horyńcu i Medyce (wiadomo, że powracających z ziem odzyskanych na PKP zatrudnić nie było wolno). Pracując w transporcie kolejowym PRK 9, miałem ułatwione zadanie, znając stosunki na PKP, na które nie chciałem wracać pod żadnym pozorem i chyba dlatego nie miałem kłopotów z UB.

Pracował ze mną były kierownik trakcji w Żurawicy p. Sawicki, któremu moja praca bardzo się podobała i opowiedział o mnie kontrolerowi Oddziału Mechanicznego w Żurawicy inż. Mieczysławowi Batschowi¹⁰³, który kazał mi wnieść podanie. Oświadczyłem p. Sawickiemu, że na kolej nie chcę wracać, więc podanie za mnie napisał sam.

Będąc na urlopie, zapomniałem o sprawie, tymczasem listonosz przyniósł mi wezwanie, by zgłosić się do Oddziału Mechanicznego w Żurawicy, w sprawie przyjęcia do pracy. Z ciekawości zgłosiłem się. Wstępnie zaproponowano mi stanowisko rzemieślnika, z moż-

¹⁰³ Mieczysław Batsch to znany napastnik Pogoni Lwów i reprezentacji Polski oraz olimpijczyk z Paryża 1924 roku.

liwością przejścia do trakcji. Propozycja była względnie dobra, toteż postanowiłem ją przyjąć. Po odpracowaniu w PRK 9 „czternastki”, będąc jeszcze na urlopie, podjąłem pracę dyspozytora na odmrażalni rudy.

W wyniku przejścia na emeryturę kierownika trakcji L. Sawickiego, referenta napraw parowozów p. Jabłońskiego i dochodzeniowca, p. Chudz, stanowisko kierownika trakcji objął p. Kuczyński. Wakowały natomiast pozostałe stanowiska, tak w jednym jak i drugim wypadku nikt żadnych spraw nie prowadził, a akta się zbierały i tu przypomniał sobie o mnie naczelnik Batsch. Wezwał mnie do siebie, by zorientować się, co ja potrafię w tej sprawie zrobić. Oczywiście zagadnienia te znałem jeszcze z Legnicy. O ile ze spraw planowania parowozów do napraw i związanej z tym dokumentacji można było dość łatwo wybrnąć, o tyle sprawa dochodzeń przedstawiała się beznadziejnie, ze względu na zbyt dużą ilość nagromadzonych akt.

Oświadczyłem, że zajmę się tą sprawą z tym, że do miesiąca miał być już na stanowisku właściwy dochodzeniowiec (z RS Żurawica miał być przeniesiony p. W. Skoczylas). Inżynier Batsch wypowiedz moją przyjął z niedowierzaniem i pewną troską: „W jaki sposób pan to


DYREKCJA OKRĘGOWA KOLEI PAŃSTWOWYCH
w Gdańsku
OŚRODEK SZKOLENIA ZAWODOWEGO
w Gdańsku - Słogach



Nr 26/59

ŚWIADECTWO

Ob. Władysław Stefanik
majster
(stanowisko, miejsce pracy)

Parowozownia - Żurawica

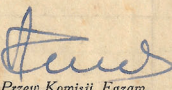
urodzony dnia 16. IV 1922 r. w. Żurawicy
pow. Przemyśl uczęszczał na kurs II stopnia
na stanowisko majstra napraw
parowozów (nazwa kursu)

przewodzony w okresie od 22. I / 1959 r. do 20. X / 1959 r.
w Gdańsku - Słogach ukończył go z wynikiem ogólnym
dobrym (ocena)

Gdańsk, dnia 20. listopada 1959 r.

(Pieczęć okrągła)

 Kierownik Ośrodka

 Przew. Komisji Egzam.

PKP Seria A Nr 113 PDK Poznań Nr 2327 12. 57 2.000 bezd/z. kl. III 80 g.

Świadectwo kursu majstra napraw parowozów



Mecz kawalerowie–żonaci na stadionie „Żurawianki”, Autor klęczy trzeci z lewej

załatwi?”. Gdy jeszcze tego samego dnia do poczty i podpisu przyniosłem stertę akt, inżynier popatrzył z niedowierzaniem, lecz kiedy zaczął przeglądać i podpisywać, twarz coraz bardziej mu jaśniała i omal okulary nie spadły mu z nosa. Załatwiłem to w prosty sposób, w każdym akcie kolejowym można się dopatrzyć jakichś nieścisłości, stąd większą część była wysyłana celem dodatkowych wyjaśnień, przesłuchań, bądź innych wyszukanych nieścisłości. Obiecałem następnego dnia doręczyć pozostałą porcję akt sprawy i zanim to wszystko wróci, to będzie już p. Skoczylas i będzie prowadził je na bieżąco.

Naczelnik popatrzył na mnie spod wiszących na nosie okularów i powiedział z uśmiechem: „Panie Stefanik, ja na kolei zęby zjadłem, ale nie wpadłbym na taki pomysł, oczywiście tego panu nie zapomnę”.

W niedługim czasie w Lokomotywni utworzono stanowisko majstra obrządzania. Wezwał mnie naczelnik Batsch i powiedział, że na to stanowisko nikt się nie nadaje i tylko pan sądzę, że go przyjmie. Oczywiście stanowisko przyjąłem i zostałem awansowany do ósmej grupy i podpisałem oświadczenie, że w ciągu roku uzupełnię kurs majstra. W pół roku później wezwała mnie p. Karpińska, proponując kurs majstra napraw lokomotyw do Gdańska na okres trzech miesięcy, przy czym radziła mi osobiście jechać, gdyż kursu majstrów obrządzania mogą w najbliższym czasie nie organizować. Wspomniany kurs w Gdańsku ukończyłem z wynikiem dostatecznym. No i zaczęło mi się marzyć stanowisko majstra napraw lokomotyw. Ponieważ byłem jedynym bezpartyjnym majstrem, zaczęto mnie namawiać do wstąpienia do partii. Odmówiłem stanowczo, argumentując to odmową przez partię wysłania mnie do Technikum w Gdańsku i zatrudnienia na stanowisku księgowego. Niedługo po mojej odmowie zapisania się do PZPR zostałem wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa w Przemyśle.

Obskoczyło mnie czterech zbirów w skórzanych kurtkach i zaczęło męczyć pytaniami od babci do dziadka, od Sybiru po Legnicę i PRK 9. Po kilkugodzinnej „męce” oświadczone mi, iż zostanę na stanowisku, jeśli podejmę pracę w kontrwywiadzie (znałem to z Legnicy). Z głupia frant, zapytałem, na czym ta praca ma polegać. „No wiecie, macie w zespole bardzo dużo ludzi, (w tym czasie około 120). Dużo z nich wyjeżdża do Rosji i na Zachód, macie kontakt z drużynami z lokomotyw. Będziecie prowokować rozmowy i wyciągać, co przywieźli, u kogo

byli, z kim rozmawiali i będziecie się spotykać z nami. Nasz punkt kontaktowy będzie w prywatnym mieszkaniu przy ulicy Wałowej 4”.

Wysłuchawszy to wszystko, oświadczyłem stanowczo, że do takich spraw ja się nie nadaję, niech robi to kto inny. Myślałem, że ich szlag trafi, a wywijającymi pistoletami rozwalą mi głowę, ale żaden mnie nie uderzył. Najbardziej agresywny był „Michał”, nie wiem, czy to imię czy pseudonim. Wezwania takie dostałem jeszcze kilka razy, przed każdym z nich wstępowałem do kościoła OO. Franciszkanów, na krótką modlitwę. Wcześniej prosiłem kolegów S. Czerwińskiego lub F. Jędrucha, żeby dali znać do domu, gdybym nie wrócił, że zostałem wezwany do UB. W grudniu 1960 roku otrzymałem służbowe przeniesienie do Lokomotywni w Przeworsku, a jako uzasadnienie podano, że dla dobra służby; napisałem odwołanie i pojechałem ze skargą do Dyrektora DOKP w Krakowie.

Dyrektor Perykasa mnie nie przyjął, gdyż rzekomo go nie było. Przyjęty zostałem przez Dyrektora d/s administracyjnych, żołnierza, który dość szczerze ze mną porozmawiał. Rozważając moją skargę, powiedział: „Niech się pan nie martwi, to jakieś nieporozumienie, my przenosimy tylko samotnych i na własne żądanie. Sprawę wyjaśnimy i wszystko będzie dobrze”.

Sprawa trwała dość długo. Jakież było moje zdziwienie, kiedy to pod koniec kwietnia otrzymałem decyzję podtrzymującą moje przeniesienie, bez prawa odwołania. Ostateczne podpisane tym razem przez dyrektora Józefiaka. Według mojego rozeznania, motorem całej akcji był naczelnik Lokomotywni Żurawica, współpracownik UB. Nie było żadnej siły na tych zbirów i od dnia 1 maja 1961 r. rozpocząłem pracę w Lokomotywni Przeworsk. Nie było tam etatu majstra obrządzania, ponieważ wg etatów Lokomotywni tej jako II klasy etat nie przysługiwał. Etat taki utworzono dopiero po roku i dopiero od tego czasu pracowałem na właściwym stanowisku. Przez rok zaś wykonywałem prace tak zwane zlecone przez zwierzchnika, do lepienia obrazków na korytarzach włącznie. Do Przeworska dojeżdżałem codziennie 100 km w obie strony przez okres dziesięciu lat i dwóch miesięcy.

Przypadek zrządził, że znalazłem się jako były kombatan na zebraniu Koła ZBoWiD w Żurawicy. Na zebraniu tym padł wniosek o powołanie mnie na sekretarza koła. Podziękowałem za wybór, oświadczając, że stanowiska takiego nie mogę przyjąć z tego względu, że dojeżdżam do pracy w Przeworsku i nie dysponuję czasem na taką działalność. Na to będący na zebraniu wiceprezes powiatowego zarządu ZBoWiD Józef Szymkowiak oświadczył, żebym przyjął to stanowisko, a on mi załatwi przeniesienie. Podjęcie pracy uwarunkowałem przeniesieniem. Sprawę oczywiście załatwił dość szybko, jako że miał znajomości w Urzędzie Bezpieczeństwa.

Przy okazji dowiedziałem się, kto krył się za moim przeniesieniem, gdzie uzasadnieniem było to, że na terenie Żurawicy nie może pracować żaden Andersowiec. Jako były pancerniak z egzaminem majstra, zostałem skierowany do Samochodowni w Przemyśle na p. o. kierownika tej jednostki. Będąc p. o. kierownika, nie miałem praktycznie żadnej odpowiedzialności, stąd też w bardzo krótkim czasie uporządkowałem wiele spraw, które mogły zaszkodzić byłemu kierownikowi, tak sprawy sprzętu jak i osobowe. Po mianowaniu na to stanowisko Stanisława



Autor w mundurze kolejarza

Łuszczki, ponownie zostałem przeniesiony do Żurawicy. Objąłem dotychczasowe swoje stanowisko majstra obrządzania, zaproponowano mi też stanowisko instruktora wychowawcy w szkole zakładowej. Stanowczo odmówiłem, twierdząc, że jestem bezpartyjnym i słabym wychowawcą.

W latach 50-tych corocznie składałem podania o wydanie paszportu na wyjazd do Anglii i ciągle otrzymywałem odmowę, a za przyczynę podawano, że pracuję w Żurawicy. Kiedy zostałem przeniesiony do Przeworska, złożyłem wniosek o paszport z zapytaniem, czy teraz mogę otrzymać paszport, bo już nie pracuję w Żurawicy. Po miesiącu otrzymałem odpowiedź, że każdy obywatel PRL może się ubiegać o wydanie paszportu. Będąc w Żurawicy, w następnej kadencji zostałem wybrany przez kombatanatów prezesem koła. Tu dopiero zobaczyłem, jak organizacja ta jest sterowana. Przed każdym zebraniem otrzymywałem gotowy referat, który miał być odczytany przed właściwym zebraniem. Podjąłem się tej funkcji z chęci pomocy najbardziej potrzebującym kombatanantom i wdowom po kombatantach, ale nie zawsze zgodnie z życzeniem pomoc przydzielana była najbardziej potrzebującym. Nie zawsze znajdowałem zrozumienie u decydentów w Przemyślu. Kiedy będąc w sekretariacie ZBoWiD-u w Przemyślu, spotkałem tam kombatanata artylerzystę z LWP słabosłyszącego, rozmawiającego z prezesem, urzędującym podpułkownikiem, człowiek ten w dobrej wierze poprosił: „Panie prezesie, może mógłbym dostać jakieś odznaczenie, bo mam niską rentę i nie mam z czego żyć?”. Na to pan prezes głośno: „A do partii wy należycie?”. Odpowiedź była „nie”, na to pan prezes, pokazując palcem na środek dłoni powiedział: „Jeśli do partii nie należycie, to tu mi kaktus wyrośnie”. Z urzędu tego wyszedłem jak uderzony pałą w łeb. W tej sytuacji nie zdziwiłem się, dlaczego na kilkanaście złożonych wniosków na medale Zwycięstwa i Wolności dla byłych żołnierzy 2 Batalionu Pancernego z Żurawicy, wnioski zostały zwrócone.

Okazało się bowiem, że komisja pod przewodnictwem pana majora (byłego Komendanta WKR w Przemyślu), stwierdziła, że 2 Batalion Pancerny nie brał udziału w wojnie 1939 roku.

Kiedy wraz z chorążym Łabą zorganizowaliśmy Izbę Pamięci Narodowej w moim mieszkaniu (z powodu braku lokalu), wykorzystaliśmy między innymi eksponaty z defilady 1000-lecia państwa polskiego, jak makiety karabinów, broń husarską, pancerze. Naślano na mój dom milicję z oskarżeniem, że posiadam broń. Oczywiście fama poszła w świat.

Na jednym z zebrań ZBoWiD-u proponowano sporządzanie wniosków na odznaczenia. Zabrałem głos i powiedziałem: „Po co psuć papier, skoro odznaczenia zamiast kombatanantom przyznaje się rolnikom za ilość wyhodowanych tuczników?”. Kiedy w roku 1974 złożyłem wniosek o wydanie paszportu, któryś tam z kolei, ku wielkiemu mojemu zdumieniu otrzymałem zawiadomienie, by zgłosić się w Warszawie w Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w sprawie paszportowej.

Zostałem przyjęty w biurze Dyrektora Departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i ów pan dyrektor odczytał mi jak się nazywam, do kogo chcę jechać, po co itp. itd. i zakomunikował mi o przyczynie odmowy. Otóż odmawiano mi paszportu dlatego, że: mieszkam w Żurawicy, w której jest duża jednostka wojskowa, CPN, duży port przeładunkowy, ja dużo rzeczy widzę, mam kolegów w Anglii, którzy nie wiadomo, gdzie pracują i mogą ode mnie „wyciągać pewne rzeczy”.



W podróży pociągiem do pracy w Przeworsku, Autor pierwszy z lewej



Poczet sztandarowy Koła ZBOWiD w Żurawicy na defiladę 1-majową 1979 r. Autor pierwszy z prawej

Wysłuchawszy tego wszystkiego, powiedziałem, że jeśli ktoś chce wiedzieć, ile rudy przeładowano w Żurawicy, to sobie kupi taką gazetę, która nazywa się „Nowiny Rzeszowskie” przy końcu roku i tam będzie miał napisane, dokładnie ile tysięcy, a ile kilogramów. No, ale przynajmniej po wielu latach poznałem przyczyny odmowy wyjazdu.

Wracałem do domu całkowicie przekonany, że paszportu nie otrzymam, już się z tym pogodziłem. Wielkie było moje zdziwienie, gdy po paru miesiącach otrzymałem zawiadomienie, że mam się zgłosić w Biurze Paszportów w Rzeszowie. Pojechałem natychmiast, złożyłem odpowiedni wniosek, a paszport otrzymałem już w Przemyślu, ponieważ takie biuro także i tu powstało.

Do Anglii pojechałem z żoną. Zrobiłem to celowo, by przekonać, iż nie mam zamiaru tam pozostać. W kraju została nieletnia córka. Przed wyjazdem zostaliśmy wezwani do naczelnika biura, tam wymieniliśmy dowody osobiste na paszporty, no i uświadomieni, że jako ambasadorzy PRL, mamy się tam godnie zachować itp. Pomyślałem sobie: „Synu, co ty możesz powiedzieć o świecie?”

W tym czasie naczelnikiem lokomotywni został Władysław Bełch, na stanowisko Dyrektora Rejonu Przeladunkowego awansował były naczelnik lokomotywni Żurawica. Tak więc panowanie UB nad moją osobą malało w miarę czasu. W roku 1979 jednak zostałem usunięty ze stanowiska majstra obrządzania i objąłem stanowisko przewodniczącego Rady Zakładowej w wyniku uprzednio odbytych wyborów.

Okres ten to całkowity spadek wpływów PZPR w zakładzie pracy. Tak więc bezpartyjny majster stał się nagle bezpartyjnym przewodniczącym Rady Zakładowej Lokomotywni Żurawica.

Po powołaniu w zakładzie pracy nowego Związku NSZZ „Solidarność”, przewodniczącym wybrano maszynistę, Stanisława Barana. Z przewodniczącym podjąłem ścisłą współpracę, oczywiście nieoficjalnie, mimo różnic między naszymi związkami. Każde posunięcie naszych związków było wcześniej między nami uzgadniane i jeśli jakiś protest z naszego związku wychodził, to zawsze był poparty przez NSZZ „Solidarność”, a jeśli ogłosiła strajk „Solidarność”, to zawsze, mimo oporu członków, udzielałem jej poparcia.

Ponieważ byłem w okresie przedemerytalnym, z przewodniczącym „Solidarności” ustaliliśmy, że nie przejdę do „Solidarności”, a lepiej będzie, gdy zostanę w NS ZZK (tak się ten związek nazywał).

Było to bardzo dobre posunięcie, gdyż odchodzący do „Solidarności” członkowie przekazywani byli tam wraz z deklaracjami. Pod koniec roku 1981 wspólnie z przewodniczącym „Solidarności” obliczyliśmy ilość członków i wysokości składek pracowników, którzy przeszli ze związku ZZK do „Solidarności”. Ustalona wspólnie kwota została przelana z konta NS ZZK na konto NSZZ „Solidarność”, na którą to kwotę osobiście podpisałem przelew bankowy.

Jak wiadomo, jednostki służbowe PKP otrzymywały limity na odznaczenia orderowe. Wiadomo również, że podziału tych odznaczeń dokonywały Komitety Węzłowe, na wniosek zakładu pracy, poparty przez organizację zakładową PZPR oraz związek zawodowy. Lokomotywnia Żurawica otrzymała limit na jeden Krzyż Kawalerski i o tenże rozgorzała walka. Komitet zakładowy PZPR i administracja wnioskuje kandydaturę długoletniego działacza partyjnego, majstra W. K. Przeciwko tej kandydaturze wystąpił stanowczo NSZZ „Solidarność”. Kolega Stanisław Baran zarzucił mu, iż „Solidarność” nie ma swojego kandydata, ale wnioskuje kolegę Władysława Stefanika, długoletniego pracownika PKP i kombatanta Armii Polskiej na Zachodzie. Mojej kandydaturze sprzeciwiła się tak administracja jak i PZPR; po zasięgnięciu opinii w DOKP Kraków, poparto kandydaturę W. K., odrzucając moją, jako że nie posiadałem hierarchicznie nadanych Krzyży Zasługi, brązowego, srebrnego i złotego. Taką samą argumentację otrzymał NSZZ „Solidarność”, a interwencja w DOKP Kraków nie odniosła skutku.

Przewodniczący NSZZ „Solidarność” Stanisław Baran nie dał za wygraną i interweniował w Ministerstwie Kolei, przedstawiając moje argumenty zapytał, co jest ważniejsze: czy dwukrotnie nadany Krzyż Walecznych i inne odznaczenia bojowe, czy np. Złoty Krzyż Zasługi? Oczywiście interwencja wypadła na moją korzyść, ponadto ja miałem dłuższy staż pracy na PKP.

Dość długo trwała jeszcze wojna między administracją, PZPR a „Solidarnością”, niemniej aż w wyniku zbiorowej interwencji w Ministerstwie Kolei otrzymaliśmy odpowiedź, że odznaczenia te otrzymamy. Chodziło o moje z Lokomotywni, dla kolegi Bronisława Szumęldy ze Stacji Żurawica i kolegi Ludwika Winczury z Wagonowni Żurawica. Dopiero 9 grudnia 1981 roku uchwałą Rady Państwa ordery te zostały nam przyznane.

Aktu wręczenia dokonano w Urzędzie MRN w Przemyśle, przed mającą się rozpocząć Sesją MRN. Odznaczenie tak wysokiej rangi jak Polonia Restituta niestety w PRL tak nikczemnie sprowadzone zostało do nazwy „chlebowego”. Stan wojenny zastał mnie już na emeryturze.

UZUPEŁNIENIA

Wigilia 1940 roku

*Śpij Dziecino w noc cichą o tak i w spokoju
A nasz rodak podąża i w trudzie i znoju,
Idzie – marzy o Polsce, tak dla niego żywej,
W pamięci niezapomnianej, a tak prawdziwej...*
Uchta-Komi ASRR¹⁰⁴

W dniu Wigilii nawet i „stachanowcy”¹⁰⁵ nasi nie poszli do pracy. Na dworze mróz siarczysty dochodzący do 60 stopni Celsjusza. Śnieg skwierczał pod naciskiem resztek butów lub trepów wykonanych własnym przemysłem. Wydawało się, że wszystko potrzaska od wielkiego mrozu. Niebo czyste bez chmur skrzyło się od gwiazd, które filuternie do nas mrugały, dając błysk nadziei. Świeże powietrze zamrażało nam oddech przy każdym ruchu. Co odważniejsi i wysportowani wypuszczali się na wypad wokół baraku. Śnieg, który spadł sięgał nie po kolana, a po pas, tak że często rano był problem jak odkopać drzwi z zasp śniegu, aby wydostać się na zewnątrz.

Myślimy i dumamy jak ten dzień wigilijny uczcić, czym uświetnić, aby był inny od poprzednich. Nawet największy spryciarze nic nie mogli wymyślić. Jednym ze zmartwień był brak opłatka, bo tradycja to wielka rzecz. Ona nie przemija, ona nie ginie nawet w tych okolicznościach, w niej zawsze była taka dziwna moc i siła. Po naradzie zapadła zgodna decyzja: każdy oddaje kromkę chleba czarnego (jeśli można go było nazwać chlebem), którym będziemy się dzielić zamiast opłatkiem.

Nadszedł wieczór. Spokój i cisza w baraku, jak i też w całym obozie. Każdy w tym dniu był ze swoimi myślami siedząc w półmroku. Powoli zaczynamy się zbierać i gromadzić wokół pieca jedyne w całym baraku, gdzie zawsze toczyły się najbardziej zażarte dyskusje i skąd też wychodziły najświeższe wiadomości i plotki. To był „pępek” naszego życia w łagrze.

Zebrał się już prawie wszyscy, bo każdy chciał wziąć udział w tej rodzinnej uroczystości. Chociaż byliśmy otoczeni pięknym i bogatym lasem z sosen, jodeł i choinek, to tym razem jej dla nas zabrakło. „Nielzja”¹⁰⁶ – to była odpowiedź naszych „rukowoditeli”¹⁰⁷. A mimo to udało nam się urwać kawałek gałązki z choinki jak i też skombinować kilka arkuszy białego papieru, który zastąpił nam, obrus o śnieżnej białości.

Najstarszy wiekiem wśród nas Kazimierz Surówka pobłogosławił chleb zastępujący opłatek i złożył życzenia krótkie, żołnierskie. One były jedne dla wszystkich: powrót do kraju, odzyskanie wolności i połączenie się z rodzinami. Skromne słowa bez patosu i krótkie,

¹⁰⁴ Uchta to miejscowość położona w północnej Rosji po zachodniej stronie gór Ural. W czasach ZSRR, od 1936 roku Uchta leżała w Komijskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Na jej terenie mieściły się liczne radzieckie obozy, do których zsyłano między innymi tysiące Polaków.

¹⁰⁵ W ZSRR tak nazywano robotników, którzy uczestniczyli w ruchu przodownictwa pracy. Określenie wywodzi się od radzieckiego górnik Aleksieja Grigorjewicza Stachanowa, któremu przypisano wydobyć 102 ton węgla podczas jednej zmiany, co stanowiło 1475% normy.

¹⁰⁶ Po rosyjsku: „Nie wolno”.

¹⁰⁷ Po rosyjsku: „przełożonych”. Tutaj zapewne chodzi o władze obozowe.

a tyle w nich treści, przeżyć i tragedii nie ludzi, ale całego narodu polskiego. To było to, o co polski żołnierz bił się i walczył.

Kolega Surówka nie był staruszkim, był w sile wieku – jeszcze pięćdziesiątki nie przekroczył, ale nastroj, okoliczności i wrażenia chwili nie pozwoliły jemu mówić dalej. Spojrzenie, uścisk dłoni czy pocałunek braterski był większą wymową, aniżeli słowa najlepszych mówców i kaznodziei.

Cisza zaległa w przyćmionym baraku, aby za chwilę wybuchnąć jasnym płomieniem ciepła, radości i otuchy. To stara pieśń – kolęda „Bóg się rodzi moc truchleje” – rozległa się i płynię od jednego końca stajni do drugiego. Takiego śpiewu nikt z nas nie słyszał przez wiele lat i nikt tego nie usłyszy więcej. W tym była wiara i przeżycia młodych chłopców – junaków, jak i mężczyzn w średnim wieku. Kolędy rozładowały ten smutny dla nas dzień. Każdy po tych życzeniach nabrał siły i wiary w lepszą przyszłość.

Delegacje z innych baraków przychodziły składać nam życzenia. Koledzy odwiedzają kolegów, przyjaciele przyjaciół, a co szczęśliwsi swoich krewnych, aby być razem w Dniu Narodzenia Pańskiego jak najbliżej siebie.

Na Boże Narodzenie do pracy nie poszliśmy, bo jedyny duży termometr usytuowany na budynku Komendy Obozu roztrzaskał się, gdyż miał skalę tylko do minus 60 stopni. Tam trzeba było być, by widzieć i słyszeć, bo tego nie da się opisać...

Wigilia – rok 1941 Tockoje (ZSRR)

Każdy, kto tylko potrafił, zdążył do formującej się Armii Polskiej w ZSRR. Szczęśliwie dobrałem do „zbawiennej” miejscowości Tockoje gdzie wcielony zostałem do 6 Dywizji Piechoty – Batalion Rozpoznawczy „Dzieci Lwowskich”.

Wicher wzmagał się, małe drzwi do ziemianki otworzyły się na ich całą szerokość, do środka gęsiego zaczęli wtłaczać się ludzie, przeważał gwar mowy wileńskiej i lwowskiej. Odliczono ilość obecnych i dokonano pobrania chleba. Z kocami pełnymi chleba ludzie ci wracali do swoich „mieszkań” – namiotów lub ziemianek. Na klepisku służącym nam za pryzce rozpostarto kocy z chlebem, ktoś przyniósł piłkę do drzewa, ktoś inny sporządzoną prymitywnie wagę. Atmosfera podniecająca, każdy pchał się w pobliże koca z chlebem, aby chociaż w mdłym blasku „kopciłki” nasycić oczy ilością bochenków dzielonych na pajdy. „Pajka”, „pajok” był celem milionów westchnień rozbitków z Polski, Rumunii, Rusi Zakarpackiej, Ukrainy, krajów nadbałtyckich, a także rdzennej Rosji.

W listopadzie 1941 roku otrzymałem nowe kufajki, dwa kocy i płaszcz fiński („trofiejna”¹⁰⁸ zdobycy w wojnie fińsko-sowieckiej), buty dostałem później, bo te ceratowe miały wąskie cholewki, a ja mam wysokie podbicie i nawet numer 45 był dla mnie za wąski, by wsadzić nogę, trzewiki dostałem dużo później.

Namiot był typową rosyjską pałatką, przy stawianiu ich jeden kilof przypadający na kompanię tylko śmigał w rękach kolejnego rębacza. Wieczorem spaliśmy już w namiotach, ogrzewanie namiotu zależało od inwencji mieszkańców. Im prędzej zdobył cegłę i blachę, tym prędzej miał ogrzewanie. We wcześniej, po usunięciu śniegu z wnętrza pałatki, przez jej środek na całej długości wybrano ziemię do połowy metra, tworząc tym samym przejście, natomiast ziemia po obu stronach przejścia stanowiła dla nas pryzce. Spod półtorametrowej warstwy śniegu wydobywano leśną ściółkę i zeschłe liście. Na tak zmontowanym materacu rozciągano dwa kocy mocując je do podłoża, a potem dobrana grupa osób układała się na jednym boku przylegając ściśle do siebie co pozwalało ogrzewać się wzajemnie. Pałatkę taką ocieplano także z zewnątrz tak zwaną trzcina, którą wszyscy zobowiązani byli nosić z pobliskiego zalewu rzeki, okładać tym namiot, a następnie przysypać śniegiem.

¹⁰⁸ Po rosyjsku: „zdobyczna”.

W grudniu otrzymaliśmy już częściowo angielskie mundury i buty, jako że chodziły słuchy, że ma nas odwiedzić gen. Sikorski.

Pewnego dnia zajechał do naszego pułku sowiecki wóz „bania” do dezynfekcji odzieży. Kierowca krasnoarmiejec¹⁰⁹, po załadowaniu kotła odzieży i włączeniu pary, zapytał czy u nas w Polsce są takie banie. Odpowiedziałem, że nie, bo i po co? Żołnierz ten machnął ręką i odrzekł: „Wot u was niet kultury”. Po kilku minutach wyrzucił wprost na śnieg całą zawartość kotła, poskręcane kufajki i bielizna, ociekały wodą, a po mokrej odzieży spacerowały dorodne wszy. Był poważny problem osuszenia takiej odzieży, bo z wszami już dużo wcześniej walczyliśmy przez codzienne jednogodzinne ich bicie. Choroby, jakie nas nękały w tym czasie to szkorbut – tak zwana „cynga”, brak witamin, krwawienie dziąseł, puchnięcie nóg.

Rzeczywiście 12 grudnia odwiedził nas gen. Sikorski w asyście dostojników sowieckich. Zbliżał się okres świąt Bożego Narodzenia, kapelani jak mogli tak zabiegali o przygotowanie duchowe rodaków. W olbrzymiej szopie-baraku urządzono ołtarz, zadbano też o możliwość przystąpienia do spowiedzi. W dzień wigilijny dowódcy kompanii składali życzenia, dzielono się różnie – i chlebem i nawet opłatkiem, składano sobie życzenia zdrowia i powrotu do kraju. Chociaż ze względu na mrozy wartę pełniliśmy tylko jedną godzinę, to akurat w czasie Wigilii miałem wartę (ktoś musiał mieć), byłem za to na pasterce. Gdy celebrians zaintonował „Wśród nocnej ciszy”, to był to nie dający się opisać śpiew, szloch i płynące z oczu łzy. Lecz już wtedy wiedzieliśmy, że niedługo opuścimy Tockoje z jego sześćdziesięciostopniowym mrozem; nie wiedzieliśmy natomiast, że niedługo dostaniemy się do kraju o pięćdziesięciostopniowym upale. Nie wiedzieliśmy, jaka jeszcze gehenna czeka nas zanim opuścimy tę nieludzką ziemię.

Boże Ciało i bierzmowanie w kraju Tamerlana

W 1942 roku w miejscowości Szachrisabz stacjonowały: Dowództwo 6 Dywizji Piechoty „Lwów”, Szkoła Podchorążych Piechoty, nasz 6 Batalion „Dzieci Lwowskich” i inne oddziały jak Kwatera Główna i Baon Sanitarny.

Nad miastem dominowały mury i ruiny zamku i wieży Tamerlana. Był on zdobywcą i twórcą państwa od Chin aż po Morze Czarne ze stolicą w Samarkandzie w latach 1336–1405¹¹⁰.

Przeglądając się tym ruinom, podziwialiśmy zdolności i pracę tego prostego ludu oraz artyzm wykonania. Były to resztki tych wspaniałych mozaik wykonanych z drobnych kamieni i marmurów. Przy pięknej i ciepłej wiośnie można było w chwili zadumy podziwiać zabytki z XIV wieku.

Zbliżało się lato. 4 czerwca 1942 r. to dla nas niezwykle dzień, to dzień Bożego Ciała. Oczekiwaliśmy na tę wspaniałą uroczystość po tylu latach poniewierki, w kraju słońca, zieleni, pięknych drzew, ogrodów, jak i wielkich upałów.

Temperatura rano 12 stopni, a w południe sięga 32 stopni w cieniu. Dlatego w tym dniu msza święta i uroczystości rozpoczęły się już o godz. 07:00 rano.

Przed mszą raport od dowódców miejscowego garnizonu odebrał ppłk K. Rudnicki w furażerce z ułańskim proporczykiem (a tak niedawno były „łagiernik”). Oprócz wojska zebrała się masa ludności polskiej z dziećmi, jak też miejscowej ludności uzbeckiej, która z zaciekawieniem przyglądała się temu.

Nastrój podniosły, a widok wspaniały. Po mszy świętej idzie procesja do czterech ołtarzy zbudowanych przez polskich żołnierzy. Wśród ciszy i blasku uzbeckiego słońca odbywają się modlitwy. Ten spokój i splendor z ich gorącym natchnieniem był nagrodą za trzyletnie cierpienia.

¹⁰⁹ Po rosyjsku: „czerwonoarmista” – żołnierz Armii Czerwonej.

¹¹⁰ Są to daty urodzenia i śmierci Tamerlana; Samarkandę zdobył w 1366 roku.

Idzie procesja. Pod baldachimem (pół prześcieradła) prowadzą celebransa z monstrancją. To tak jak w Polsce. Dziewczynki w białych sukienkach (też z prześcieradeł uszyte) z wianuszkami na głowach idą, sypiąc kwiaty pod stopy, znacząc drogę Chrystusa. Na piersiach mają krzyżyki przysłane z Anglii.

Te chwile pozostaną dla nas wszystkich niezapomnianym przeżyciem. Każdy sięga myślami do dawnych dni wolności. Modlitwy i śpiewy przy akompaniamencie dętej orkiestry (naszej wojskowej) ubogacają tę uroczystość. Przy ostatnim ołtarzu, czwartej Ewangelii następuje błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem. Uroczystość kończy się pieśnią „My chcemy Boga” i hymnem „Boże, coś Polskę”. Rozchodzimy się, opowiadając o swoich przeżyciach i wrażeniach.

Czekaliśmy na księdza biskupa polowego Józefa Gawlinę, który nie mógł przyjechać, bo miał inne obowiązki jako duszpasterz i zwierzchnik Kościoła.

Wojsko odpoczywa i spożywa obiad. Wieczorem słyszymy hejnał mariacki z ruin wieży Tamerlana odegrany przez trębaczy batalionu „Dzieci Lwowskich” a wśród nich strzelca Józia Binickiego przemysłanina.

I tak znowu płynie dzień za dniem. Cierpliwość nasza zostaje wynagrodzona, nadzieje spełniają się, ma przyjechać ksiądz biskup Gawlina.

20 czerwca w sobotę przygotowują się nasi chłopcy do bierzmowania. Dziś ma się odbyć spowiedź, pierwsza od lat, w sali miejscowego kina. To wszystko sprawia duże wrażenie na młodym żołnierzu po trzech latach okropnych przeżyć bez Boga i bez rodziny.

21 czerwca – niedziela. Rano msza święta. Po mszy wszyscy odpoczywają. Upały dają się we znaki. Po południu miał przyjechać ksiądz biskup, ale były trudności. Przyjechał wieczorem witany przez kompanię honorową z bronią. Orkiestra grała „Marsza generalskiego” (bo biskup miał stopień generała). Komendant garnizonu składa raport. Następuje powitanie i przemówienie. Co za spotkanie u stóp gór Pamiru na ziemi nam obcej i po tylu latach. Pięćioletnia Krysia Solecka odważnie deklamuje wierszyk:

„Wiem ja, bo mi o tym mama powiadała,
Żem ja dziecię tej ziemi, wiem żem Polka mała,
I wiem, jak mi Polska jest droga i miła,
Bom się w polskiej mowie pacierza uczyła...”

Ten słaby, cichy, dziecięcy głosik budzi siłę dramatu i nienawiści do tych, którzy takie dzieci, setki młodzieży i ich rodziców wywieźli i skazali na tułaczkę.

Ta mała dziewczynka mówiła lepiej aniżeli wspaniali mówcy, bo mówiła o naszym domu i pięknej ziemi ojczystej. A przy tym tak prosto, miło i serdecznie.

Podniecenie, przeżycia, poszum ciszy wieczornej, radość wojska i tłumy uspokajają nas w tej pięknej niecodziennej uroczystości, która zbliża się ku końcowi. Ksiądz biskup odjeżdża ze świątą mijając powitalną bramę. Rozchodzą się wszyscy do swoich rejonów i namiotów, bo to były nasze „domy”.

Tak to wyglądało w kraju, gdzie religia była trucizną, jak mówili jego przywódcy: „To jest tylko opium dla ludu prostego”.

Ruch ustaje. Cisza zalega. Zostajemy ze swoimi przeżyciami, które trudno opisać. To dla nas była wielka uroczystość, swoista manifestacja.

Następnego dnia 22 czerwca to dzień wolny od zajęć. Upał w południe niesamowity: 36 stopni w cieniu. O godzinie 04:00 pobudka. Hejnał mariacki gra dwóch trębaczy, garnizon szykuje się do udziału we mszy świętej. W szatach liturgicznych zbliża się do ołtarza ksiądz biskup z klerem. Modlą się wszyscy. Orkiestra gra pieśni religijne, wszyscy głośno śpiewają. Po mszy odbyło się bierzmowanie. Ojcami chrzestnymi byli dowódcy, gdyż rodziców nie było. Potem śniadanie dla dzieci i niecodzienne specjały dawno niewidziane: bułki z margaryną i dżemem, sucharki angielskie i słodzona herbata.

Po defiladzie wizyta u chorych w szpitalu, gdzie bierzmowania udzielił ksiądz biskup. Wieczorem akademie mariańska, a potem raut dla księdza biskupa i zaproszonych gości.

Następny dzień też wolny od zajęć. Wszyscy są jednak zmęczeni po wieczornych uroczystościach. 24 czerwca 1942 r. ksiądz biskup wizytuje nasz 6 Batalion Rozpoznawczy „Dzieci

Lwowskich”¹¹¹ wpisując się do naszej kroniki w świetlicy. Rozmawia z chłopcami i najmłodszym, piętnastoletnim strzelcem Falkiewiczem. Odwiedzając wszystkich dla każdego znajduje czas i dobre słowo. Podkreśla, że wiara i nadzieja nam wszystkim w życiu pomoże. Następnego dnia ksiądz biskup udaje się do Samarkandy na wizytację Delegatury.

Taki to był dla nas ten Uzbekistan, kraj chana Uzbeka. Dla nich kraj szczęśliwy, bo małym nakładem pracy i myślenia tubylcy zbierali obfite plony. W maju pierwsze owoce: morwy, wiśnie, morele (tak zwane „uruk”¹¹²), arbuzy i inne. Sianokosy już w połowie maja, potworny odór kwiatów bawełny, a nocą przeraźliwe piski głodnych szakali. Robić tylko tyle, aby ziemi ułatwić rodzenie plonów, a o jakość już nie trzeba dbać.

Polski Święty Mikołaj u włoskich dzieci

Nadchodził grudzień 1944 roku – miesiąc tak bardzo rodzinnych, pełnych tradycji świąt. Biegł piąty rok wojny i rozstania, tęsknoty i niepokoju o najbliższych – o żony i dzieci. Co z nimi? Czy żyją i w jakich są warunkach? Wiadomości z kraju były skąpe i coraz bardziej ponure. Wczesna mroźna zima wstrzymywała działania wojenne w Apeninach i błotnistej dolinie Padu¹¹³.

Oddziały polskiej 2 Brygady Czołgów¹¹⁴ rozlokowały się w górskich wioskach północnych Apeninów. Wioski te zawsze biedne, w tym roku były w sytuacji tragicznej. Odcięta od świata, w zrujnowanych przez wojenny orkan, pozbawionych szyb domach, ludność cierpiała głód i zimno.



Św. Mikołaj i aniołek z wizytą u włoskich dzieci w Bibbienie. Czołg „Stuart” o nazwie „Lucyper III” – kierowcą tego wozu był Władysław Stefanik

¹¹¹ W tym czasie nosił nazwę 6 Dywizjon Rozpoznawczy „Dzieci Lwowskich”.

¹¹² Po uzbecku właściwie „o’rik”.

¹¹³ Do doliny Padu wojska alianckie dotarły dopiero w kwietniu 1945 roku.

¹¹⁴ W tym czasie nosiła nazwę 2 Brygada Pancerna.



Klasztor Monte Cassino – widok z Polskiego Cmentarza Wojennego

Pomoc wojska nie mogła zaspokoić wszystkich potrzeb. Do wojskowych kuchni i ognisk garnęły się zgłodniałe i zziębnięte dzieci. Tak zwykle rezolutne, krzykliwe lecz przemile „bambini”¹¹⁵ snuły się smutne i osowiałe.

Zbliżał się 6 grudnia – Św. Mikołaj. Ktoś rzucił myśl: nie możemy sprawić radości swoim dzieciom, sprawmy ją włoskim. Projekt podchwyciły wszystkie oddziały brygady z zapałem. Przeprowadzono w wioskach spis dzieci, żeby żadne nie było pominięte. Rozpętało się współzawodnictwo między pułkami, szwadronami i pojedynczymi żołnierzami – kto da więcej i kto lepiej zorganizuje.

Rozjechały się ciężarówky do Arezzo, Florencji, Ankony, a nawet do Rzymu kupować ubranka, buciki, sweterki, szaliki, zabawki i co tylko w tym czasie można było dostać odpowiedniego w niezbyt zasobnych w tym czasie włoskich sklepach. Pierwsze zakupy nie zadowolily ofiarodawców; wozy pojechały ponownie. Słodocy nie zabrakło, dostarczyła je niezawodna NAAFI.

Uroczystość zaczęła się od wspianego śniadania w sali „municipi”¹¹⁶ miasteczka Bibbiena, gdzie stacjonował 6 Pułk Pancerny. Podano prawdziwe słodkie kakao z ciastkami. Następnie z rumorem, na wozie bojowym, czołgu, Scout Carze, czy Carrierze, w zależności od tego, na czym dany oddział walczył, przyjechał odpowiednio ubrany Św. Mikołaj. Po przemówieniu do dzieci, że przyjechał do nich, gdyż do Polski nie wpuścili go brzydcy „Tedeschi” – Św. Mikołaj wywoływał dzieci i wręczał im bogate paczki. Radości było wiele, a krzyku jeszcze więcej.

Gdy po pewnym czasie oddziały brygady zmieniały swe leża zimowe, ludność, a zwłaszcza dzieci, szczerze i z żalem żegnały swych przyjaciół.

Może ówczesne dzieci, dziś rodzice nowego pokolenia „bambinów”, utrzymują w dniu 6 grudnia tradycję Św. Mikołaja i opowiadają swym pociechom, jak w dni ponure przyjechał do nich Św. Mikołaj z Polski z prezentami. Oto jeszcze jedno wspomnienie wojenne, przypominające epizod z życia żołnierzy 2 Korpusu.

¹¹⁵ Po włosku: „dzieci”.

¹¹⁶ Po włosku: „ratusz”.

POSŁOWIE

Ludzie są ważniejsi niż parowóz!



Władysław Stefanik na stadionie „Żurawianki”

Jeszcze jako dziecku ojciec mi mówił, że wielkich ludzi poznaje się po skromności, że ludzie ci posiadają wrodzoną zdolność do słuchania drugih, potrafią wyciągać z rozmów natychmiastowe wnioski. Jest to wielka sztuka: chcieć słuchać, rozumieć innych i nie obrażać się nawet na niesprawiedliwą krytykę. Ci ludzie przeżyli różne losowe dole i niedole, chwile tragiczne i chwalebnie wzniosłe. W swoim długim życiu (73 lata) wiedziałem tylko o kilku takich osobach, dla przykładu papież Jan Paweł II, którego nie miałem okazji spotkać osobiście. Drugim był Władysław Stefanik, z którym spotykałem się wielokrotnie i w różnych okolicznościach.

Każdorazowo imponował mi swoją życiową mądrością, taktem i niebывałym spokojem oraz prostotą i skromnością. Dzięki swemu ojcu, jako chłopiec pierwszy raz widziałem go na boisku w Żurawicy wiosną 1954 ro-

ku w meczu dawnej A klasy „Żurawianka” – „Gwardia” Przemyśl 4:3 (3:1), gdy strzelił dwie bramki. Ten mecz był początkiem mojego zainteresowania się tym człowiekiem, ale w moich dziecięcych oczach pozostał tylko moment strzelenia przez Władysława bramki przewrotną w samo okienko z odległości około 10 metrów we wrześnieowym meczu 1954 r. ze „Stalą” Mielec, przegranym przez „Żurawiankę” 2:5 (0:2), z tą samą Stalą, która już po pięciu latach grała z powodzeniem w ekstraklasie! Był to moment nie tylko początku mojej fascynacji, ale zainteresowania się nie tylko sportowcem, a z czasem również człowiekiem jakim był Władysław Stefanik. W wieku dorosłym miałem szczęście mężnieć u jego boku na boisku sportowym, on gdy był trenerem, a ja zawodnikiem „Żurawianki”. W tym czasie rozpocząłem pracę na PKP w Stacji Pozaklasowej Żurawica, a Władysław pracował



„Żurawianka” Żurawica w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku. Władysław Stefanik stoi trzeci z prawej

na PKP prawdopodobnie już jako kierownik działu obrządzania w Parowozowni Pozaklasowej Żurawica. Był to okres również początków zawodowej współpracy, a nasz związek zacieśniał się również przez bliską znajomość koleżeńską z jego starszą córką Lucyną. Kontakty zawodowe z Władysławem Stefanikiem urwały się z chwilą jego odejścia na emeryturę w grudniu 1981 roku, ale nadal trwała nasza przyjaźń i współpraca na niwie sportowej, aż do jego śmierci.

Był szanowanym i lubianym trenerem, działaczem, wiernym sympatykiem, doradcą, a nawet duszą sportowego towarzystwa, a przede wszystkim prawym człowiekiem. Z kolejowego okresu warto przytoczyć jeden fragment świadczący o jego wielkości życiowej. Przed ogłoszeniem stanu wojennego, jako naczelnik stacji miałem niesamowite kłopoty z ogrzewaniem pomieszczeń stacyjnych, a zima była mroźna już od początku listopada, brak było koksu i węgla, a pomieszczeń również w ciągłym ruchu było kilkadziesiąt. Wytwarzało to nie tylko niezadowolenie, ale odczuwałem swoisty uzasadniony bunt załogi. Któregoś dnia nocą do stacji przybyło 24 wagony dwuosiove węgla dla zaopatrzenia parowozów miejscowej parowozowni, a odbiorcą tych wagonów miało być właśnie nawęglanie zarządzane bezpośrednio przez Stefanika. Obudzono mnie w moim przemyskim mieszkaniu z pytaniem czy mogą sobie trochę węgla wziąć do ogrzewania. Nie pozwoliłem na kradzież, chciałem się jakoś skontaktować z Władysławem Stefanikiem, ale on był w Żurawicy bez telefonu. Zaryzykowałem i dałem polecenie, aby cztery wagony zabrać i wyładować je sukcesywnie przy poszczególnych posterunkach, co zostało z ogromną radością przez załogę uczynione. W sobotę rano skontaktowałem się z panem Władysławem informując go o tej „kradzieży” i obietnicą, że oddam węgiel jak tylko dostanę, a on mnie zaskoczył i niezwykle zdziwił mówiąc: „Kaziu, nie martw się – dobrze zrobiłeś, ludzie są ważniejsi niż parowóz, jakoś się policzymy!”.

Te słowa w pełni scharakteryzowały osobowość tego człowieka, co w całej rozciągłości potwierdzało się w dalszych moich kontaktach z nim. Węgiel oczywiście oddałem. Wówczas rozpoczął się u mnie okres śledzenia jego życiowej historii. Wiedziałem o jego walce pod Monte Cassino, o pobycie w Anglii i zainteresowaniu się nim czołowego angielskiego klubu piłkarskiego Aston Villa, wówczas należącego do ścisłej czołówki angielskiej piłki.

Niedługo miałem styczność jako zawodnik z trenerem Stefanikiem. Przed wyjazdem w 1961 roku na Śląsk trampkarzy trenował ktoś inny. Dopiero po powrocie w 1967 roku trenerem



08.08.2004. Władysław Stefanik wita drużynę „Stali” Mielec przed inauguracyjnym meczem IV Ligi podkarpackiej z „Żurawianką”



14.02.2004 r. Władysław Stefanik przemawia podczas uroczystości 75-lecia LKS „Żurawianka” Żurawica

był Jerzy Miśkiewicz, później Zdzisław Sabramowicz, a On dopiero trenował początkiem lat siedemdziesiątych XX wieku. Człowiek o wielkim autorytecie, lubiany przez wszystkich, spokojny fachowiec. Uczył nas abecadła piłkarskiego od samych podstaw, nawet takiego szczegółu jak przyłożenie podbicia nogi do piłki. Nie spotkałem go nigdy zdenerwowanego. Nawet w najbardziej nerwowych sytuacjach zawsze uspokajał słowami: „Nie martw się, nie wyszło teraz – wyjdzie później, tylko postaraj się!”

Początkiem 1974 roku zostałem wraz z Władysławem wybrany do Zarządu „Żurawianki”. On jako trener i jeden z wiceprezesów, a ja jako sekretarz klubu i kierownik drużyny piłkarskiej seniorów. Ostatni raz jeszcze rozegrałem pod Jego opieką pierwszy mecz rundy wiosennej w Dynowie, gdzie ostatecznie ponowna kontuzja łąkotki wyłączyła mnie zupełnie z gry, pozostała tylko współpraca w zarządzie oraz możliwość bardziej wnikliwego poznania jego niecodziennej osobowości. Liczebność działających sekcji (piłkarska, zapasów, motorowa, siatkówki



Władysław Stefanik w jednostce wojskowej w Żurawicy

właśnie klubowa piłka zaliczana była do czołówki dzisiejszego jarosławskiego OZPN i byłego województwa przemyskiego, sekcja motorowa i zapasów w czołówce krajowej, a siatkówka i tenis stołowy w czołówce obecnego województwa podkarpackiego.

Piłkarze pod opieką Stefanika z powodzeniem z ówczesnej B klasy awansowali do klasy Okręgowej (4 poziom rozgrywek w kraju) w sezonie 1976/77, grali tak przez dwa sezony, a następnie pod opieką innych trenerów, aż do sezonu 1993/94, po czym nastąpiła degradacja do najniższego szczebla rozgrywek. Mimo to On nadal interesował się piłkarzami, pracując na tym samym stanowisku, aż do przejścia na emeryturę. Obowiązki służbowe oderwały mnie od sportowej działalności od sezonu 1979/80 niemal do końca wieku, ale nie zaprzestałem interesować się klubem. Władysław Stefanik będący na emeryturze nadal czynnie udzielał się w klubie. Od września 2000 roku rozwiązałem stosunek pracy z PKP i ponownie wróciłem do działalności w żurawickim sporcie, gdzie nieprzerwanie obecny był Władysław.

Władysław Stefanik zbudował wartość uniwersalną na swój czas. Swoim przykładem udowodnił, że można być wielkim patriotą, kochać kraj i gniazdo rodzinne, walczyć o niego i nie afiszować się swoim patriotyzmem, a nawet znosić z tego powodu upokorzenia. Pokazał niezmiennie przywiązanie do wiary ojców, do kościoła katolickiego i publicznie zbytnio nie okazywać tego, nie wymuszać u innych własnych poglądów. Udowodnił, że można wierzyć przez całe życie przy jednym klubie w okresach tragicznych i wspaniałych, że zawsze ze spokojem trzeba znosić napotykaną przeciwność losu i wspólnie szukać dróg ich rozwiązywania. Dla mnie był wzorem nie tylko wielkiego sportowca, ale wielkiego i niezwykle uczciwego i prawego człowieka. Takim pozostanie na zawsze w mojej pamięci.

męskiej, lekkoatletyki, tenisa stołowego) oraz ilość drużyn, to zakres działalności klubu dzisiaj nieporównywalny. Tym bardziej, że klub biedny, nieposiadający żadnej dotacji jeszcze z byłej Gromadzkiej Rady Narodowej w Żurawicy, a później z gminy. Był to dla mnie, młodego człowieka wielki czas życiowej próby. Właśnie spokój rozsądku Władysława kojąco wpływał na każdego z działaczy, a zwłaszcza sportowców. Zachęcał nas do pracy i sam dawał przykład swoją bezinteresowną pracowitością i zaangażowaniem w organizowanie zabaw tanecznych na własnym obiekcie, szukania dotacji u władz sportowych powiatu i województwa. Pukaliśmy do wszystkich drzwi wszelkich urzędów, nawet wojskowych. Władysław Stefanik był przykładnym motorem napędowym dla wszystkich, a w szczególności dla prezesa P. Franciszka Wardęgi, P. Zygmunta Żyjewskiego, P. Wiesława Ozimczuka, P. Stanisława Żygały czy P. Józefa Białego. Wtedy

inż. Kazimierz Więch

DOKUMENTY i FOTOGRAFIE



Ordery, krzyże, medale i gwiazdy nadane Władysławowi Stefanikowi.
W nawiasie data nadania

Górny rząd od lewej:

- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (09.12.1981 r.)
- Krzyż Walecznych nadany dwukrotnie (06.08.1944; 13.06.1945 r.)
- Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino (05.03.1945 r.)
- Krzyż Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (19.06.1991 r.)
- Medal Wojska (28.10.1946 r.)
- Medal Zwycięstwa i Wolności 1945 (06.11.1974 r.)
- Medal 40-lecia Polski Ludowej (1984 r.)

Dolny rząd od lewej:

- Croce al merito di guerra (włoski Krzyż Zasługi Wojennej; 30.03.1946 r. wg polskiego Zaświadczenia na prawo noszenia odznaczeń włoskich wystawionego w 2 Korpusie)
- 1939–1945 Star (brytyjska Gwiazda Za Wojnę 1939–1945; 30.06.1946 r. wg polskiego Zaświadczenia na prawo noszenia odznaczeń brytyjskich wystawionego w 2 Korpusie)
- Italy Star (brytyjska Gwiazda Italii; 30.06.1946 r. wg polskiego Zaświadczenia na prawo noszenia odznaczeń brytyjskich wystawionego w 2 Korpusie)
- Defence Medal (brytyjski Medal Obrony; brak legitymacji z datą nadania)
- War Medal 1939–1945 (brytyjski Medal Wojny 1939–1945; 07.01.1947 r. wg polskiego Zaświadczenia na prawo noszenia odznaczeń brytyjskich wystawionego w 2 Korpusie)



Odznaki nadane Władysławowi Stefanikowi. W nawiasie data nadania

Górny rząd od lewej:

Odznaka Pamiątkowa 2 Korpusu (18.12.1946)

Odznaka 6 Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich” (brak legitymacji z datą nadania)

Odznaka za Rany i Kontuzje (20.03.1946)

Dolny rząd od lewej:

Złota Odznaka „Przodujący Kolejarz” (11.09.1981)

Srebrna Odznaka „Przodujący Kolejarz” (08.09.1974)

Odznaka „Za Zasługi Dla Województwa Przemyskiego” (05.11.1986)

Odznaka „Zasłużony Działacz LZS” (06.12.1998)

Brązowa Odznaka Honorowa PZPN (20.01.1999)

Złota Odznaka Podkarpackiego ZPN (10.02.2004)

MINISTERSTWO
SPRAW ZAGRANICZNYCH

Warszawa, dn. 27 maja 19 71 r.

Ob. Władysław STEFANIK

PROTOKÓŁ DYPLMATYCZNY
Nr P. D. 12-21-70-WB

Żurawica 608

Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawiadamia, że Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, na wniosek Ministra Spraw Zagranicznych, decyzją z dnia 15 kwietnia 1971 r. udzieliła Obywatelowi zezwolenia na przyjęcie odznaczenia "1939-45 Star", "Italy Star", "Defence Medal" i "War Medal 1939-45".

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH
DYREKTOR
PROTOKOŁU DYPLMATYCZNEGO
[Signature]

Zgoda MSZ na przyjęcie zagranicznych odznaczeń



KOŁO ŻOŁNIERZY PUŁKU 6 PANC. "DZIECI LWOWSKICH." tel-
6th Lwów Armoured Regiment Ex Soldiers' Association 0113 -2780923
83 Church Ave LEEDS LS6 4JX England

plut Władysław STEFANIK Nr. ew. 201/3
syn Józefa i Marii, urodzony 16/4/1922 r. w ŻURAWICY, woj. Lwów.

1940 r. wywieziony z ~~rodziny~~ na zsyłkę do Związku Sow.
zwolniony po tak zwanej "amnestii" zgłasza się 20/10/41 r. jako
ochotnik do organizującego się Wojska Polskiego./2 Korpus G. Andersa/

24/10/41 wcielony do 3 Komp 16 pp.

30/10/41 przeniesiony do 6 Dyw. Bnu. Strz. "Dzieci Lwowskich" R/d 6/41

10/5--25/7/42 r. Szkoła Podoficerska przy 6 Bnie DZ. LW. Komp. K.M.

25/7/42 Awans na st. strzelca R.dz 164/42

8/10/42 6 Dyw. Rozp. DZ. LW. przeorganizowany na 6 Baon Czołgów DZ. LW.

1/7/43 6 Baon Czołgów DZ. LW. przemianowany na Pułk 6 Pancerny Dzieci
Lwowskich. R.dz. Bdy. Panc. 75/43

6/8/44 Nadano Krzyż Walecznych R.dz. 129/44

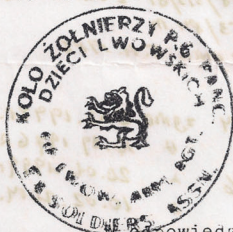
19/4/45 Ranny pod kanałem Gaiana w bitwie o Bolonię. Z powodu poważnych
ran głowy, pleców i miednicy nogi prawej, przewieziony z polowego
pkt. san. na lotnisko w Forli i transportem powietrznym na lo-
tnisko w Bari a następnie sanitarka do Polskiego Szpitala Woje-
nnego w Casamassima.

13/7/45 Powrócił ze szpitala R.dz 14/7/45

15/6/45 Krzyż Walecznych po raz drugi.

25/7/45 Odznaka hon. za rany R.dz. Bdy 98/45

Wyciąg powyższych danych na podstawie Skorowidzu
Szeregowych /Tom 1-szy/ Pułku 6 Pancernego "Dzieci
Lwowskich" potwierdzam.



Tadeusz Paciukanis kpt br panc
Prezes

Szanowny Panie,

Odpowiadzi na list z dnia 24/10/95 w sprawie odniesionych ran,
przesyłam w załączeniu dosyć szczegółowe dane. Pozwoliłem sobie przy oka-
zji zamieścić kilka innych pozycji, które różniły dobrych żołnierzy od
przeciętnych, bo takich też mieliśmy w Pułku - najwaleczniejszym z wale-
cznych, jak oceniali wyżsi Dcy. Jeżeli mogą być w dalszym ciągu użytecznym
to proszę pisać i nie krępować się.

Sz. Pan Władysław Stefanik
37-710 ŻURAWICA 829

1/4/45 Awans na kaprała rzeczywistego R.dz 38/45

LEEDS 31/10/95 r.



SIŁY ZBROJNE
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

mianował

nie będącego w czynnej służbie wojskowej

.....
st. kpr. STEFANIK Władysław s. Józefa

na stopień

PODPORUCNIKA WOJSKA POLSKIEGO

z dniem 6 kwietnia 2000 r.



SZEF
WOJEWÓDZKIEGO SZTABU WOJSKOWEGO
RZESZÓW

07.08.2000 r.
.....
(data)

plk dypl. Józef MROCZKA

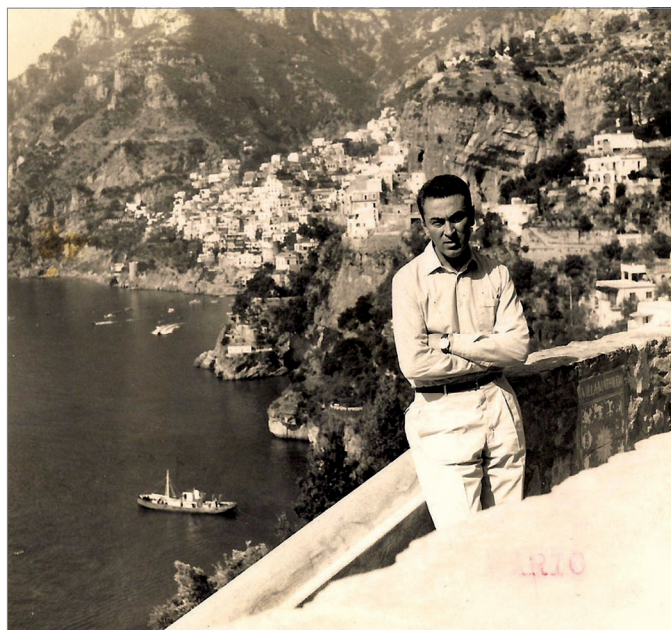
Spotkanie po latach w Gdańsku do-
kładnie przemyślane i doprowadzone do
skutku. Mario płynie statkiem z włoską
wycieczką do Polski, Władysław jedzie Mu
na spotkanie. Dawni „amici” mogą nare-
szcie po latach zobaczyć się. Władysław
Stefanik (po lewej) z włoskim przyja-
cielem



Władysław Stefanik i Iride – żona Jego włoskiego przyjaciela Mario



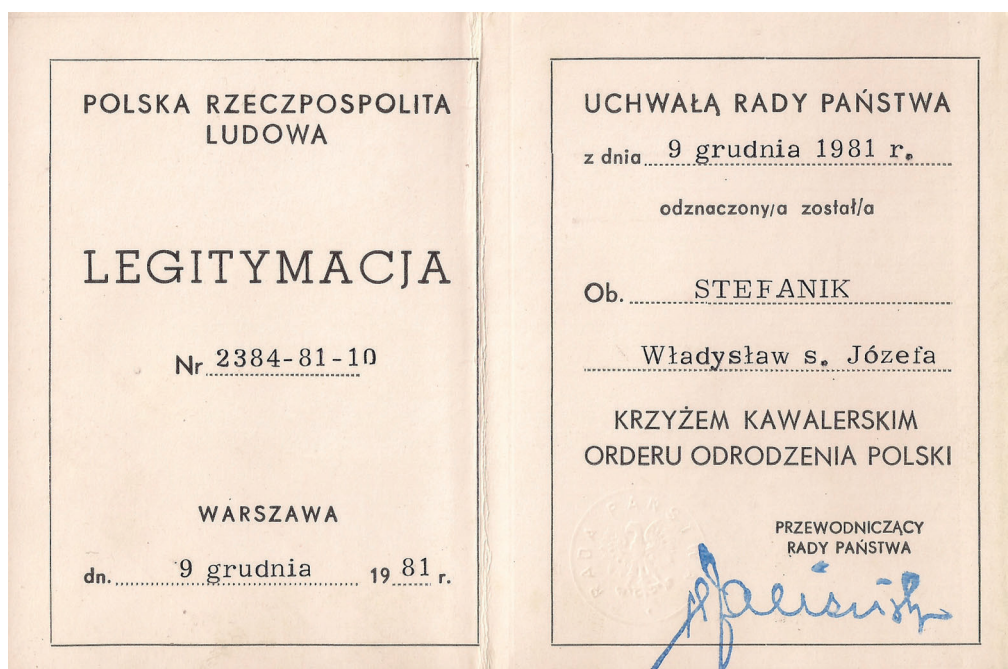
Rodzina włoskich przyjaciół Autora z Porto Recanati, 1 grudnia 1958 r.



Mario w Positano, 27 września 1968 r.



Spotkanie z przyjaciółmi we Włoszech, Macerata 1989 r.



Legitymacja Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski



Pomnik przy wejściu na Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino



Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino



Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino, w tle Klasztor Monte Cassino



Polski Cmentarz Wojenny w Loreto



Pocztówka: Polski Plakat Wojenny 1939–1945 Monte Cassino, wysłana przez dowództwo Garnizonu Żurawica do Autora, wraz z zaproszeniem na uroczystą zbiórkę z okazji Dnia Zwycięstwa 9 maja 1976 r.



11.05.1996 r. Nadanie sztandaru 1 Batalionowi Czołgów w Żurawicy. Trzeci z lewej Władysław Stefanik jako ojciec chrzestny sztandaru



11.05.1996 r. Nadanie sztandaru 1 Batalionowi Czołgów w Żurawicy. Władysław Stefanik asystuje przy wbijaniu pamiątkowych gwoździ w drzewce sztandaru

**AKT
HONOROWEGO OBYWATELA GMINY
ŻURAWICA**

RADA GMINY w ŻURAWICY

Uchwałą nr XV/155/04 z dnia 16 lipca 2004 r.

nadała

Panu Władysławowi Stefanikowi

TYTUŁ

**HONOROWEGO OBYWATELA GMINY
ŻURAWICA**

jako wyraz najwyższego wyróżnienia i uznania



Przewodniczący Rady Gminy

Marian Szeliga
Marian Szeliga

Żurawica, 11 listopada 2004 r.

Akt nadania Władysławowi Stefanikowi tytułu Honorowego Obywatela Gminy Żurawica

Moment wręczenia tytułu Honorowego Obywatela Gminy Żurawica przez Przewodniczącego Rady Gminy Mariana Szeligę



Dwaj Honorowi Obywatele Gminy Żurawica: ks. prałat Stanisław Burczyk i Władysław Stefanik



07.10.2006 r. Władysław Stefanik w pierwszym rzędzie z prawej strony, podczas uroczystości nadania imienia 2 Pułku Pancernego Gimnazjum w Żurawicy. Fot. ze zbiorów archiwum Gimnazjum im. 2 Pułku Pancernego w Żurawicy



U góry Autor w 2008 r., natomiast obok podczas wręczania pucharu piłkarzom „Żurawianki” za historyczny awans do IV Ligi podkarpackiej, w dniu 08.08.2004 r.





28 grudnia 2010 r. Uroczystości pogrzebowe Władysława Stefanika w kościele Niepokalanego Poczęcia NMP w Żurawicy Dolnej. Fot. Wioletta Hanas

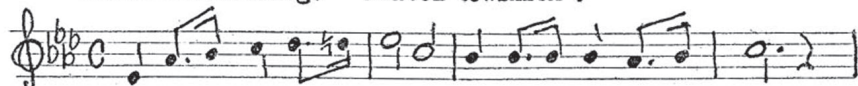


Kondukt żałobny w asyście żołnierzy 1 Batalionu Czołgów w Żurawicy. Fot. Wioletta Hanas

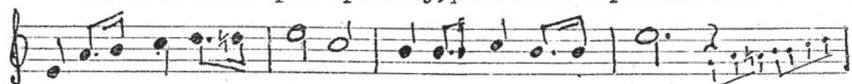
PROWADZ WODZU...

Marsz Pułkowy

Pułku 6 Pancernego "Dzieci lwowskich".



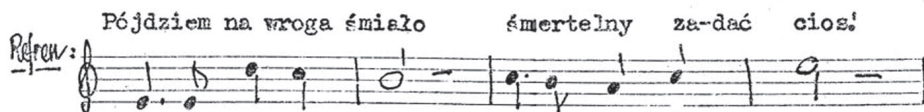
Przez śnieżne pola północy, przez Tock i przez Szachrisiabs



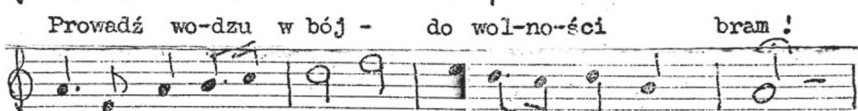
idziem na przeciw przemocy trud żaden nie wstrzyma nas...



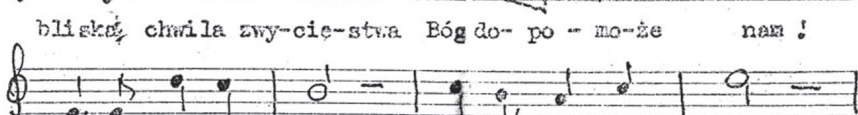
Żołnierz polski to twarda stal - której nie skruszy los!..



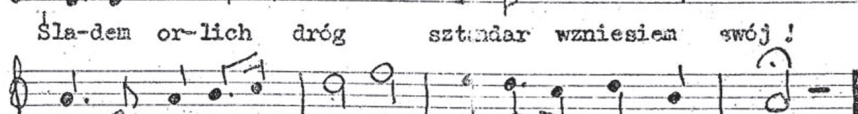
Pójdziem na wroga śmiało śmiertelny za-dać cios!



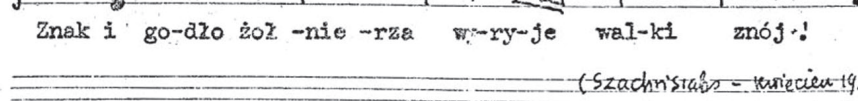
Prowadź wo-dzu w bój - do wol-no-ści bram!



bliską chwilą zwycię-stwa Bóg do-po-mo-że nam!



Śla-dem or-lich dróg sztandar wzniesiem swój!



Znak i go-dło żoł-nie-rza w-ry-je wal-ki znój!

(Szachrisiabs - kwiecień 1942)

2. Przeszliśmy Azję i tundry, przeszliśmy Uzbekistan -
Persję i Irak piaszczysty żołnierski pokrywa łan!
Czołgi nasze potęgą lénia- śmierć patrzy z naszych łuf
odwet i krwawą zemstę pancerny niebie łuf!

Refren : Prowadź Wodzu w bój...

(Lwizil-Ribat - 1942)

3. Wyrzucim wroga z Pomorza - zabłyśnię Wolności kwiat!
Polska od morza do morza spojrz radośnie na świat!
Imów powita znów synów swych ze wszystkich świata stron...
Wróć lwowskie Orleńta - zabrzmi radości dzwon!

Refren : Prowadź Wodzu w bój...

SPIS TREŚCI

SŁOWO OD WYDAWCY	3
WSTĘP	5
SŁOWO OD RODZINY	7
PODZIĘKOWANIA	7
CZĘŚĆ I	9
CZĘŚĆ II	13
Związek Sowieckich Republik Radzieckich	13
Tockoje – Wojsko	23
Wyjazd do Iraku	33
CZĘŚĆ III	47
CZĘŚĆ IV	75
W kraju	75
UZUPEŁNIENIA	85
Wigilia – rok 1940, Tockoje (ZSRR)	85
Wigilia – rok 1941	86
Boże Ciało i bierzmowanie w kraju Tamerlana	87
Polski Święty Mikołaj u włoskich dzieci	89
POSŁOWIE	91
Ludzie są ważniejsi niż parowóz!	91
DOKUMENTY i FOTOGRAFIE	95

